

LAUREATKA EUROPEJSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ



# BIAŁA RIKA

MAGDALENA  
PARYS

POWIEŚĆ

„Prawdy, nawet trudnej, nie da się ukryć. Pamięci, nawet gdy boli, nie da się oszukać. Magdalena Parys to wie i dlatego stać ją na taką szczerość”.

MICHAŁ NOGAŚ, Program 3 Polskiego Radia

Magdalena Parys

# BIAŁA RIKA

**znak** *litera*  
*nova*

*Babci Jasi*

*Gdy odczuwamy brak samych siebie,  
wszystkiego nam brak.*  
WOLFGANG GOETHE

*Nikt nie uzyska wybaczenia za życie.*  
TERRY PRATCHETT

## Prolog

Głęboko oddychać, jeszcze nie rodzić! Teraz tylko to jeszcze przetrzymać. Karol mówi, że do domu nie jest tak daleko. Do jakiego domu, chciałaby zapytać, ale przecież nie mówi. Nie zapyta.

Jedzą ciepłą zupę. Ciepłą, nie, letnią. Letnią, nie, nie taką zimną. Karol oddaje Rice swoją. Nie żeby zaraz całą, takich bohaterów w maju roku 1945 nie ma, Karol oddaje Rice ostatnie trzy łyżki, no może cztery. Nie jest już aż taki głodny, mówi. Nie tak bardzo. To znaczy jest, ale mu starczy.

Wody odchodzą Rice w nocy. To chyba po tej zupie. Rika płacze po cichu, bo nic jej nie boli, tylko jest jakby jakaś lżejsza, lepka, a Karola nie ma. Może przekierowany do baraku męskiego? Nie jęczeć, Rika, nie jęczeć! Oddychać głęboko.

Boże! Jezu! Biegna do niej zawzione dziewczyny z pryczy obok.

Czy niemowa krzyczy przy porodzie? Bo niemowa to ona. Rika błaga w myślach matkę, Jezusa i Boga, żeby tylko niemową zostać do końca. Gdzie jest Karol? Aha, przekierowany. Przekierowany? Rozgląda się, jest plecak, są jego płaszcz i buty. Wszystko zostawił tutaj, a sam poszedł. Poszedł? Ale nie zostawiłby przecież burego płaszcza i nowych butów! I zupy nie oddał. Tych czterech łyżek. Rika patrzy przestraszona w twarze kobiet i płacze, tak jak płacze prawdziwa niemowa. Tylko oczami.

– Ona rodzi – zagląda jej między nogi któraś z kobiet.

– Przyj – sepleni po polsku kobieta bez zębów. – Przyj!

– Umrzesz! – mówi obojętnie jakaś inna, starsza, która ma tylko dwadzieścia osiem lat, ale przeżyła roboty w Austrii, a na koniec obóz.

Rika nie prze, bo będzie krzyczeć, a ona krzyczeć nie może, poza tym nie rozumie po polsku.

Ktoś bije ją po twarzy.

– Przyj, bo umrzesz! – krzyczy ta bez zębów.

Teraz Rika pod wpływem bólu rozumie. Prze z całej siły!

– Przyj mocniej!

– Ona jest głucha!

– Nie jest głucha, tylko niemowa!

– Słyszysz coś? – pytają.

Ruth odpowiedziałaby skinieniem, gdyby rozumiała po polsku, ale tylko prze i prze, i tak strasznie ją boli. Pewnie umrze. I nagle, pod wpływem bólu, jakieś zwierzę zaczyna wyc. To ona, zwierzę Ruth. Co krzyczy? Nic. Krzyczy krzyk.

– Goooooott!!!

Kobieta bez zębów, która się uśmiecha, bo dziecko z krwią wypływa na jej ręce, zastyga z dzieckiem i z tym uśmiechem na twarzy. Jest polską Żydówką w tym 1945 roku. Gotta nie ma. Boga nie ma. Ona to wie na pewno.

\* \* \*

Jest sama. Jest cicho. Leży na podłodze z dzieckiem. Dziecko oddycha opatulone w płaszcz Karola. Dzieciątko, chłopczyk, jest tak samo duży jak nowy but ojca. Żyje.

– Musisz je nakarmić, rozumiesz? – mówi do niej nagle po niemiecku jakaś kobieta duch i znika. Wciska jej butelkę z mlekiem.

Duch znika, ale duchy wracają. Zawsze.

## ROZDZIAŁ I

*Schlafe, mein Prinzchen, schlaf ein,  
Schäfchen ruh'n und Vögelein,  
Garten und Wiese verstummt,  
auch nicht ein Bienchen mehr summt,  
Luna mit silbernem Schein  
gucket zum Fenster herein,  
schlafe bei silbernem Schein,  
schlafe, mein Prinzchen, schlaf ein,  
schlaf ein, schlaf ein!*

FRIEDRICH WILHELM GOTTER

*Śnij, mój królewiczu, śnij,  
ucichły już owieczki i ptaszeczki,  
cichną ogrody i pola,  
bzyzczeń przestała mała pszczoła  
srebrna luna zagląda do okien,  
a ty w srebrnych tych łunach śnij,  
śnij, mój królewiczu, śnij,  
śnij, śnij!*

FRIEDRICH WILHELM GOTTER

## *Suche salami*

Babcia kroi salami. Równo, równiutko, po przekątnej. Zegar tyka. Kuchnia wysprzątana. Tylko spiżarka otwarta, a w niej salami, salamiska i salamka: długie, grube i cienkie. Siedzę przy stole i patrzę na to salami, co go nie lubię, ale z czasem polubię. Dowiem się, że przysłała je z Hamburga siostra babci, Gerda. O tej siostrze jeszcze będzie, ale nie teraz, bo teraz ja tu siedzę i patrzę.

Spizarka otwarta. Babcia zaraz schowa do niej krawankę salamkę i zamknie spiżarkę. Jest też poniemiecki piec. Piec, w którym spalę pamiętniki. Demonstracyjnie, żeby doszywani babcia i dziadek widzieli, że ja tu ze wszystkim kończę. Żeby cały świat widział, że ja kończę z tym życiem nastolatki w Polsce. Bo wyjeżdżam. „Nie chcem, ale muszem”. Jechać do Berlina, na Zachód. Na razie jest salami, suche jak wiór. Przez lata całe będę myśleć, że salami, bo suche. Nie wiem, co ma salami wspólnego z suchym. Suche salami, tak już zostanie.

Babcia kroi. Ostry, wielki nóż dostała też od Gerdy. O Gerdzie jeszcze będzie, ale nie teraz, bo mało wiem. Mieszkam tu od niedawna.

Jest niewysoka ta przyszywana babcia, okrągła jak beczka, ma białe włosy i poźółkłą od papierosów grzywkę. Ręce duże, pęciny cienkie, nogi cienkie. Krzywe, takie jakies w literę V na boki się rozchodzące. I prosto z tych nóg ta ciężka, beczułkowata babcia wyrasta. Nosi fartuch niebieski, czasem zielony. I kroi po przekątnej salami, chleb, szynkę. Że niby tak na dłużej starcza.

Czy jej siostra bliźniaczka w Hamburgu wygląda tak jak ona? Czy lubi salami? Czy jest tak samo blada, czy tak jak ona ma bardzo jasną skórę i pali jak lokomotywa? Teraz przy krojeniu babcia nie pali, no bo to salami... W roku 1981 wszyscy palą. Wiedzą już, że kaszel, że rak, ale nie uprawiają jeszcze masowo sportu i czasy są takie, że bez caro i carmenów ani rusz. Poza tym ty się, dziecko, nie wymądrzaj, ty się ucz!

Próbuję wyobrazić sobie, jak babcia wyglądała, kiedy była młoda. Przeszkadzają mi w tym te jej wory pod oczami, białe włosy, żółta grzywa i wiszące policzki. Babcia jest stara. Ma pięćdziesiąt dziewięć lat.

*Nieprawda. Babcia w 1981 roku ma pięćdziesiąt siedem lat – poprawia Hanka (jeszcze o Hance opowiem).*

Niech będzie. W 1981 roku babcia ma pięćdziesiąt siedem lat.

Idę do szkoły. Jest 7.30 rano. Babcia dalej kroi salami. Wychodzę, pada deszcz.

Mam dziewięć lat. Nazywam się Dagmara.

\* \* \*

W Szczecinie dorośli nie obchodzą urodzin, obchodzą imieniny. Urodziny są zarezerwowane dla dzieci. Poza Szczecin Rika prawie nie wyjeżdża. Czasem tylko na pogrzeby znajomych. Niektórzy znajomi z obozu przesiedleńców mieszkają w małych miasteczkach koło Szczecina.



Czy ma znajomych w Polsce? Karol, jej mąż, ma więcej. No ona trochę też ma, jeszcze z obozu. Nawet ona, Niemka, po trzydziestu pięciu latach ma tu znajomych. No więc imieniny. Tu w Polsce obchodzi się imieniny. A kiedy są jej imieniny? Nie ma. W polskim kalendarzu Ruth nie istnieje. Wszyscy wołają na nią Rika. Przywiozła Ruth tę Rikę – siebie – z Hamburga. Tak jej siostra kiedyś wymyśliła i tak już zostało. Jeszcze w domu. Dom. *Das Haus. Zuhause.*

Pada deszcz. Zmoknie poduszka w oknie. Ta mała, co tu z nimi zamieszkała, też zmoknie. Rika wychyla się, macha parasolką, ale mała pobiegła, nie słyszy. Miłe dziecko, tylko oczy ma jakieś takie. Jakie? Rika myśli. Dorosłe.

## Żeromski

Mieszkamy na Żeromskiego 116/3, szerokiej ulicy na obrzeżach miasta, stąd już niedaleko do jednostki wojskowej i do lasu.

- Koniec świata – mówi mama.
- Ale jest poczta – zauważam.
- Ta nowa od Niemki – mówią o mnie na podwórku.

Urodziłam się w Gdańsku, a potem mieszkałam długo przy parku Kasprowicza, to największy park w Szczecinie, a może i w Europie, przyszywana babcia nie jest tego pewna, ale mam zapytać przyszywanego dziadka.

- Bo cmentarz to jest na pewno największy. – I pokazuje ręką, jaki jest duży.
- W Europie największy? – pytam.
- Na świecie.
- W Gdańsku jest ładniejszy!
- Poniemiecki – dodaje babcia.

Co znaczy poniemiecki? Poniemiecki – słowo, które jest. I nikt się w roku 1981 nad nim nie zastanawia. Jest. Czasy są nie na zastanawianie, to są czasy na bycie. Poniemiecki dom. Skaczę przez kałuże, nie trafiam, nie szkodzi, byleby płyty w chodniku przeskoczyć, na linię nie trafić, poniemiecka komoda, hopla, poniemiecki cmentarz, hopla, poniemiecki piec, aaa! Jestem cała mokra...

Jadę do szkoły tramwajem numer... Jaki to był numer? Nie pamiętam. Do przystanku nie mam daleko, najwyżej pięć minut, pod warunkiem że dobrze pobiegnę. Jadę przez cały Szczecin, który jest największym miastem w Polsce. Tak mówi Hanka (jeszcze o niej napiszę). Głupia. Byłam już w Krakowie z tatą, w Żywcu i znam Gdańsk. Szczecin nie jest największy, Szczecin jest... poniemiecki.

„Dobrze mi tu. I wieje wiatr od Odry, odurzający i zwycięski jak nadzieja”. Taki wiersz ostatnio na apelu recytowałam. Zacięłam się przy Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim. Powiedziałam „Alfonsie” i pani się bardzo zdenerwowała.

Tramwaj, trochę drewniany, trochę czerwony, z twardymi ławkami i popsutymi kasownikami. Polski tramwaj. W sumie to bez różnicy, bo ja zawsze gubię bilety. Nie mam biletu miesięcznego.

Właśnie, muszę zapytać mamę, czemu w roku 1981 nie mam miesięcznego biletu. Pytam. Mama nie pamięta.

*Dziecko, czego ty znów ode mnie chcesz?*

W tramwaju jest zawsze zimno, zawsze tłoczno i trochę się boję na ostrym zakręcie, bo motorniczy szybko jedzie. Dotarłam na ten przystanek. No więc tramwaj. Przywołuję go zaklęciem. Mam takie specjalne, i zawsze działa. Układam usta jak do gwizdania i wciągam powietrze do środka. Zawsze w końcu przyjeżdża. Zwierzam się z tych zdolności mamie. Mama mi nie wierzy. Opowiem o tym tacie, jak się z nim spotkam. Może kiedyś się spotkam. Dawno

się już nie spotykam.

Tramwaj przyjeżdża. Wsiadam. Szukam biletu. Nie mam biletu. Wsiadam. Jak pobiegnę, to może się nie spóźnię.

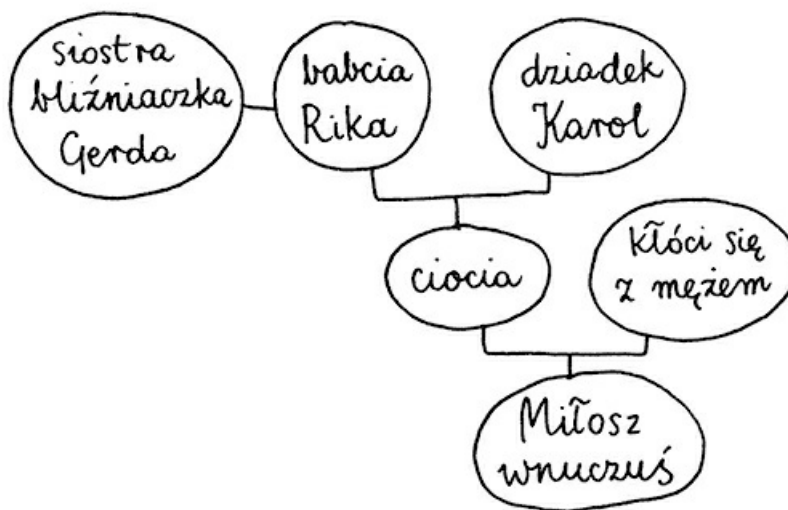
\* \* \*

Babcia odbiera Miłosza ze szkoły. Miłosz nie ma lekko. Jego rodzice się kłócą, pewnie się rozstaną. Miłosz robi w majtki i babcia Rika martwi się o niego. Miłosz to mój nowy przyszywany kuzyn. Chodzi do tej samej szkoły co ja. Do szkoły w centrum miasta. Babcia Rika mieszka na końcu świata – to jednak bardzo daleko. Miłosz będzie na razie mieszkał u nas, to znaczy u babci.

– Moczy się – mówi ciocia.

– Zmoczył? – pyta babcia.

Wzdycham. Babcia nie rozumie. Mieszka w Polsce od trzydziestu pięciu lat i niektórych wyrażań ciągle jeszcze nie rozumie. Mówi po polsku, nawet trochę pisze. Miłosz mówi, że babcia ma chropowaty głos.



– To jest poniemiecki akcent – tłumaczę mu.

– Nie mów tak! – Miłosz zaczyna płakać. – Babcia nie jest poniemiecka.

Wrażliwy. Nie kłóć się z nim, bo się zmoczy.

## Wnuczuś

Wnuczek, wnuczuś. O 20.00 Rika gładzi Miłosza po głowie. Miłosz ma siedem lat, ale nie wygląda na tyle. Jest niezwykle drobny, delikatny. Żyłki niebieskie mu prześwitują na skroniach. Taki jest cały bielusieńki, jak z porcelany.

Miłosz lubi, jak babcia go przytula. Babcia Rika jest jak bułeczka, taka ciepłutka, dobra i miękka, i jak ładnie mu śpiewa! To nic, że po niemiecku. Kołysanki nie są chropowate.

*Schlafe, mein Prinzchen, schlaf ein,  
Schäfchen ruh'n und Vögelein,  
Garten und Wiese verstummt,  
auch nicht ein Bienchen mehr summt,  
Luna mit silbernem Schein  
gucket zum Fenster herein,  
schlafe bei silbernem Schein,  
schlafe, mein Prinzchen, schlaf ein,  
schlaf ein, schlaf ein!*

Zasnął.

Czy oddycha? Miarowo? Rika pochyla się nad chłopcem.

Już tak kiedyś śpiewała swojemu synkowi w obozie dla uchodźców w 1945 roku. Śpiewała i śpiewała, aż przyszła śmierć. Śmierć przyszła szybko, ale jest lepsza od głodu. Chłodu. Deszczu. Teraz też śpiewa, no bo co może się stać w roku 1981? Rika nie jest zabobonna. Będzie swojego chłopca kołysać tak do końca, aż Karol go jej wyrwie.

Musieli uciekać w 1945 roku.

## Też będę dobra

Czytałam dzisiaj w nocy *Anię z Zielonego Wzgórza* i nie mogłam potem zasnąć. Moja przyjaciółka Agnieszka też czyta. Siedzimy na wszystkich lekcjach obok siebie. Trochę płaczemy przy tej Ani. Czasem czytamy pod ławką. Ania jest taka dobra! Też będę dobra.

Spóźniłam się, ale na szczęście pierwsza lekcja wypadła, bo pani od biologii chora. Po lekcjach Patryk i Marian, obaj z mojej klasy, zabierają mi czapkę. Nie będę płakać, bo wtedy zabiorą mi jeszcze szalik. To już drugi raz w tym tygodniu. Więcej czapek nie mam, tylko berety, a beretów nienawidzę. Mama nie pozwala mi chodzić bez nakrycia głowy. Wciąż powtarza, że chorowałam na posocnicę, zapalenie opon mózgowych, dostawałam autoszczepionki i tak dalej. Teraz w nagrodę muszę nosić czapki i ohydne brązowe kozaczki kupione w sklepie przy rynku. W państwowym sklepie przy rynku wszystkie kozaki są brązowe, ze skaju i śmierdzą. Mama twierdzi, że kozaki są odlotowe i były już kiedyś modne. Stała w kolejce na zmianę z sąsiadką, żeby mi je kupić, i nie rozumie, o co mi chodzi.

– Teraz są modne adidasy! – tłumaczę.

Mama ma już prawie trzydzieści lat. Ubiera się ładnie i zawsze jest umalowana, prawie nie widać, że jest w średnim wieku. A adidasów mi nie kupi, bo adidasów nigdzie nie ma.

U nas w klasie adidasy ma tylko Maja. Tata jej przywiózł z RFN-u.

Patrzę na kozaki. Są tak brzydkie, że od jutra aż do końca zimy będę je za rogiem zmieniać na chińskie trampki, a przed szkołą w bramie te znów na kozaki, bo inaczej znajome nauczycielki powiedzą mamie, że chodzę w trampkach zimą. Tymczasem dobiegam zdyszana w chińskich trampkach do drzwi, które się zaraz zamkną. Sam dyrektor stoi dziś w drzwiach, sprawdza tarcze i worki na kaptcie. Dyrektorowi Babińskiemu nie chodzi o to, że ktoś po autoszczepionkach chodzi w trampkach zimą, jemu chodzi o to, że będzie brudno i trzeba będzie zatrudnić jeszcze jedną sprzątaczkę.

– Gdzie kaptcie?!

Dyndam mu przed nosem workiem z kozaczkami. Babiński patrzy podejrzliwie.

– Gdzie tarcza?!

Ja mam tarczę przypiętą tak, że nie widać, że na agrafkę.

– Dzienniczek! – wrzeszczy. – Spóźnienie!

Dyrektor Babiński zwraca się do wszystkich bezokolicznikami albo rzeczownikami. Uczy fizyki, nie musi dużo mówić.

Mam więc uwagę w dzienniczku, a kilka godzin później nie mam czapki, bo Marian mi zabrał. Idziemy więc z Agnieszką do klatki za rogiem. Babcie Mariana i Patryka mieszkają niedaleko szkoły, tuż przy piekarni, i oni tam zawsze chodzą po lekcjach na obiad. Babcia Mariana jest malutka i ma białe włosy. Bardzo ją lubię. Czasem daje Agnieszcze i mnie mleko i ciepłą drożdżówkę. Babcia Patryka jest wysoka, elegancka, ma kok i jest jeszcze prawie młoda. Nigdy u niej nie byliśmy.

– Goń mnie! – wrzeszczy Marian. Stoi na garażu i okręca moją czapkę na kijku.

– Pójdę do twojej babci! – odkrzykuje.

Marian i Patryk znikają na kolejnym dachu.

– Pójdę do babci Patryka! – dorzucam.

Widzę, że Patryk wychyla głowę. Namawiają się. Po chwili brudna czapka ląduje w kałuży.

– Kablara! – dochodzi z dachu.

– Złodzieje! – odkrzykuję.

– Złodzieje! – krzyczy Agnieszka i dodaje: – Jutro przyniesiesz wypraną czapkę do szkoły!

Ja bym ją tam wzięła i sama wyprała, ale głupio to mówić przy Agnieszce. W drodze do przystanku muszę przejść pod oknami pokoju nauczycielskiego; jeśli ktoś zobaczy, że nie mam czapki, naskarży mamie i znowu się zacznie. A mamy lepiej nie denerwować. Najpierw jednak odprowadzam Agnieszkę do domu. Mieszka niedaleko szkoły.

*Ja tam tę historię inaczej pamiętam, mówi Marian.*

Wszyscy uczniowie z mojej szkoły mieszkają blisko szkoły, tylko ja mam tak strasznie daleko. Chodzą do tego samego kościoła na mszę i religię i bawią się na tych samych podwórkach, odwiedzają się po lekcjach, pożyczają sobie książki, zeszyty.

*Nie jęcz tak, mówi Hanka. Ja też miałam wtedy daleko do szkoły.*

Do szkoły daleko mamy tylko ja i Maja. No ale Maja to co innego. Nie myślę teraz o Mai. Myślę o czapce. Pociągam nosem i idę naokoło, przez szkolne boisko. Będę musiała przejść przez płot i kilka ciemnych bram. Znowu na skróty, ale przynajmniej nie pod oknami pokoju nauczycielskiego.

## *Ciąg dalszy o wnuczusiu*

Miłosz rano trochę kasłał i babcia się przestraszyła, że jest chory. Nie poszedł do szkoły. Najpierw się trochę bawił żołnierzykami, teraz leży w ciepłym łóżku. Babcia przyniosła mu śniadanie, a potem zrobiła kogel-mogel z kakao. Teraz Miłosz ogląda z babcią *07 zgłoś się*. Miłosz trochę się boi, bo morderca jest straszny, ale porucznik Sławomir Borewicz nieustraszony, poza tym kto wie, kiedy znów będzie mógł obejrzyć Borewicza. Mama mu w domu nie pozwala.

Dziadek Karol namalował już trzy obrazy. Zaczął czwarty, ale jakoś mu nie wychodzi. Miłosz patrzy. Dziadek maluje grube kobiety przy garach i piecach. W tle jest wielka woda.

Babcia daje dziadkowi i Miłoszowi obiad i wychodzi. Jedzie do kościoła gdzieś daleko za Odrę.

– Ewangeli, ewngile... Ewangelicki – udaje się w końcu Miłoszowi.

– Po co ty tam znowu jedziesz? – denerwuje się dziadek.

Właśnie, po co jedzie do ewangeli, ewngile... ewangelickiego kościoła ponemiecka babcia? Kiedy po latach zapytam o to jej dzieci, odpowiedzą mi, że nie wiedzą, i co ja znowu ich wypytuję o babcię...

– Szukać spokoju sumienia – brzmi jedna z licznych wersji jej siostry Gerdy.

Będziemy siedziały z Gerdzią w jej dużym, jasnym pokoju z werandą. Dom będzie wyglądał tak jak jeden z tych na Pogodnie, miłej, willowej, ponemieckiej dzielnicy Szczecina. W żadnym z tych domów w roku 1945 Ruth nie będzie chciała zamieszkać. W jednym leżały trupy właścicieli, w innych biegały stada szczurów. A w tych najpiękniejszych jest najstraszniej. Przychodzi się do nich bez przerwy, najpierw po wartościowe rzeczy, potem po zwykłe sprzęty, a na koniec nawet po deski.

*Kto był w środku, nie uchronił się od śmierci. Niemców w Szczecinie na Pogodnie, jeśli byli, natychmiast się zabijało. Nie zabijało się? Kto to mówi? Kronikarze? Jacy? Ja wiem, widziałam! Opowiada sąsiadka Ruth, pani Szapiłowa z drugiego piętra.*

Szapiłowa nie zamieszkała w domu na Pogodnie w 1945, bała się zamieszkać na obrzeżach miasta, choć Polka. Wprowadziła się dopiero, jak już wiedziała, że spokój będzie. Chciała żyć.

Ruth też chciała żyć. Chciała do ludzi. Była znów cięży.

Wiem, po co jedzie czwartego kwietnia 1981 roku do kościoła za Odrą. To rocznica śmierci jej pierwszego dziecka. Tego niewyrwanego śmierci.

## Odkurzać tylko rano

W końcu ciocia zabrała Miłosza, bo od tygodnia nie chodził do szkoły. Szkoda, bo było z nim wesoło. Babcia płakała za Miłoszem, ale dziadek ją jakoś udobruchał.

Mama się źle czuje. Po pierwsze dlatego, że jest w ciąży, po drugie dlatego, że pali papierosy i bardzo nie chce palić.

– Z tobą nie paliłam – wzdycha i wychodzi do lekarza.

Odkurzam. Najpierw zamykam drzwi. Nie chcę, żeby odkurzacz, który jest już stary i ryczy jak wóz strażacki, przeszkadzał przyszywanej babci, która ucięła sobie drzemkę na fotelu przed telewizorem. Specjalnie poszłam sprawdzić i widziałam przez niedomknięte drzwi, że żółta grzywka faluje. Babcia ma otwarte usta i chrapie.

Kiedyś dziadkowie wynajmowali dwa duże pokoje studentom, ale studenci hałasowali i używali brzydkich słów. No to teraz my tu mieszkamy. My, to znaczy mama, nietata i ja. Nietata jest synem przyszywanych dziadków. Wyjechał za granicę zarabiać pieniądze. Przed wyjazdem prosił, żebym się opiekowała mamą.

Zatem niespodzianka dla mamy. Odkurzanie. Włączam na cały głośnik płytę Anny Jantar. Płyta nazywa się *Tyle słońca w całym mieście*. Nie lubię tej piosenki o słońcu, bo to nie pasuje, jak ktoś jest smutny i śpiewa wesoło, a Anna Jantar ma zawsze smutne oczy. Odkurzam i śpiewam z Anną Jantar. Jak tak dalej pójdzie, odkurzę nawet pod tapczanem i pod stołem. Chyba pogłośnie. Pogłaśniam. Otworzę też okno, wywietrzę. Jest cudownie, odkurzam pod szafką.

„Ktoś, może ty, a może ja, może tylko doła zła, chce nam siebie...” – urywa w środku Jantarka... Przystaje trąbić wóz strażacki. Cicho nagle jest jak makiem zasiał. Odwracam się. Widzę dziadka. Wszystko jasne. Wyrwał kable z kontaktu i, jak się później okaże, wyłączając adapter, porysował płytę. Dziadek od tygodnia jest w domu, maluje obrazy, macza pędzel w farbach i tworzy. Dziadek jest na emeryturze. Już nie jest marynarzem na morzu. Jeszcze niedawno był. Teraz stoi z rozwianym białym włosom, białym wąsem, biały fartuch poplamiony, wąs się rusza.

– Zrozumiała panna? – kończy.

Zrozumiała. Tylko dlaczego panna? Panna skończyła czytać *Anię z Zielonego Wzgórza* i zaczęła *Anię z Avonlea*. Lucy Maud Montgomery tam pisze, że panna to ktoś, kto niebawem wyjdzie za mąż. A dziadek dalej, że panna... Dziadek jest w złym humorze. Moim zdaniem ma zły humor od momentu, kiedy tu zamieszkaliśmy. A może tęskni za morzem? Czytałam gdzieś, że marynarze tęsknią. To zrozumiałe, że tęsknią. Ja też tęsknię za morzem i za Gdańskiem.

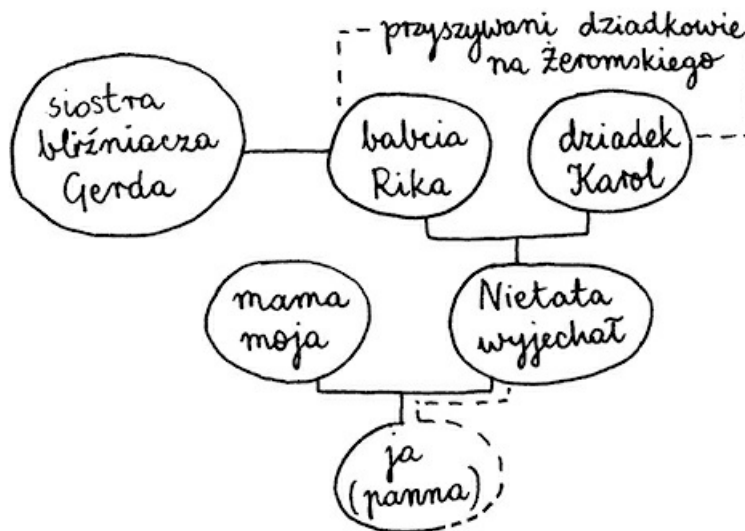
Zapisuję w pamiętniku:

Odkurzać tylko rano.

Rano jestem w szkole.



Postanawiam nic mamie nie mówić, bo odkąd wróciła od lekarza, leży na tapczanie bardzo blada. Kładę jej na czole podpaskę umoczoną w zimnej wodzie i idę odrabiać lekcje. Jestem w trzeciej klasie i nic a nic nie rozumiem z matmy. A mój prawdziwy, nieprzyszywany dziadek Antoni z Gdańska mówił mi w wakacje, żebym się uczyła matematyki, bo to jest królowa nauk wszystkich. Dziadek Antoni, co mi wiersze piękne pisał i znów napisze, jak przyjadę na wakacje do Gdańska, i włosy mi czasem nawet suszy. No to siedzę i bardzo się martwię, bo jeśli matematyka jest królową wszystkich nauk, to nie wiem, jak sobie w życiu poradzę.



## *Mikołaj*

Z rana przyszła od dziadka Antoniego z Gdańska paczuszka, a w niej plastikowa Królowna Śnieżka z bajki Disneya, pocztówka z życzeniami i 10 (słownie: dziesięć!) dolarów amerykańskich, czyli \$.

Miłosz twierdzi, że jestem bogata. Strasznie zazdrości mi tych dolarów, czyli \$.

Trochę mi teraz przykro, że jak byłam mała, rzucałam w dziadka Antoniego kasztanami i pokazywałam mu język. Opowiem jeszcze, skąd te dolary i Królowna Śnieżka, ale nie mogę teraz, bo to skomplikowane i martwię się tą matematyką.

Odzyskałam czapkę. Wypraną. Agnieszka chyba chora, nie przyszła do szkoły. Wracam do domu w czapce i nie na skróty. Idziemy sobie z Mają aż do Turzynu na piechotę. Rozmawiamy o siatkówce, o tym, że gdyby nie ten ostatni stracony serw, to wygrałybyśmy z drużyną Baški. Trochę obgadujemy Baškę. Maja stwierdza, że źle robimy, przytakuję jej. Wiem, nie wolno obgadywać, ale i tak nie lubię Baški.

Maja wsiada do autobusu i wraca na swoje osiedle Kaliny, a ja wskakuję do tramwaju i jadę do przyszywanych dziadków. Przed ostrym zakrętem zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to tramwaj w Gdańsku. Jadę w myślach przez ten Gdańsk, mijam kolejne dzielnice, wracam ze Starówki z koleżankami, albo nie, wracam znad morza i zaraz wysiadę przy pętli na Dzierżyńskiego we Wrzeszczu. Nie, nie wysiadę przy pętli, bo jak? Wtedy tramwaj spod domu nie dochodził nad morze. Kurczę, a może dochodził? Ale przecież pamiętam, że nad morze do Brzeźna jeździliśmy tramwajem. *Egal*. Pachnie morzem, nieprzyszywaną babcią.

W gdańskim tramwaju siadam zawsze tak, żeby widzieć tę stronę, na której znajduje się długi budynek z balkonami, a wśród nich ten jeden, gdzie prawdziwa, moja własna babcia chowa kompot i gdzie stoi stare ponemieckie biurko. Po przeciwnej stronie budynku znajduje się...

*Słuchaj, mówi redaktorka, nie opowiadaj teraz jeszcze tego, bo to za wcześnie. Przenieś to w inne miejsce. Teraz niech będzie tylko o babci Rice, a nie o wszystkich babcjach świata.*



To nie jest o wszystkich babciach, to jest o mojej prawdziwej babci.

Tramwaj hamuje. Otwieram oczy. Szczecin.

Patrzę na gryfa w koronie, z długim jęzorem na wierzchu, herb książąt z dynastii Gryfitów.  
Gdańsk w herbie ma koronę. Czerwoną. Dwie czerwone korony.

Wysiadam.

## *Jeszcze o King Kongu*

Ściany mieszkania Mai wypełniają maski, obrazy i jakieś dziwne potwory przywiezione z Nepalu. W rogach stoją rzeźby mamy Mai. To trochę straszne i trochę piękne mieszkanie. Przede wszystkim wielkie. Składa się z dwóch dużych mieszkań i zajmuje połowę piętra, także korytarz, przerobiony na pracownię rzeźbiarską. Te rzeźby to kobiety, smutne, nagie kobiety.

Chciałabym mieszkać w takim mieszkaniu. Chciałabym wyglądać jak Maja, mieć długie jasne włosy i niebieskie oczy i być tak wysoka jak ona. Maja ma ciemne brwi i rzęsy, chociaż ma jasne włosy. Ja też mam ciemne rzęsy i brwi, ale mam przecież ciemne włosy, a Maja ma włosy prawie białe. Dobrze się uczy i jest dobra z matematyki. Ja też się dobrze uczę, ale nie aż tak dobrze. Maja jakoś dużo szybciej wszystko rozumie i chyba nie musi się tyle uczyć co ja. Jest mądra i sprawiedliwa. W Mai jest wszystko takie dostojne i ładne, nawet beret.

Jej mama jest rzeźbiarką, a tata słynnym żeglarzem. Maja ma własny pokój. Jej tata też ma własny pokój i pisze książki podróżnicze i tak samo rzadko bywa w domu jak mój nietata. Bardzo lubię tatę Mai. Nosi brodę i jest bardzo sympatyczny. Byliśmy z nim w zeszłym roku w kinie na *King Kongu*. Nie chcieli nas wpuścić, ale tata Mai tak zauroczył panią kasjerkę, że mogłyśmy wejść. Po seansie opowiadał nam, że King Kong to pierwszy potwór w historii kina, który nie wziął się z literatury, i że scenarzystą był Edgar Wallace.

– Potwór? – upewniam się, bo trochę mi przykro, że King Kong, którego tak rzewnie z Mają oplakujemy, to niby ten potwór.

*Jakie wy płaczliwe wszystkie, zauważyła Miłosz w 2015 roku. Tylko byście wszystko oplakiwały. Maja płacze, ty płaczesz. Ty też ciągle płakałaś, urywa Hanka (jeszcze o niej będzie).*

Wtedy widziałam tatę Mai po raz ostatni, zaginął na morzu. Wkrótce potem był wielki smutny pogrzeb bez ciała w trumnie, i babcia Rika mówiła, że mama Mai na pewno przez całe życie będzie myśleć, że jej mąż wróci.

Jednak po kinie zaprzęta mi głowę coś innego, no bo gdyby im wyszło, znaczy temu King Kongowi i tej ładnej pani, to jak oni by się całowali, bo on taki duży, a ona taka mała. Tata Mai się bardzo śmiał, ale my z Mają koniecznie chciałyśmy, żeby nam to wytłumaczył. No i wytłumaczył, powiedział, że to „miłość platoniczna”. Niestety, zanim dobiegłam do domu i sprawdziłam to słowo, „platoniczna” wyleciała mi z głowy, a Maja następnego dnia też już nie pamiętała.

- Chyba patologiczna.
- A nie paranoiczna?
- Nie, nie, na pewno patologiczna!
- A co to znaczy?
- Nie wiem!

Postanawiamy sprawdzić w szkolnej bibliotece. Niestety zza popiersia patrona naszej szkoły, Władysława Broniewskiego, wyłania się niespodziewanie dyrektor Babiński. Cudownie, ani Maja, ani ja nie mamy dzisiaj na sobie szkolnych fartuszków.

- Dzienniczki! – wrzeszczy Babiński.

Niedobrze, piana na ustach.

No to mamy teraz za brak fartuszków uwagi w dzienniczku – ja już drugą w tym tygodniu, Maja to pewnie pierwszą w życiu. Oczywiście z nerwów zapominamy o patologii i King Kongu.

Wracamy z Mają do domu pochmurne. Maja idzie na obiad do babci, która tak jak babcia Mariana i Patryka mieszka za rogiem. Wszystkie babcie w Szczecinie mieszkają za rogiem! Ja wlekę się do tramwaju. Dziś nie myślę o prawdziwej babci i o Gdańsku, jedyne, na co mnie stać, to usiąść po tej właściwej stronie. Przez resztę drogi myślę o Mai. Mamy tylko takie same fartuszki i tarcze na agrałkę, a teraz jeszcze uwagi w dzienniczkach. A za dwa dni klasówka z matematyki.

Budzę się w nocy i już wiem, co ta za miłość – „platoniczna”. Żeby tylko nie zapomnieć. Zapomnę.

\* \* \*

– Sprawdziłam! Daty ci się mylą. *King Kong* miał premierę w 1976, a ty piszesz, że w 1981 roku.

– Wcale tak nie piszę.

– No jak nie?

Jak wytłumaczyć redaktorce, która całe dorosłe życie przeżyła w wolnej Polsce, że PRL z roku 1981 to nie ta sama Polska co dzisiaj. Tak jak w mojej książce, i w PRL-u nic nie ma swojej chronologii. Amerykańskie filmy nie miały premier, które pokrywałyby się jakoś z czymkolwiek. Nie miały reklam i dziś trudno powiedzieć, co decydowało, że Polacy mogli oglądać akurat *King Konga*. Jedyne, czego można było być pewnym, to tego, że amerykańskiego filmu o zimnej wojnie w Polsce nie będzie.

– Skończyłaś? – pyta redaktorka. – To zadzwoń do tego kina i sprawdź – żąda.

Nie chce mi się dzwonić i szukać, i pytać. W ogóle mogę pisać, co chcę, i wymyślać, co chcę, i nie będę niczego sprawdzać. Nie i koniec.

– Dzwon! –

Dzwonię. Cierpliwie tłumaczę kolejnym paniom i panom, o co mi chodzi, wreszcie coś zgrzyta w słuchawce, automat mówi: numer 110, numer 110, po chwili zostaję przełączona i trafiam na dyrektora Jakuba Rafalskiego albo Rafała Jakubowskiego.

– Co? – pyta zniecierpliwiony. – A po co to pani?

– Chcę porównać daty premier i opisać to w książce.

– W książce? O naszym kinie? – Głos Rafalskiego się ożywia.

– Nie o kinie, ale o filmie, który kiedyś był wyświetlany w waszym kinie.

– Aha. Ale na to to trzeba chyba zgody.

– Zgody?

– Zgody, że może pani o nas pisać.

– Ale ja nie chcę pisać o was, tylko o filmie.

– No to po co pani zawraca mi głowę?

*King Kong* mnie dobija. Dzwonię do taty i pytam, czy nie zna kogoś normalnego, kto pomoże mi dowiedzieć się, gdzie i kiedy wyświetlano *King Konga* w Szczecinie. Czy to w ogóle możliwe? Tata się dowie i oddzwoni.

Oddzwania. Owszem, istniejeteczka z 1975, mają nawet w archiwach dokumenty z roku 1972, ale teczkę dokumentującą rok 1976 zjadła wilgoć, a kopii nie ma. Może mi podać wszystkie inne daty premier, prapremier, ale o *King Kongu* nic mi powiedzieć nie może. I czy nie mogłabym wybrać sobie jakiegoś innego filmu albo jeszcze lepiej roku? Nie mogłabym. Aha. No to zaraz. Telefon. Tata mówi, że jest afera, bo roku 1981 w ogóle w archiwum nie ma. Nie ma, bo to czasy stanu wojennego, temat wrażliwy, i te czki z archiwum poznikały. A afera jest, bo kto to widział, żeby taki bałagan w Unii Europejskiej był i teraz tata ma nieprzyjemności, bo naraził pracownika, tego, co to odkrył ten brak, i wszyscy mają teraz pretensje do taty, bo będzie remanent i komisja. I dlaczego nigdy nie powiedziałam mu, że chcę iść na *King Konga* do kina, gdyby wiedział, toby ze mną poszedł i problemu by nie było.

– Nie mieszkałam wtedy już z tobą! Mieszkałam na Żeromskiego!

– Ale mogłaś coś powiedzieć!

Trzaska słuchawka po jednej i drugiej stronie. Koniec rozmowy.

Dzwonię do Mariana, ten dzwoni do Patryka, Patryk dzwoni do mamy Mai, mama Mai dzwoni do Mai, która mieszka od lat w Warszawie. Maja twierdzi, że to nie był *King Kong*, tylko *Godzilla*.

– Ja pierdołę – kończy Marian.

## Imieniny

– Kinderbal dzisiaj – uśmiecha się babcia Rika, zamyka drzwi i wraca do gości.

Dziadek uznał, że każdy człowiek zasługuje na święto raz w roku. I to jest niby tak, że babcia ma dzisiaj imieniny. Sprawdziłam i babcia imienin dzisiaj nie ma, z żeńskich imion dzisiaj tylko Penelopa. Jaka z babci Penelopa?

– Bo babcia ma dzisiaj urodziny – skomentowała mama.

No tak, jak urodziny, to imieniny.

*Wybrał Penelopę!, Miłosz się śmieje. Hanka (jeszcze o niej będzie) też rechocze. Rozumiesz, dziadek Karol globtroter i babcia Rika, wzór wiernej żony. Oj, nie mogę, ocierają łzy. Wesoło im. Zapijają te imieniny w roku 2015 wódeczką.*

Jednak w 1980 roku popijają kompot. Bawimy się w pokoju dziadka, mamy nawet stoliczek z ciastem i czekoladą. Sztalugi stoją w kącie. Są już cztery obrazy z kobietami w fartuchach, nad morzem. Wiszą nad łóżkiem babci, nad biurkiem i stoją na komodzie. Zostało tylko jedno wolne miejsce na obraz – ściana nad łóżkiem dziadka. Teraz na jej tle skacze po łóżku Hania, moja nowa kuzynka Hania. No bo zapomniałam o tej Hani wspomnieć.

*Nie zapomniałaś, ciągle wspominasz, zauważyła Hanka i dolewa sobie do kieliszka jeszcze ociupinkę, no bo jak imieniny, to imieniny.*

Teraz mam więc jeszcze siostrę. Kuzynkę.

Wygląda to tak: skaczemy po łóżku dziadka. To znaczy jest tak: skacze ja i Hania, siostra, czyli kuzynka. Miłosz nie, bo się boi. Hania skacze, bo się odchudza i nikogo się nie boi. Dziadek ją lubi. Jest starsza o trzy lata. Skacząc, popycha mnie trochę. Jest wyższa ode mnie, nabita, i jeszcze chwila, a mnie zwali. Bardzo chcę mieć brata i siostrę, jeszcze nigdy ich nie miałam, a mój brat dopiero się urodzi za pół roku. Na razie to spychanie jej więc wybaczam.

Miłosz mieszka już u siebie i znów chodzi do szkoły, jest w drugiej klasie, na tym samym piętrze co moja. Ja sobie z Agnieszką chodzę na przerwie pięknie w kółko, nikomu nie wadzę, w oczy się nie rzucam, a Miłosz łązi ostatnio za mną. Już się Marian i Patryk nim interesują. Obawiam się, że to tylko kwestia czasu, jak wykryją, że Siusiak to mój brat. Na Miłosza wszyscy mówią Siusiak niestety.

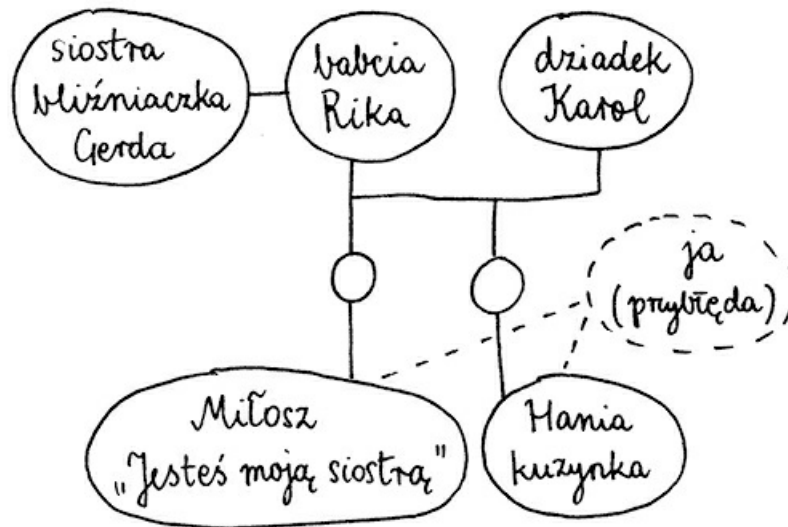
W pewnym sensie już po mnie. Sprawa jest z założenia przegrana. Jak Marian i Patryk przycisną Miłosza, to nie tylko ten się posika, ale też wszystko im wyśpiewa, a ja już na zawsze, aż do ósmej klasy zostanę Siostrą Siusiaka. Nie wiem, co robić. Agnieszka też nie wie. To są te rzadkie chwile, kiedy perspektywa wyjazdu do Niemiec na stałe nie wydaje się aż tak straszna. Tyle tylko że jestem w trzeciej klasie i wtedy jeszcze nikt nigdzie nie wyjeżdża. Nietata jest w Hamburgu, ale tylko zarabia tam pieniądze, obiecał nawet, że przywiezie mi Barbie, a mama się źle czuje, bo ciągle jeszcze jest w ciąży.

Skaczemy nadal po dziadkowym łóżku i myślę, że to stosowna okazja, aby przypomnieć Miłoszowi, jak sprawy się mają.

– Pamiętasz, co przysięgałeś?

– Pamiętam! – pociąga nosem.

- Zbiję cię na kwaśne jabłko, jak piśniesz słowo.
  - Nie zbijesz! Jesteś moją siostrą! – piszczy Miłosz.
  - Hanka i ja przestajemy skakać. Jesteśmy pod wrażeniem.
  - Ona nie jest twoją siostrą – mówi w końcu Hanka.
  - Mama mówi, że jest.
  - Czyja mama?
  - Jej mama. – Miłosz wskazuje na mnie palcem. – Jesteś czy nie? – pyta płaczliwie Siusiak.
  - Nie jest. – Hanka zeskakuje z łóżka. – To jest tylko... – szuka w myślach – przybłęda!
- Przybłęda z Gdańska!





## Przybłęda

Z Gdańska (w którym urodzili się moja mama, tata, ja i wszyscy moi bliscy – nieprzyszywani) wracamy zawsze do Szczecina. Do naszego mieszkania z grzybem na ścianie. Mieszkamy tam z mamą i prawdziwym tatą, dopóki któregoś dnia mama taty nie zostawi. Na razie jednak są jeszcze razem. Prawdziwy tata pochodzi z Gdańska, ale z powodu pracy musiał się przenieść do Szczecina.

- A co robi twój tata? – chce wiedzieć Miłosz.
- Jest nauczycielem.
- Czego uczy?
- Wszystkiego, ale głównie matematyki i fizyki.
- Straszne.

Mieszkanie znajduje się w dzielnicy, której nazwy nie pamiętam, nie znam.

– Jak możesz nie pamiętać, dziwi się tata. To jest CENTRUM! Po chwili dodaje: prawie centrum.

Tak więc w dzielnicy Prawie Centrum dzielimy mieszkanie z trzema innymi rodzinami. W pierwszym pokoju mieszka lekarz, pan Ptaszek, z żoną. W środkowym, największym pokoju z werandą – my. W trzecim pokoju od ulicy mieszka szalony chemik z dziewczyną na kocia łapę. Ta Kocia Łapa jest strasznie śmieszna, malutka i słodka. Długo będę myślała, że Kocia Łapa to kot chemika i jego dziewczyny, bo mają małego kotka.

*Nie mieli żadnego kota, wtrąca mama. Mieli. Nie mieli. Mieli! Ja nie pamiętam, ja pamiętam.*

Kamienica z dużymi werandami jest ponemiecka i stara, ulica wije się ku górze, zakręca i kończy blisko parku Kasprowicza. Nigdzie później w żadnym parku nie zobaczę tyłu platanów. Uwielbiam te silne drzewa z szarą korą, ale nie znoszę Szczecina, w którym czeka na mnie szkoła, worek z kapciami, tarcza i fartuch. Jest też domek dla lalek z mebelkami i czerwony wózek dla lalek, który tata kupił mi w NRD. Wózek jest piękny, głęboki i żadna dziewczynka na podwórku takiego nie ma. Zbyt wielu dziewczynek zresztą w Szczecinie w Prawie Centrum nie znam. Wszystkie moje najlepsze koleżanki mieszkają w Gdańsku.

Jest sierpień i koniec wakacji. Wschodzi słońce. Pociąg do Szczecina z Gdańska-Wrzeszcza wyrusza jak zawsze o czwartej nad ranem, jakoś zdążamy. Dworzec Główny w Szczecinie: Odra, port, most, kościół i brama portowa, potem droga do domu. Ale za którymś powrotem jest inna droga i zupełnie inne mieszkanie. Bez pana Ptaszka, Kociej Łapy, taty i grzyba na ścianie. Jest za to jakieś osiedle, niedaleko osiedla mojej koleżanki ze szkoły, Mai. Tylko co z tego? My tu nie mieszkamy!

- Teraz już mieszkamy – informuje mnie mama.

Spoglądam na nieznane klamki, tapety i drzwi. Oglądam przedmioty w nieznanym regale: porcelanowe kotki, ptaszki i dzbanki.

– To wszystko nasze? – pytam trochę z niedowierzaniem i trochę z nadzieją, bo tyle nowości to zawsze jakaś rekompensata za domek dla lalek i Kocią Łapę.

Sierpień, ale już jesień, więc dostaję jeszcze kozaczki, sznurowane, oczywiście brązowe i oczywiście ze skaju. Jesienny prezent na nowe mieszkanie. Przeszkadzam chyba mamie i nietacie w przyswajaniu nowego mieszkania, bo wysyłają mnie na osiedlowe podwórko. Stoję więc przed klatką godzinę, dwie. Przyzwyczajam się.

Teraz wszystko już będzie doszywane jak babcia Rika i dziadek Karol. Osiedlowe mieszkanie okaże się chwilowe, za chwilę przeprowadzimy się do innego, a potem do dziadków na Żeromskiego, a potem jeszcze na Kochanowskiego i z powrotem na osiedle, na Derdowskiego, a na koniec na Ujejskiego. Szymanowski, Żeromski, Kochanowski, Ujejski, Derdowski, znam ich ze wszystkimi ich podwórkami, przystankami, sklepami, śmietnikami.

*Weź tak tego nie wymieniaj – zauważyła redaktorka. Bo za dużo i brzmi jak kiepski wiersz. Tylko brakuje, żeby się zaczęło rymować. Dobra, to wykreślamy. Nie, zostawiamy!*

Na razie jest nowy nietata, którego znam z wcześniejszych spacerów po parku Kasprowicza. Mama nam takie spacerowe zapoznawcze fundowała. Miło się spacerowało. Nietata, bardzo sympatyczny i miły młody pan, którego pytam, czy wie, kim jest mój tata.

- Naprawdę tak zapytałam? – zapytam ojczyma po latach.
- Tak. Pytałaś, czy wiem, kto jest najmądrzejszy i najsilniejszy.
- No i co? Kto?

## *Pisz*

- Nie pisz o mojej mamie – mówi ojczym.
- Pisz o niej! – mówi mama.
- Napisz o naszej babci – mówi kuzynka.
- Nie masz już o kim pisać... – mówi mój tata.
- O Niemce będziesz pisać? – mówi ciocia Lala.

Będę. Nie będę. Będę. Może będę.  
Może nie będę...

## ROZDZIAŁ II

*Nienawidzę brzoź.*

## *Nie pisz*

Nie napiszę jednak tej książki. Zbyt mnie boli. Zmieniam imiona, zmieniam nazwy ulic, ludzi, zmieniam, co mogę, a i tak wszystko jest takie, jakie było naprawdę.

*Nie gadaj, przecież zmyślasz wszystko, mówi mama.*

Jest tyle innych żyć ciekawszych, jest tyle innych spraw ważniejszych i jest kilka innych książek, a ja o tej Niemce, Ruth, Rice.

Zamykam zmęczony komputer i spoglądam za okno. Mała wiewiórka biega po płocie, drażniąc kota sąsiadów. Jest szybka, zwinna, zebrała orzeszki i co sił w nogach pędzi przed siebie na drzewo. Kot za nią.

– Mamo, koty nie jedzą wiewiórek! – zauważa moja córka.

– A czy ja mówię, że jedzą? – Po chwili pytam: – Skąd wiesz?

– Nie wiem, czuję. I nie mają nóg, tylko łapy.

Patrzę na nią, ma dziewięć lat. Jest wysoka, pewna siebie, ma jasne włosy i niebieskie oczy. Moja córka mogłaby być córką Mai, ale nie jest. Otwiera drzwi, bierze mój but i rzuca nim w kota.

## *Mówi się!*

Gdy mam dziewięć lat, już czuję, że nie polubię kotów. Unikam ich. Co prawda będę miała w najbliższych dwudziestu latach trzy koty, jeden będzie psychicznie chory, drugi nie będzie jadł, pił i wychodził spod łóżka, a trzeci... a trzeci będzie jak człowiek. I jak człowiek zazdrosny, władczy. Wszystkie koty pojawią się nagle, jak niezaplanowane ciąży. Pierwszy odejdzie z sąsiadem, drugi z dzieckiem znajomych, a trzeci banalnie – świtem na podwórko. Wolę zdecydowanie psy, psy ponad wszystko. Będą zdane na mnie i będę miała ich trzy. Teraz jednak u przyszywanych dziadków w małym pokoju na Żeromskiego 116 mieszkania 3 jeszcze nic nie wiem o małej słodkiej jamniczce, kupionej gdzieś w ponemieckiej wiosce, i niesfornym sznauercze z zabiedzonego polskiego schroniska. Nie wiem też nic o psie, którego chcę w roku 2015 ja i którego chce moja córka, a którego nie chcą mój mąż i syn.

*Weź tak nie przeskakuj, człowiek nic nie rozumie, zauważa Miłosz. Hanka śpi.*

W roku 1981 przy akompaniamencie śnieżnej zawiei i wśród złowrogich podmuchów wiatru zajęta jestem *Anią na uniwersytecie*, która opuściła Zielone Wzgórze, Avonlea i dotarła do Kingsport na uniwersytet. Zamieszkała właśnie z przyjaciółkami w małym przytulnym Ustroniu Patty, jest najzdolniejszą studentką, ale nie lubi matematyki. W roku 1900 na uniwersytecie w Kanadzie studiuje mnóstwo młodych, ambitnych kobiet. Kiedyś to wygoogluję i sprawdzę, na razie we wszystko wierzę.

Panna Anna Shirley (bo rozgląda się już za mężem) buja się w fotelu i głaszcze kota, a ja, przyświecając sobie latarką, leżę pod kołdrą, czuję na twarzy ciepło kominka, miękkość futerka Mruczka i waży się moje przywiązanie do kotów. Pani Szapiłłowa, sąsiadka nasza – nie Ani – ta z drugiego piętra, mówiła mi wczoraj, że w piwnicy urodziły się małe kocięta. W naszej kamienicy poza panią Szapiłłową nikt nie trzyma kotów. Na razie kociaki się topi, biega za pomarańczami, stoi w kolejce po papier toaletowy. Kto zatem w roku 1981 walczyłby w Szczecinie o prawa kotów? Zanim Facebook zacznie obchodzić Dzień Kota, wydarzą się niesamowite rzeczy. Padnie mur berliński, Amerykanie wybiorą ciemnoskórego prezydenta, Polacy braci Kaczyńskich, a Unii Europejskiej przewodniczyć będzie Polak, no i dopiero wtedy, siedemnastego lutego, może być Dzień Kota.

Nad ranem, gdy pakuję śniadanie do torby i myślę o tych kotach w piwnicy, mama dostaje pierwszych bóli. Kot za płot, śniadanie upada, biegnę po sąsiada. Sąsiad jest taksówkarzem. Nie ma jeszcze taksówek na telefon ani przez internet, taksówkę się zdobywa, o taksówkę się walczy, a sąsiada taksówkarza się poważa.

O godzinie 7.08 zbiegam więc ze szpitalną torbą (zawartość: 2 × śpioszki, 3 × kaftaniki, 1 × bawełniana czapeczka, 1 × smoczek, 1 × puchowy becik, 10 × tetrowe pieluchy; dla mamy 1 × nowy szlafrok, 2 × bielizna na zmianę). Za mną po schodach toczy się dziadek z mamą. Wsiadają do taksówki, odjeżdżają. Nikt nie pamięta, dlaczego nie wzywamy karetki pogotowia.

Babcia przez chwilę jeszcze opiera się w oknie na poduszkach, ale jest zima, minus pięć stopni. Babcia zamyka więc okno, wraca do kuchni, otwiera spizarkę i będzie kroić swoje salami.

– Nerwowa jakaś jestem – powie jeszcze.

Siedzę na kuchennym taborecie. Już dosięgam nogami podłogi i zastanawiam się, czy nietata się zgodzi, żeby mój brat miał na imię Marcin. Mama obiecała mi, że jeśli urodzi się chłopiec, to będzie Marcin, jeśli dziewczynka, to Ania.

– Ty wybrałaś, to tak będzie. – Głaszcze mnie po głowie.

Jestem taka dumna. Wybrałam, zdecydowałam i tak będzie.

Mama ma spuchnięte nogi i ręce, nie nosi już ładnych pierścionków, na przykład tego z piaskiem pustyni, i jest całkiem niepodobna do siebie. Dobrze, że nietata jej takiej nie widzi, boby ją zostawił i Marcin już w dniu narodzin nie miałby taty. Myślę o tym przez chwilę, ale właściwie co w tym strasznego, że się nie ma taty? Grunt to zdrowie, jak mawia babcia z Gdańska, i oby do zimy! Dlaczego Marcin, a nie Piotrek, Jacek czy Darek, to innym razem, bo po mamie została na Żeromskiego kałuża krwi i bardzo się martwię.

Siedzimy na naszych taboretach. Pada śnieg i już dawno po świętach. Ciemny, mglisty poranek. Okropnie beznadziejny styczeń bez Mikołaja i prezentów.

– Idź do szkoły, dziecko – mówi babcia Rika, pali swojego carmena, salami już schowała.

Pierwsza jest dziś matematyka, myślę, że sobie beze mnie poradzą. No i jak to było?... Dziecko się rodzi, moc truchleje... nie, nie dziecko, co to truchłało?

Z kościoła, jak zawsze o tej porze, dobiega nas bicie dzwonów.

– Oby na dobre, oby na dobre te dzwony – cicho modli się babcia Rika po niemiecku. Inaczej się modli niż moja babcia z Gdańska. Nie kłęka, nie ma różańca, w domu nie wiszą obrazki Matki Boskiej. Jakieś to wszystko spokojniejsze jest, a do kościoła za Odrą daleko, więc jeździ tylko raz na miesiąc albo na rok.

Ciszę przerywa telefon.

– Mówi się! – krzyczy babcia do dyspozytorki. – Mówi! No mówi! – Babcia zawiesza słuchawkę i patrzy na mnie ze zdziwieniem, jakby to pierwszy raz rozmowa się zbiesiła i poszła, kto wie dokąd. – Przerwał!

– Czy w Hamburgu też pada śnieg? – pytam na wszelki wypadek. Pytam, bo naprawdę nie wiem, gdzie ten Hamburg leży. Podobno nad morzem.

– Pada śnieg – odpowiada babcia po dłuższej chwili – koło naszego domu były takie zaszpy – wstaje i pokazuje, że aż po szyję.

– Zaszpy, śnieg – poprawiam babcie. – Miałaś tam dom? Prawdziwy?

– Mówię przecież, śnieg i zaszpy! – niecierpliwi się babcia, aż żółta grzywka faluje. – Mieliśmy dom z cegły. *Haus. Ein Haus.*

– Z czego ten *Haus*? – nie rozumiem.

– Z cegły!

– Z cegły!

– Z cegły! – Babcia ma odmłodzoną twarz. – Dziadek odgarniał śnieg!

– Dziadek? Twój?

– Nie. Twój.

– Dziadek Karol?

Czy mam jej powiedzieć, że dziadek Karol, gdy nazwałam go ostatnio dziadkiem, odparł, że dziadek to stoi pod kościołem i żebrze, i on, moja panno!, nie jest żadnym dziadkiem!

Zapisałam w pamiętniku:

Nie mówić: dziadek.  
Jak mówić?

Dwie godziny później dziadek Karol przyjeżdża z wiadomością, że wszystko dobrze i że dziecko się rodzi. Mówiłam... dziecko się rodzi... moc truchleje... itd. Dziadek, już nie marynarz, ściąga śmieszny marynarską czapkę z daszkiem. Siada przy kuchennym stole.

Zaraz zapalą papierosa. Zapalają. Czekają.

Telefon.

– Mówi się! Mówi! O to ty już mówisz? No już! Już się wyrodzi... już się nachodzi...

Wzdycham, babcia chce powiedzieć „rodzi”. Dziadek pali dalej, zawiózł mamę, swoje odrobił. Rodzenie i mówienie o tym już jest sprawa kobiet.

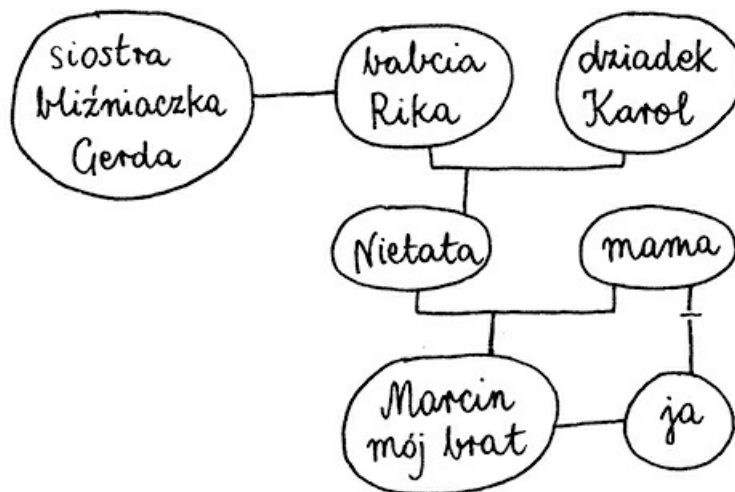
Przejmuję słuchawkę.

– Masz dziecko! – informuję rzeczowo nietatę. – Czy może mieć na imię Marcin?

Nietata, syn przyszywanych dziadków, mówi, że tak, ale jest zdenerwowany i nie ma z nim normalnej rozmowy. Gdybym zapytała teraz, czy mogę wrócić do mojego prawdziwego taty albo do babci do Gdańska, też by pewnie się zgodził.

Oddaję słuchawkę zaferowanej babci i idę do pokoju z zakrwawionym prześcieradłem. Muszę sobie teraz wszystko na nowo poukładać.

Jestem siostrą.





## *Marcin*

Marcin, ponieważ książkowy Marcin z *Zapałki na zakręcie* Krystyny Siesickiej jest mądry, szlachetny i nierealny. Czytałam *Zapałkę* w czasie wakacji w Gdańsku u prawdziwej babci trzy razy z rzędu i zakochałam się w Marcinie. Nie ma takich Marcinów, ale ja w to imię wierzę. Wiara to poważna sprawa i mój brat będzie właśnie kiedyś taki jak Marcin: szlachetny, mądry i trudny. Trochę nierealny.

Czasem będę go dotykać, żeby sprawdzić, czy jest naprawdę. Będę go nosić na rękach, zamykać drzwi na klucz, bo nietata kilka dni po narodzinach Marcina przyjedzie z Hamburga i mi tego noszenia zabroni. Nie szkodzi, za jakiś czas znów wyjedzie. Teraz jeszcze jest i boi się, że Marcina upuszczę. Nietata jest jeszcze taki młody, o wiele lat młodszy od mojej mamy. Śmieję się. Ja? Ja upuszczę Marcina? Boże kochany! Noszę go i przytulam. Jest taki chudziutki, wygląda zupełnie inaczej niż dzieci z obrazków na Milupie, którą nietata przywiózł z Niemiec. Nie szkodzi. Kocham cię, Marcinie, i nie upuszczę.

*Co?, budzi się Hanka. Nie upuszczę!*

Hania i Miłoz wpatrują się w zawiniątko w łóżeczku.

– Dasz czasem ponosić?

– Zobaczę.

– Wiedziałam, że będziesz taka!

– Jaka?

– Wredna! – Hanka wzrusza ramionami i wychodzi.

Miłoz nie wie, co robić. Na wszelki wypadek wychodzi za Hanią.

Przyjdą jeszcze koza Miłoz–Hanna do woza, jak zobaczą wózek z RFN-u... Z takim wózkiem spacerować to nie byle co. Niedługo będę ich błagać, żeby spacerowali za mnie, ale to dopiero latem.

Zamykam drzwi i podnoszę zawiniątko z Marcinem. Sobie chodzimy po pokoju, raz, dwa, trzy, raz, dwa, czekaj, położę cię w łóżeczku i przekręcę klucz w drzwiach. Gotowe. Chodź do mnie, do siostry, maleństwo. Raz, dwa, pukanie. Co za...?

– Ty wredna małpo, otwieraj!

– To tylko Hania – uspokajam Marcina, który usypia lulany na moich kolanach.

## Czy Szapiłłowa widzi?

Na pierwszy spacer z Marcinem wyjdzie babcia. Popycha wózek przed sobą i patrzy, czy Szapiłłowa widzi, że ona pcha ten brązowy wózek ze sztruksu z gwiazdkami w środku. Wózek osadzony na dużych kołach.

Resory!

Wózek na resorach! Syn przywiózł wózek od Niemca z RFN-u. Od tego Niemca, którego Szapiłłowa wygnała na początku 1946 roku z mieszkania na drugim piętrze... No może nie od tego samego, ale od Niemca, bo z Niemiec.

Przegnała Szapiłłowa starca na wózku inwalidzkim i jego pięcioletniego wnuczka. Szwabyl! Hitlerowska zaraza! Tak krzyczała wtedy Szapiłłowa. Dzisiaj chodzi po niemieckie paczki z Caritasu do kościoła. O wszystkim zapomniała, ale babcia Ruth nie zapomniała. O dzieciach Ruth Szapiłłowa mówiła: bachory Niemry! Dzieci Szapiłłowej mają bić szwabów! A co! I będą je lać i prać, prać i lać. *Hände hoch*, szwabie! Firanki w kuchni i w pokoju się przesuwają. Patrzą Szapiłłowa młoda i Szapiłłowa stara, reszta dzieci Szapiłłowej się rozjechała, a Szapiłłowa tu została. Złote góry jej obiecali – tu w Szczecinie na Kreckower Strasse, wtedy to była Kreckower Strasse, dzisiaj Żeromskiego. To było wtedy, gdy Stettin był jeszcze Stettinem i Karol jej, Rice, obiecał, że tu będą Deutschlandy. A osiedle willowe Pogodno wtedy się nazywało jeszcze Schönau.

Młoda Szapiłłowa siedzi w oknie, a szpetna taka, że z domu nie wychodzi. Łamaga, pokraka. Babcia pryca i mija osiedle Pogodno (patrz Schönau w roku 1945). Resorują kółka dobrze, niemiecki wózek lekko się prowadzi na poniemieckiej płycie.

Obiecanki cacanki. Co to są cacanki? Rika wciąż chce zapytać o to Karola, ale zapomina. Tyle był na morzu, że więcej go nie było, niż był. A jak wracał, było o co innego pytać. Dobrze. Idziemy, Marcinku, na spacer. Niech patrzą. Babcia Rika zaraz wywiezie Marcinka na polankę za mostem. Nikogo nie ma, to pośpiewa małemu, bo coś płacze. Kołysanka nie pomaga, mały jeszcze bardziej płacze. Głodny. Drży ręka Ruth, gdy wyciąga małego z wózka, drży jeszcze bardziej, gdy ma go nakarmić. Nie, nie da rady, nie będzie go karmić. Wraca do domu. Głodny, to płacze.

– Czemu go nie nakarmiłaś – zapyta mama Marcina i moja – przecież miałaś ciepłe mleko w siatce.

Czemu? Czemu? Temu!

Z mlekiem to trzeba ostrożnie.

– Co mówisz?

– Nic! – Babcia odchodzi w głąb mieszkania, znika, zamyka się w sobie.

Chcę wiedzieć, co jest z tym mlekiem, i się dowiem.

– Może chory? – martwi się dziadek.

Marcin zaciska piąstki, jest siny od płaczu, dostaje butlę i zadowolony. A ja ślęcę nad swoim talerzem. Wszyscy już dawno swoje obiady pokończyli. Nie lubię zup, kartofli, schabowych, w ogóle jeść nie lubię, a nietata mnie wciąż do jedzenia zmusza. Będiesz duża,

zdrowa i gruba. Cieszy się.

Dziadek wiesza kolejny obraz, w telewizji polski krajobraz, kolorowe dywany pięknej ojczyzny, a zaraz potem 07 zgłoś się i Borewicz w pogoni za tajemniczym nieznajomym w długim esesmańskim płaszczu.

\* \* \*

W nocy zapala się lampka w pokoju.

- Ryczy i ryczy – żali się mama.
- Może jest głodny – mówi nietata.
- Już jadł! Tylko by chciał, żeby go nosić i nosić!

\* \* \*

W nocy budzi nas huk. Okazuje się, że pękła szklana butelka. Butelka pęka punktualnie o 2.00 w nocy, a o 2.20 jest telefon.

– Mówi się! Mówi! – Kiedy pękają butelki, ster przejmuje dziadek Karol – *Wer? Maximilian? Ja, ich höre, ja ich weiß. Ja, ich sage es ihr. Ja! Nein! Vielleicht. Es tut mir leid, Gerda. Przykro mi. Auf wiedersehen!*

– *Dein Vater ist tot*, Rika – mówi dziadek.

Babcia Rika płacze. Marcin płacze, bo Marcin zawsze płacze.

– Ojciec babci umarł – mówi nietata – jej *Vater*.

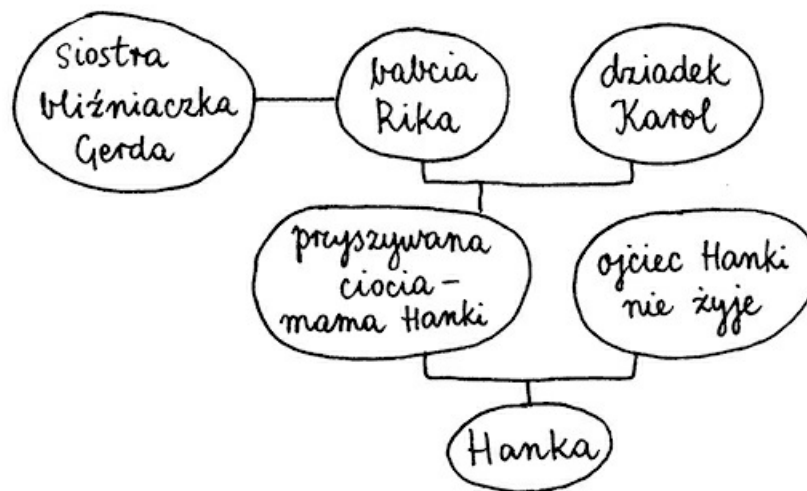
*Vater* to ojciec. *Tot* to nie żyje.

Już znam cztery wyrazy: *Haus, zuhause, Vater i tot*. Za kilka lat wyjadę do Niemiec i niestety do tego czasu je zapomnę.

Siedzimy w kuchni na taboretach. Już marzec.

## A bo to było tak, moja droga

– Jak już musisz to wiedzieć, to ci powiem – wzdycha mama Hanki, córka babci Riki i dziadka Karola – ten Vater, który wtedy zmarł, wiesz, ten Vater, co był tot, to nazywał się Maximilian Korn.



Mama Hanki to moja przyszywana ciocia. Nie będę o niej za dużo pisała, bo po co. Mama Hanki to mama Hanki i siostra mego nietaty. Patrzę w komputer, na brzozę za oknem i myślę sobie, że właściwie to szkoda, bo o tej przyszywanej ciocie to można by dużo opowiadać. Bardzo dużo. Jej mąż...

*Nie chcę, żebyś o tym opowiadała, mówi Hanka.*

– No to słuchaj – ciągnie dalej matka Hanki.

– Słucham!

– U ojca mojej matki Riki pracował mój ojciec, dziadek Karol.

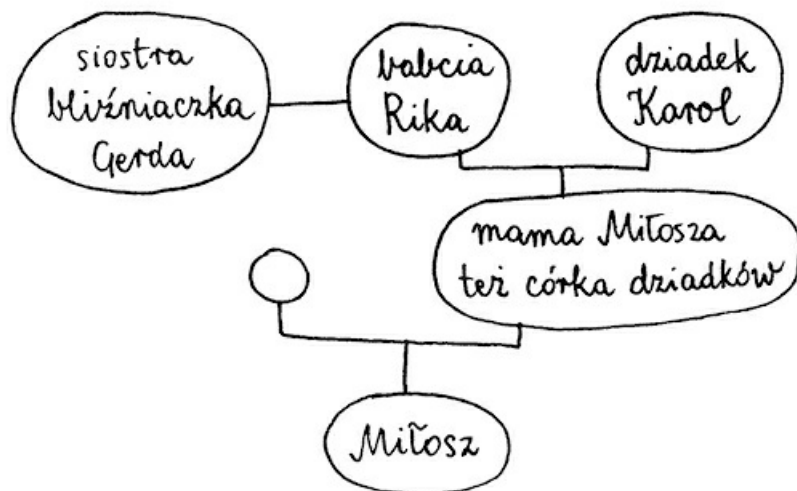
– U jakiego ojca?

– No ojciec babci Riki, ten, co umarł o drugiej w nocy.

– Aha. Znałaś go, tego dziadka Maximiliana?

– Nie przerywaj! Nie znałam, bo umarł, jak trzaskały te butelki w 1981. No więc mój ojciec Karol był w czasie wojny przymusowym robotnikiem w Hamburgu i zakochał się na zabój w mojej matce – Rice.

*Czemu ona tak bez przerwy z tym „moja matka” i „mój ojciec?” – Miłosz nie rozumie. To też matka i ojciec mojej matki. Nie przerywaj, denerwuje się Hanka.*



– No ale jak to, był robotnikiem przymusowym? – pytam.

– Niemcy złapali go w Warszawie i wywieźli.

– Gdzie złapali?

– A co ty jakaś taka dziwna, jakbyś filmów nie oglądała? Esesmani zatrzymali tramwaj, zgarnęli ludzi i wywieźli.

*Myślę o tym tramwaju, śnię o tym tramwaju, piszę o tym tramwaju. Szukam historii o tramwajach.*

– ...i Maximilian miał dwie córki, Rikę i Gerdę, i Karol się zakochał – mówi matka Hanki, a mnie przez ten tramwaj uciekła połowa historii.

– Kto?

– No Rika i Karol. W sobie się zakochali.

– A gdzie Karol pracował?

– W cegielni.

– Robotnik przymusowy z Polski w roku 1943 zakochał się w Niemce?

– No a czemu by nie?

– No nie wiem.

– A co tu wiedzieć? A bo to miłość wybiera?

– I co dalej?

– No i uciekli w 1945 do Polski. Okrutnie się kochali.

*Melodramat normalnie, krzywi się Hanka.*

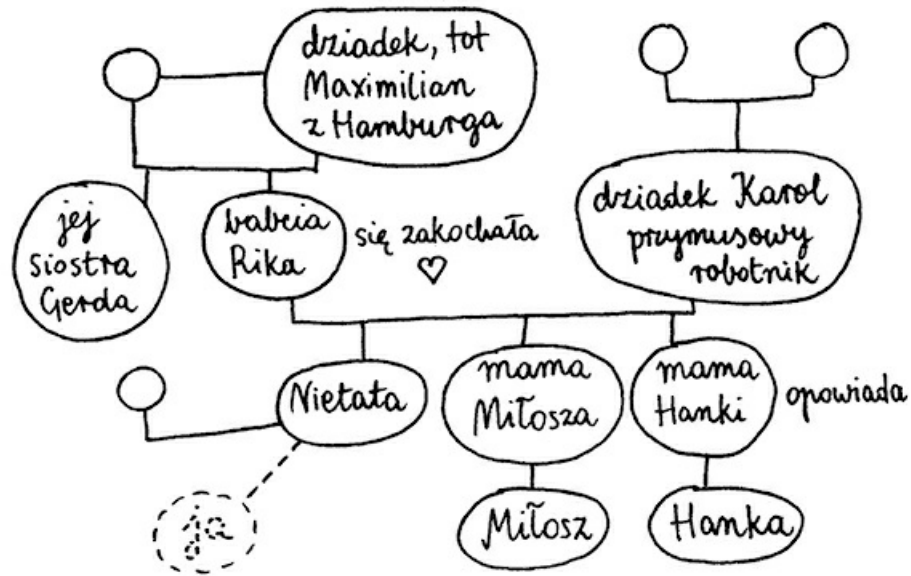
*Ja pierdzielę!, mówi Hanka. Się nie połapiesz w tym drzewie. Patrzę z Miłozem w drzewo genealogiczne. Też patrzę.*

– Robotnik przymusowy uciekł z Niemką w 1945 do Polski – sylabizuję powoli, bo w filmach tego nie było.

– Uciekali i uciekali aż do Szczecina. Bo tam był port, a mój ojciec Karol to już od dziecka chciał być marynarzem.

– W Hamburgu też jest port – zauważam.

– Ale kto by wtedy chciał u szwaba zostać? Karol chciał do Polski!



– A jaka to Polska była w 1945? I w ogóle kto to wtedy wiedział, że Szczecin będzie polski?

– A co ty taka mądra, aaa? – Mama Hanki jest wyraźnie poirytowana, nie będzie ze smarkatą dyskutować. W końcu wzrusza ramionami: – Nie wiem.

No właśnie. Też nie wiem. Sporo nie wiem. Wtedy ludzie wiedzieli jeszcze mniej.

– Bardzo się kochali. Babcia Rika była w ciąży, jak uciekała z Karolem – mama Hanki snuje urwany wątek. – Powiem ci, biedna ta moja matka była wtedy na wojnie i po wojnie. Biedna Niemka i biedny Karol, Polak.

## *Nach Stettin*

Z kartonu, który odnajdę w piwnicy, wyjmę parę pożółkłych listów. Przeczytam w jednym z nich, że Szczecin to było miasto wymarzone Karola jeszcze przed wojną. Nie żaden Hamburg, nie Gdańsk, nie Gdynia. Wymarzony był Szczecin. W dzieciństwie, jeszcze przed wojną, Karol pojechał ze swym ojcem *nach Stettin* i zakochał się w szczecińskim porcie.

– Tu będę pracował i stąd będę wypływał – poinformował zdumionego ojca.

Jak można zakochać się w *Stettin*. W kartonie odpowiedzi nie ma.

*Jaki karton?, pyta Hanka.*

– I powiem ci, że lepiej, że go wywieźli na te roboty, boby go gestapowcy w tej Warszawie zabili – opowiada dalej mama Hanki.

– Dlaczego?

– W konspiracji był.

*Jak to w konspiracji?, pyta Miłosz.*

– Jak to w konspiracji? – pytam mamę Hanki, bo to nic a nic nie pasuje do dziadka Karola, najpierw marynarza, potem malarza.

– Nie wiem, ojciec dużo nie mówił. Mama mi mówiła, znaczy babcia Rika.

Milczymy.

Już się nic więcej nie dowie matka Hanki o swoim ojcu, czyli o dziadku Karolu. O tym jak dzień przed łapanką uczestniczył w akcji, że mówili na niego Zoja i że w 1939 roku w gmachu ASP na Wybrzeżu Kościuszkowskim złożył przysięgę, że jakby co, będzie żywą torpedą.

*Żywą torpedą?, Miłosz wybałusza oczy.*

*Nie, teraz nie będzie o tym, innym razem.*

*Jeden Karol i tyle żyć.*

– No ale co z tym Maximilianem, który umarł, jak pękła butelka? – pytam mamę Hanki, bo jakaś chronologia musi być. – To twój dziadek przecież. Nigdy nie pojechałaś do Hamburga w odwiedzin?

Mama Hanki ze zdziwieniem patrzy na mnie i wreszcie przenosi wzrok na obraz kobiety przy garach, w tle morze. Niżej biurko dziadka Karola, na nim on sam i babcia na zdjęciach. Bo kiedyś pędzli nie będzie, za to dużo fotografii Karola na morzu. W mieszkaniu po dziadkach zamieszka Hanka, ona i wnuki. Następne pokolenia, wielu nowych ludzi. Ale to dopiero potem. Kiedyś.

– A kto tam by po wojnie myślał o takich rzeczach! Paszportów nie można było dostać. Zaproszenie trzeba było mieć. Ty dziwna jesteś – kończy rozmowę.

Ale dlaczego trudno? Aha, bo to wszystko dzieje się pod koniec lat osiemdziesiątych, znaczy ta rozmowa z mamą Hanki.

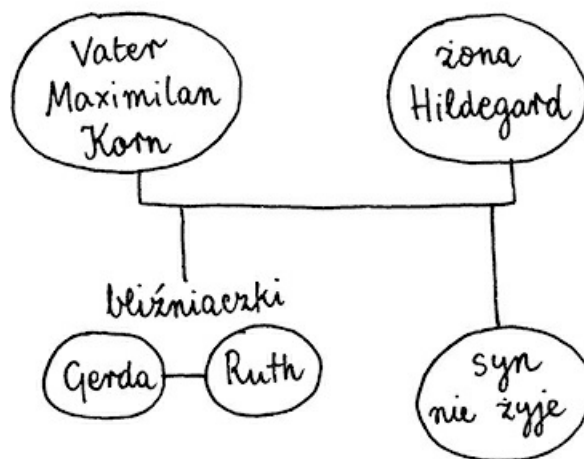
No i mama Hanki wychodzi. Poduszki układa w oknie, tak jak niegdyś jej matka. Do Szapiłowej dzieci przyjechały w odwiedzin, trzeba popatrzeć, jak wyglądają, co tam przywiozły.

*Dobra, co z tym Maximilianem?, pyta Miłosz.*



## Co z tym Maximilianem?

Maximilian to ojciec Riki. Ten sam, u którego pracował Karol w czasie wojny. Mieszkał w Hamburgu i nazywał się Korn. W roku 1943, kiedy Karol przyjechał bydlęcym wagonem do Hamburga, *Vater* był w sile wieku. Miał czterdzieści siedem lat i nie miał ani jednego siwego włosa. Żona Hildegard zmarła kilka lat wcześniej, przed śmiercią błagając go, aby dobrze wydał córki za mąż i nie przepił cegielni. Przysiągł żonie, którą kochał bardziej niż kiedykolwiek ona jego, że ostatnie jej życzenie spełni. Jeśli to w ogóle możliwe, Hildegard umierała w spokoju. Gdyby nie śmierć żony, a potem jeszcze inne okoliczności, *Vater* miałby całkiem znośne życie.



Było tak. Dwanaście miesięcy po ślubie z ukochaną Hildą urodził im się syn, który po roku zmarł. *Vater* spłodził niebawem bliźniaczki, Gerdę i Ruth. Gerda otrzymała imię po matczynej babci, Ruth po ojcowskiej. *Vater* wybudował duży dom, posadził drzewo, był zamożny. Dzieci chowały się zdrowo, znaczenie Maximiliana w mieście rosło. W roku 1938 Maximilian Korn zasiadł w senacie, a w 1940 jadł kolację z führerem i zaprzyjaźnił się z rodziną Alberta Speera. Jeszcze długo po wojnie powtarzał, że gdyby nie przegrana, miałby dziś co najmniej pięć cegielni, nie jedną. Nie wiedział tylko, że nawet gdyby führer wygrał wojnę, on, Maximilian, nie miałby nic więcej. Pochodził ze zubożałej rodziny kupieckiej, która w latach dwudziestych otrzymała od dłużnika cegielnię i kilka żyznych hektarów pod Hamburgiem. Z początkiem lat trzydziestych Maximilian przejął po ojcu majątek, który unowocześnił i rozbudował energiczny administrator, zatrudniony jeszcze przez ojca Maximiliana. Dzięki sprzyjającej koniunkturze i sprytowi wiernego pracownika interes kwitł. Niestety, pomimo znacznych wpływów Maximilianowi nie udało się ochronić administratora przed wysyłką na front, a biur i magazynów przed bombą. Tak więc, gdy w roku 1943 administrator tracił życie na froncie z głośnym okrzykiem *Heil Hitler!*, cegielnia dychała już ledwo, ledwo. Pracowali w niej wyłącznie robotnicy przymusowi ze Wschodu. Maximilian czuł, że sam sobie nie poradzi. Nie potrafił zarządzać finansami i pracownikami, znał się wyłącznie na ceglach, ale cóż cegła, cegła

to tylko *Ziegel*. Nie, rok 1943 nie był dobrym rokiem dla Maximiliana Korna.

Jakoś w tym czasie do cegielni trafił wprost z łapanki w Warszawie Karol. Młody robotnik przymusowy, który przed wojną zaczął studia w Wiedniu i po aneksji Austrii szybko wrócił do Polski. Co tam robił w tej Polsce potem i dlaczego tu trafił – tego Maximilian nie wiedział. Lepiej nie wiedzieć za dużo, trzeba samemu poznać człowieka.

Obserwował.

Karol świetnie mówił po niemiecku, był młody, energiczny i szybko zdobył sympatię szefa. *Vater* Maximilian nie był zapewne zbyt inteligentny, ale ludzi rzutkich, sprawniejszych od siebie rozpoznawał w mig. Jak powtarzał jego ojciec, nawet szczęście nie szuka całkiem głupich. Tym sposobem w roku 1943 Karol zamieszkał na facjacie dużego ceglanego domu, a od pokoju Ruth i Gerdy dzieliło go zaledwie jedno piętro. Karol był młody, Ruth i Gerda też były młode.

Córki *Vatrowi* się udały. Dorodne, jasnowłose, pomimo liberalnego wychowania i dostatku, którym je ojciec otaczał, posłuszne i miłe. *Vater* starał się jak mógł wywiązać z obietnic złożonych żonie, choć po prawdzie tylko z jednej się wywiązał, a mianowicie cegielni do końca nie przepił. Odkąd zawierzył firmę Karolowi, przynajmniej dwa razy w tygodniu wracał do domu później niż zwykle, a czasem wcale. Wódka była dla ludzi, a on był tylko biednym, samotnym wdowcem. Rano szedł po niego Karol albo jedna z córek i zaciągali go do domu.

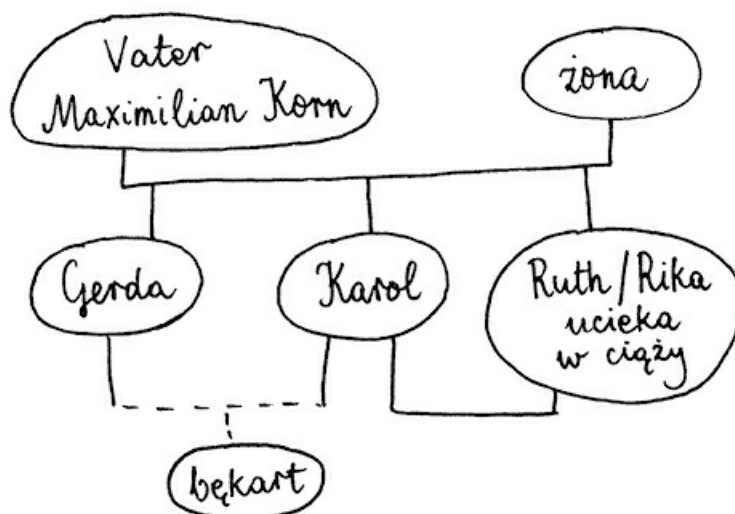
– Wstyd, *Vater*, wstyd! – nie mówiła zbyt często ani Ruth, ani Gerda, bo co będzie ojcu żałować. One same swe wstydy musiały pod spódnicą chować.

Biedny Karol nie mógł się zdecydować. Z tego niezdecydowania pokochał obie siostry, ale to Ruth postanowiła, że z nim ucieknie w roku 1945. Powód prócz miłości miała też coraz bardziej widoczny, oto już pod spódnicą rysował się brzuch.

Po ucieczce córki głowa Maximiliana wciąż jeszcze nie siwiała. Stało się to dopiero, gdy Gerda niespodziewanie zemdląła, a wezwany lekarz stwierdził, że córka jest brzemienna i najdalej za trzy miesiące urodzi.

– Bękart! – krzyknął zdradzony *Vater* Maximilian i przez noc osiwiął.

Kilka tygodni później był koniec wojny.



## Torpeda

O co chodziło z tą tarczą?

*Nie tarcza, ale torpeda, czyli pojazd podwodny z materiałem wybuchowym przeznaczony do ataków samobójczych.*

Dziadek Karol po Anschlussie Austrii nie mógł i nie chciał już studiować w Wiedniu. Po tym, co tam widział, twierdził, że w najlepszym wypadku Polskę spotka to samo. A w najgorszym – tylko machał ręką...

W maju 1939 roku przeczytał w gazecie apel, w którym kilku młodych ludzi nawoływało Polaków do wstąpienia do oddziałów żywych torped. Na ogłoszenie odpowiedziało pięć tysięcy osób. Karol zgłosił się jako jeden z pierwszych. Złożył przysięgę przed kapitanem Wojska Polskiego, a kilka miesięcy później wszedł do konspiracji i przyjął pseudonim Zoja. Co prawda Polska nie produkowała torped, ale kto wiedział w roku 1939, co się będzie jeszcze kiedyś produkować? Nikt nie wiedział. Dziadek spokojnie czekał na swoją torpedę. A tymczasem młodość, honor, ojczyzna i Polska. I wolność.

– Nie śmiej się – skarcił mnie po latach – wolność to nie jest jakaś tam abstrakcja, bo jak ją utracisz, to dopiero wtedy wiesz, że straciłaś wszystko... Może dlatego tak kochałem morze...

– A co ma jedno z drugim wspólnego?

– Morze to wolność.

*Mnie tego nigdy nie opowiadał, pozalił się Miłosz. Mnie też nie, pozaliła się Hanka.*

## *Z mlekiem to trzeba ostrożnie*

W roku 1945 młoda Amerykanka z UNRRA patrzyła na Rikę podkrążonymi oczami. Tego dnia nie przybyło do obozu wielu nowych, co nie wróżyło niczego dobrego. Brak nowych w obozie oznaczał, że w pobliżu znów toczą się jakieś walki. Wojna nie kończy się z dnia na dzień, ale kto by tam dzisiaj o tym pamiętał.

Amerykanka pomogła się Rice umyć, dała wielką kurtkę i olbrzymi worek (że niby spódnicę) i o trzy numery za duże buty. Na wszy na razie nie mogła zaradzić, nie było jak zaradzić. W roku 1945 Amerykanka przebywa w Niemczech dopiero od kilku tygodni i jeszcze sporo musi się nauczyć, ale i tak już niemało umie. Niedługo nauczy się jeszcze odswzawiać, odbierać porody, stawiać bańki, robić zastrzyki, a jak już się tego wszystkiego nauczy, to zastrzeli ją Ukraińiec.

Oszalał. Zastrzelił w szaleństwie ją i kilku innych ludzi. Za cukier.

*Za cukier?! Miłosz nie wierzy. Za cukier?*

Ukraińiec przeżył, ale to inna historia.

*Ale dlaczego we wszystkich opowieściach zawsze Ukraińcy zabijają, denuncjują? Miłosz nie może tego zrozumieć.*

Rozumiem Miłosza, ale co mam zrobić, skoro to Ukraińiec naprawdę zabił w roku 1945 za cukier.

Kiedy Rika tak stoi, ledwo stoi, Amerykanka jeszcze żyje i, biorąc pod uwagę obozowe okoliczności, ma się nie najgorzej. Uczy się wieczorami niemieckiego, ale ma tak okropną wymowę, że nikt jej w obozie nie rozumie. Ruth (Rice) to akurat jest *egal*. W tym obozie jest niemową. Karol tłumaczy tym, którzy chcą słuchać, że jego żona od dziecka nie mówi.

Ruth pokazuje Amerykance papiery, za które Karol zapłacił jeszcze w Hamburgu ukradzionym złotem ze szkatułki jej matki.

*Jakiej szkatułki? Pyta Hanka.*

*(O szkatułce)*

– Twoja matka nie żyje! – powiedział Karol wcale nie przepaszajaco, gdy sięgał po szkatułkę matki Riki i Gerdy, po szkatułkę Hildegardy. – A my żyjemy! Wszystko nam teraz potrzebne, rozumiesz? Wszystko!

Rika rozumiała. Pobiegła do sypialni, pospiesznie wyciągała z bieliźniarki zwitki banknotów, dwa złote zegarki, przy obrączce matki krótko się zawahała.

– To dla dziecka! – dodała sobie odwagi.

Z albumu wyrwała zdjęcie matki z ojcem i bratem. To było od zawsze jej ulubione zdjęcie. Coś zadrapało ją w gardle, ale teraz czasu na takie rzeczy nie było. Poza tym to było miesiąc temu i już wyblakło, dwieście pięćdziesiąt kilometrów za nimi. Teraz Rika ma spuchnięte nogi, zerwane ścięgno, chciałaby tylko gdzieś usiąść i patrzeć przed siebie. Urodzić to jeszcze nie, bo z jej obliczeń wynikało, że za wcześniej.

## Ciąg dalszy

*Wróćmy do Amerykanki, którą zabije Ukraińiec, domaga się Miłosz.*

Amerykanka zadaje pytania, spogląda w stronę Karola, który przymierza właśnie wojskowy płaszcz. Za duży, no i co z tego, to koniec, a nie początek wojny i tu wszystko dla wszystkich za duże. Dziewczyna mówi coś po angielsku, maluje dwie obrączki, nad tym gołębia i coś jeszcze: parę młodą. Patrzy też na brzuch Riki i zaraz przenosi wzrok na Karola. Rika się nie uśmiecha. Miesiąc temu dorysowałyby jeszcze serce, ale teraz nie. Tutaj dotarli za banknoty i zegarki, potem skręciła nogę, potem uciekali, potem... Amerykanka coś mówiła i stuknęła ołówkiem w dokument kupiony za zawartość matczynej szkatułki. Ruth jest zmęczona, pokazuje na migi, że nie rozumie. Kobieta stuka ołówkiem w swój rysunek, wreszcie Ruth wie, Amerykanka pyta, czy Rika jest żoną Karola.

Rika ostrożnie kiwa głową.

I oto jest! Pieczętka! Okrągła! Zostali mężem i żoną bez księdza i kościoła. Też dobrze, Karol ją pochwali.

Człapią w błocie do baraku trzynastego. Idą bez słowa. Mąż i żona. Ona niemowa, on Polak, a w razie potrzeby mówi ona, on milczy i robi za niemowę, jak choćby przedwczoraj w poprzednim obozie dla niemieckich przesiedleńców.

– Skąd ci przesiedleńcy? – dobiega ich głos z baraku.

Dwóch mężczyzn w łachmanach stoi w oknie wypalonym przez pocisk. Jeden pali, drugi zachłannie patrzy w jego papierosa. Karol przystaje, też by zapalił. Słucha, ale udaje, że patrzy w dokument, który Rika mu pokazuje. W obozach nie wolno słuchać, patrzeć, zatrzymywać się. W obozie słabszy nie powinien rzucać się nikomu w oczy, jeśli chce przeżyć, może być tylko własnym cieniem. Dlatego Karol czyta dokument. Czyta, że ma żonę.

– Nie przesiedleńcy, tylko wygnańcy! Gdzieś ze Wschodu chyba.

– Ze Wschodu? Ale czemu ze Wschodu?

– A kto by to wiedział?

Słońce tymczasem zachodzi.

Zupa podchodzi Rice do gardła i wody zaraz odejdą.

\* \* \*

– Nie zabiły jej – opowiada mi mama Hanki.

– Kto nie zabił?

– Więźniarki.

– Ale kogo nie zabiły?

– Riki – odpowiada i dodaje po chwili: – Otruły dziecko mlekiem, ale wiesz, ja myślę, że i tak by nie wyżyło. No bo jak? Urodziła o wiele za wcześniej. Ojciec znał trochę angielski i ta Amerykanka ich przechowała. Uratowała ich. Nie wiem nic więcej.

Ale ja wiem.

Karol wyrwie Rice małe, sztywne ciało i zakopie. Ruth jeszcze tylko zanuci kołysankę. Przez całą drogę *nach Stettin* będzie potem pytała Karola, czy zapamiętał, w którym miejscu wykopał dołek. Za Berlinem, ale jeszcze przed Szczecinem, powie jej. A tak po prawdzie to nie wie. Zapamięta krzaki, stawek, szkielet konia i zabitych na drodze, ale gdzie ten dołek, nie wie, pod wierzwą płaczącą chyba.

– Pod brzozą – Rika pamięta, że pod brzozą, i sobie to po latach zapisze, ale gdzie to było dokładnie, nie wie. Jeszcze dopisze i podkreśli na czerwono, że brzóz nienawidzi. *Ich hasse Birken.*

## ROZDZIAŁ III

*Ojciec nasz...*



## Karton

W starym kartonie, którego po śmierci dziadka Karola nikt nie chciał...

*A może chciał? Skąd wiesz? Pyta Hanka.*

A może chciał, odnajduję mniejszy kartonik, a w nim zatęchły ciemny fular, legitymacje, dokumenty, bilety i kilka fotografii, w tym zdjęcie z małą dziewczynką. Dziewczynka siedzi na kocyku, za nią jakiś barak, obok kilka cegieł. Odwracam zdjęcie, wykaligrafowanym pismem, ledwie już czytelnym, ktoś napisał: „Karolina, Hamburg, den 26 Mai 1951”.

Przeglądam dalej, sporo biletów, pocztówek, listów, a na samym dnie zeszyt i mała zardzewiała kłódka. Pod nim położyła koperta. Na szczęście przykleiła się spodem do kartonu, można ją otworzyć.

Zawartość skromna: dobrze zachowana fotografia z białą strzępiastą ramką, typową dla zdjęć z tamtych czasów. Ze zdjęcia spoglądają kobieta z małym chłopczykiem siedzącym na jej kolanach i wysoki stojący mężczyzna. Czarnowłosa, przystojny, krzaczaste brwi, głęboko osadzone oczy, spojrzenie mocne, władcze. Ubrany w surdut, białą koszulę ze stójką, na szyi fular. Duże ręce oparł na ramionach siedzącej kobiety. Kobieta raczej drobna, jasnowłosa, o dziewczęcej urodzie, z melancholijnym spojrzeniem. Ubrana jest w szarą (może niebieską, kto to wie, zdjęcie jest czarno-białe, wyobrażam więc sobie, że niebieską) sukienkę prawie do kostek. Pod szyją biały żabot. Na kolanach maleńki chłopczyk o jasnych oczach i włosach, bardzo podobny do matki.

Po chwili rozumiem, że karton nie należał do dziadka Karola, to skarby Riki. A na zdjęciu jej matka Hildegarda, Vater Maximilian i mały brat. To chyba jest jej ulubione zdjęcie, które zabrała z bieliźniarki.

W kopercie jest jeszcze stary bilet. Zastanawiam się, co Rika robiła w roku 1981 w Berlinie, po co tam jechała drugą klasą. A może to nie jej bilet, lecz... no właśnie, czyj? Dowiem się.

*A na co ci teraz ten cały bilet?, niecierpliwi się Miłosz. Mów o tej Karolinie dalej!*

*Jakiej Karolinie, zaplątałam się.*

*No tej ze zdjęcia z cegłami: „Karolina, Hamburg, den 26 Mai 1951”.*

*Zaraz.*

Zaraz, bo przypomniało mi się, że na cmentarzu (tym ponoć największym w Europie) już po śmierci babci Riki zupełnie nieoczekiwanie mama Hanka zwierza mi się, że oni (mama Hanka, mama Miłosza i mój nietata) mają siostrę w Hamburgu, Karolinę, i że to jest córka Gerdy i Karola.

– Czyja? – z wrażenia łamie mi się zapalka na tym cmentarzu.

– Dziadek miał nieślubną córkę! – Mama Hanka kładzie palec na ustach. – Pssst! Nikt o tym nie wie!

*Akurat! Nikt nie wie! Śmieje się Hanka.*

Zapalamy znicz na grobie babci Riki.

Ogień jest silny, mocno płonie. A grób pod brzozą.

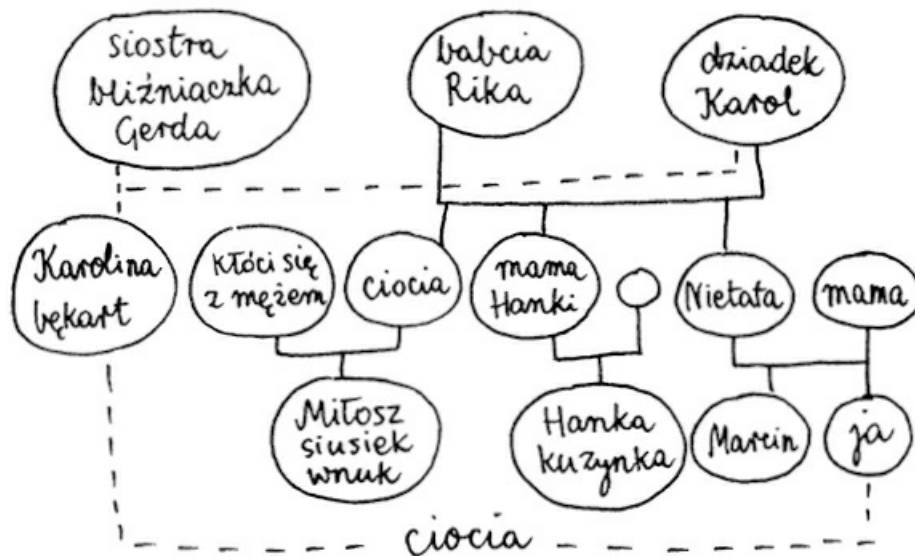
## Weranda

W sierpniu 2015 roku o godzinie 12.40 wsiadam do pociągu. Muszę zobaczyć ten zasypany śniegiem dom w Hamburgu, facjatkę Karola, chcę poznać Karolinę, o której podobno nikt nic nie wie. Bękart, przez którego osiwił *Vater* Maximilian, Karolinę, siedemdziesięciolatkę.

W pociągu czytam, że Hamburg otrzymał tytuł Europejskiej Stolicy Czystości, ma siedem okręgów i sto cztery dzielnice i poddzielnice. Gdzieś w jednej z tych czystych dzielnic znajdę Gerdę, matkę Karoliny, która cofnęła się w czasie i aktualnie ma piętnaście lat. Jej córka i córka Karola, Karolina, mówi, że mama, jeśli ma dobry dzień, potrafi w godzinę streścić kilka miesięcy. Teraz zatrzymała się na maju 1943 roku, za chwilę będzie w Warszawie kolejna łapanka i do cegielni bydłęcym wagonem przybędzie Karol.

– Może się załapiesz – informuje mnie przez telefon Karolina.

Karolina. Nie Karoline, lecz Karolina ze słowiańską końcówką. Skąd takie imię, bo co? Bo ojciec Polak? Z wielkiej, niespełnionej miłości do utraconego kochanka, odebranego jej przez siostrę bliźniaczkę? Zakłęcie, że wróci? Nadzieja?



Zapisuję w notatniku: zapytać!

Karolina więc. *Halbschwester* mojego ojczyma i jego rodzeństwa, ciocia Miłosza i Hani.

– I twoja – dodaje grzecznie Karolina, nalewając mi zielonej herbaty do szklanki, bo już u niej siedzę na tej werandzie.

*Wintergarten* (weranda) jest przestronna, ocieplona, z wbudowanym pod oknem *canapé* i poduszkami. W Hamburgu krzewi się cała hanzeatyckość Europy, ale tu na tej werandzie jest Szczecin. Tyle że Stettin bogaty, czyli jakby nie Szczecin. Taki urok Stettina, wszystko, co

w nim porządne i ładne, pokryła patyna. Całość w porządku, ale odpadł tynk, mosiężnej klamki zabrakło, murek się zawalił, po willi został fundament, kwiaty z balkonu ukradli.

*Dlaczego ty jesteś taka? Taka niesprawiedliwa! A co z nową filharmonią?! Napisz to, napisz tutaj, zapisz sobie gdzieś na kartce, żebyś nie zapomniała, bo ty wszystkiego zapominasz! Hania literuje: Filharmonia im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie. Zapisłaś? Masz? Tak, zapisałam! No to jak się nazywa ta filharmonia? Hanka! Dość tych hysterii! – złości się Miłosz – co dalej z tą Karoliną?*

A więc Hamburg.

Patrzemy na oszroniony ogród, z tego, co widzę, śniegu po szyję nie było tu dawno. Zza szczelnych okien nie dochodzi żaden szmer, zegar na kominku w pokoju nie tyka. Strasznie cicho jest u Karoliny, córki Karola. Paruje herbata. Zaczynam.

– Kiedy dowiedziałas się, że twoim ojcem jest Karol?

– Wiedziałam o tym od zawsze.

– A jak pytano w szkole, kto jest twoim ojcem, to co mówiłaś?

– Nikt mnie o to nie pytał, wszyscy myśleli, że mój ojciec poległ na wojnie albo jest w niewoli.

– W niewoli?

– No w Rosji, że niemiecki oficer w niewoli i tak dalej...

Aha, Karol, warszawiak, żołnierz AK, Zoja, zaprzysiężony w roku 1939 jako żywa torpeda, zgarnięty przez gestapo podczas łapanek, wysłany na roboty przymusowe do Hamburga, to w pamięci koleżanek i kolegów szkolnych niemiecki żołnierz w rosyjskiej niewoli. Sałatka z pociągu przewraca mi się w żołądku, a co dopiero się robi Karolowi w grobie.

– Nie mam do Karola żalu, jeśli o to ci chodzi. Na jego miejscu też bym uciekła.

Odstawiam herbatę i z trudem wygrzebuję się z poduszek.

– Dziadek był okropny – ciągnie dalej Karolina.

Dziadek, jaki dziadek, pogubiłam się już w tych dziadkach. Ja mam swojego prawdziwego, Antoniego, w Gdańsku i przyszywanego, Karola, w Szczecinie, obaj na cmentarzach. Aha, już wiem, Karolina mówi o ojcu Gerdy i Riki – Maximilianie. *Der Vater. Vati.* Tatek. Ten, co umarł, a w nocy był telefon i o 2.00 pękła butelka.

*Boże kochany, już mi niedobrze od tych historii, głowa mnie boli, jęczy Hanka.*

– Karol przyjechał do Hamburga w 1943 roku i z początku skierowano go do pracy fizycznej. Maximilian robotników przymusowych nie oszczędzał. Właściwie przez całą wojnę pracowali u niego głównie oni. Czytałam, że jeden zmarł na tyfus, inny z wycieńczenia, kilku zginęło podczas bombardowania miasta. O pozostałych nie wiem, może przeżyli. Nic więcej nie znalazłam na ich temat w papierach, poza nazwiskami i datą urodzin.

– Żaden nie zgłosił się po odszkodowanie? – pytam.

– Żaden – odpowiada Karolina.

– Nawet rodzina?

– Nawet rodzina. – I dodaje po chwili: – Nie doczekali pewnie.

Nie wiem, czy wypada mi to mówić, więc nie mówię, ale Karolina powinna być chyba zadowolona, bo cegielnia by tego finansowo raczej nie przeżyła.

– Karol bardzo dobrze mówił po niemiecku, był pracowity, sprytny. Dziadek – Karolinie z trudem przechodzi ten dziadek przez gardło, więc się poprawia: – Maximilian mu zaufał.

Ponoć mówił o Karolu: biała owca w czarnym słowiańskim morzu, a po roku 1945 ani razu już o Karolu nie wspomniał. – Karolina popija herbatę i ciągnie dalej: – A przecież Karol był jego prawą ręką, właściwie we wszystkim mu pomagał. Jadł z nim przy jednym stole i mieszkał pod jednym dachem.

I powiększył rodzinę, hen, aż po wschodnią Europę. Wyciągam notes.

– Karol był dobry do interesów, do pracy, ale do niczego więcej. Po prostu był potrzebny dziadkowi, nic poza tym. – Nagle Karolina się ożywia: – Wiesz? Podobno Karol zakochał się w Rice od pierwszego wejrzenia.

– Skąd wiesz, że w Rice, a nie w Gerdzie?

– Wiem.

– No ale skąd wiesz, że to była Rika, a nie twoja matka Gerda, wyglądały tak samo!

– Nie wyglądały tak samo. Matka miała pieprzyk na policzku, a Rika na czole

A to rzeczywiście...

– I jak on Rikę zobaczył pierwszy raz, to ona śpiewała...

– Gerda ci tak powiedziała?

– Nie. On.

– Jaki on?

– Karol!

– Karol???

Karolina potakuje.

– Przyjechał kiedyś do nas tutaj i mi opowiedział.

Aha, no tak. Przyjechał tak po prostu i powiedział swojej córce Karolinie, że nie kochał jej matki, tylko jej siostrę, śpiewającą Rikę, i dlatego z nią uciekł. No bardzo fajnie, że tak przyjechał i opowiedział.

Milczymy.

– Ale po co on tu przyjechał? – pytam jednak.

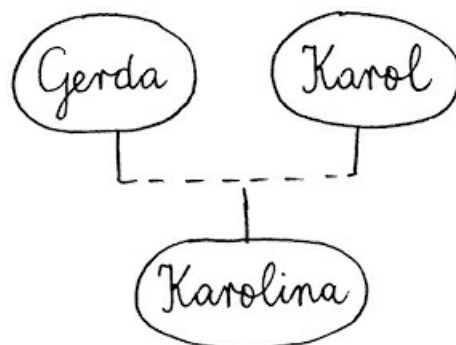
– Do mnie.

– Aha. I często tak przyjeżdżał? – pytam znowu.

– Trzy razy.

– Trzy razy? – Zastanawiam się, kiedy to mogło być. – Nie miałaś żalu do niego, że cię zostawił? Nie byłaś nigdy zła na niego?

– Byłam zła, ale na moją matkę.



– No ale... – zaczynam.

– Byłam zła, że to nie ona z nim uciekła, że nie miała tyle odwagi co Rika.

Chcę o coś jeszcze zapytać, mam tyle pytań, ale z korytarza dobiega nas nawoływanie i po chwili wjeżdża na wózku inwalidzkim, popychanym przez pielęgniarkę, matka Karoliny. Staruszka w koronkach i natapirowanych włosach – Madame Gerda Korn.

– Alicia! Alicia! Kochana! – To do mnie i to na razie koniec rozmowy, bo Gerda myśli, że jestem jej koleżanką, widzianą ostatnio w 1943 roku.

– Alicia! Źle wyglądasz, staro jakoś!

\* \* \*

*Myślę o tym, co opowiedziała mi Karolina. Przypomina mi się kłótnia dziadka i babci. Rzadko kiedy się kłócili, może dlatego zapadła mi w pamięć.*

## Kłótnia

Rok 1981.

Mieszkamy na Żeromskiego. Siedzę przed dużym lustrem na korytarzu i staram się nawinąć włosy na okrągłą szczotkę. Nie mogę się zdecydować, czy w *Aniołkach Charliego* bardziej podoba mi się [Jaclyn Smith](#) czy [Farrah Fawcett](#). W końcu decyduję się na Farrah, ma jasne włosy.

– Nie jest wcale ładna – stwierdza mama, która po urodzeniu Marcina przypomina znów Elizabeth Taylor, nosi pierścionki i jest prawie taka jak dawniej.

– Nie jest ładna?!

Myję włosy w rumianku, żeby zjaśniały, ale i tak są ciemne i przyklepane. Jestem blada i mam już pryszcz na brodzie. Marcin ząbkuje i wrzeszczy od rana do nocy. W sklepie niczego nie ma, niebawem pod oknem będą się przetaczać czołgi.

*Dlaczego czołgi, o co chodzi? Hanka nie rozumie. No bo tam koszary były, nie pamiętasz?, mówi Miłosz. Godzinami do stoczni jechały pod naszym oknem! Ja pamiętam! Nie musieliśmy chodzić do szkoły!*

Babcia z dziadkiem kłóca się obok w pokoju.

– Chyba nie mówisz poważnie? – babcia płacze.

– Mogłem ci nie mówić!

– Ale powiedziałaś!

– Zrozum!

– Jak to zrobisz...

– To co?

– To... pożałujesz. *Du bereust es, das sag ich dir!*

Nie wiem, czego pożałuje dziadek. Mam swoje kłopoty, zbyt długie ręce, nie noszę jeszcze stanika (Agnieszka już nosi) i nie wpuścili mnie wczoraj do kina. Przypudrowałam pryszcz maminym pudrem i zastanawiam się, jak wydobyć z pokoju dziadka „Panoramę”. Kioskarka odkłada dziadkowi w tekturowej teczce „Kobietę i Życie”, „Przekrój” i „Panoramę”. Widziałam w ostatniej „Panoramie” zdjęcie Farrah na całą stronę. Jeszcze chwila i zaraz powieszę ją u siebie na ścianie. Gazeta leży u dziadka na biurku, widziałam, a do biurka droga z przeszkodami: zdenerwowany dziadek i zapłakana babcia.

– Muszę tam jechać!

– No i co im powiesz? Dzień dobry, Karolinko, to ja, twój tatusz?

– Rika...

Przeszli do kuchni, babcia szybko, dziadek też szybko. Teraz! Przemykam chyłkiem przez pokój. Jest! Leży!

– Ale dlaczego właśnie teraz? – Babcia już nie płacze i nagle zaczyna w dziadka walić pięściami i krzyżeć: – Po tylu latach!!!

Dziadek pali, babcia płacze. Dziadek stoi w dużym kuchennym oknie. Odkąd urodził się

Marcin, palą w oknie.

Dobra! TERAZ! Pędzę przez pokój.

Już, już już za chwilę będę miała jasnowłosego Aniołka Charliego. O nie! Nic z tego! Nie ma! Wyrwany! Widzę w rogu poszarpany kawałek głowy. Ubiegła mnie! Małpa! Hanka!

## *Nie(ch) spada!*

Gerda wciąż nam przerywa, nie opowiada niestety nic o Karolu, za to sporo o szkole, której nie lubi, i o nauczycielu, w którym się kocha połowa żeńskiej klasy.

– Mamy nowego sublokatora! – mówi nagle bardzo głośno.

Zamieramy z Karoliną. Dotarliśmy wreszcie do roku 1943. Do ceglanego domu wprowadził się Karol, widzę go, jak odgarnia śnieg.

Czekamy.

Nic.

Cisza.

– Jak to jest, gdy się jest dorosłym? – Zaczyna gładzić mnie po ramieniu swoją starą pomarszczoną dłonią Gerda i szybko cofa tę dłoń.

– Brzydka stara ręka! – mówi do ręki i próbuje ją zrzucić z kolan. Nagle spogląda mi prosto w oczy. – Wiem, kim jesteś! Ruth przekaz, że jej bękarta ziemia pochłonęła, a moje dziecko Bóg zachował! – Bierze ze stołu widelczyk do ciasta i kłuje nim swoją rękę.

Pielęgniarka wyrywa jej widelec, chwytając wózek. Oddalają się.

*Niezła wariatka, mówi Hanka.*

– Ona jeszcze chodzi – stwierdza pochmurnie Karolina, gdy trzaskają drzwi w domowych odmětach.

– Kto?

– Gerda!

– No coś ty!

– Naprawdę. Mnie bolą nogi, biodra mam do wymiany, a Gerda normalnie chodzi. Pielęgniarka mi mówiła i sama widziałam. Kiedy zapomina, że jest stara, wtedy wstaje i chce myć okna.

Boże kochany.

– I myje?

– Czemu nie?

– A jak spadnie?

– Nie spada – brzmi jak „niech spada” – pielęgniarka jest przy niej – wzdycha Karolina bękart córka Karola dziadka.



*Karolina opowiada  
(historia trochę zmyślona)*

Karolina nie pamięta zbyt wielu szczegółów, więc je sobie dopowiadam. W maju roku 1981 o godzinie 10.30 pogoda jest pochmurna. Kropi deszcz. Gerda, siostra Riki, właśnie wróciła od fryzjera. Stoi w oknie, które wczoraj wymyła, i patrzy na sąsiadkę z przeciwka. Sąsiadka jest młoda, ładna. Gerda ściąga poduszkę, domyka okno, lubi patrzeć na młode i ładne kobiety, ale dzisiaj ma co robić.

Odwraca się, idzie do kuchni, otwiera spiżarkę, wyciąga salami i siada przy stole. Kroi salami. Ma pięćdziesiąt siedem lat i jest okrągła jak beczka, niewysoka, ma białe włosy i trochę już żółtą grzywkę, bo sporo pali. Ręce duże, pęciny cienkie, nogi cienkie. Krzywe, takie jakieś w literę V na boki się rozchodzące. I prosto z tych nóg wyrasta ciężka, beczułkowata Gerda.

– *Alles Gute zum Geburtstag, Mutti!* – woła od progu Karolina i wchodzi do środka z kwiatami. – Jak ładnie wyglądasz! Byłaś u fryzjera!

Koniecznienie muszę dodać tego fryzjera, ponieważ w Niemczech starsze kobiety chodzą do fryzjera. Nawet jeśli mają trzy włosy, chodzą do niego albo on do nich przychodzi. Są trzy świętości: fryzjer, pedikiur i ortopedyczne buty. Starsze Niemki to amerykański produkt ostatnich lat sześćdziesiątych.

*Tu będzie walka, bo to podobno nieprawda. To nie chodzi o to, że nieprawda, mówi redaktorka. Generalizujesz! Radziłabym to wywalić, redaktorka jest uparta.*

*Ostatecznie fryzjer, pedikiur i ortopedyczne buty zostają.*

*Jeszcze dodaj beżowe kurtki, dodaje Miłosz, który przeprowadził się wiele lat temu do Niemiec, od lat opiekuje się starszymi ludźmi i wie, co mówi.*

– Jaki piękny bukiet! – cieszy się tymczasem Gerda. – Moje ulubione... tulipany!

*Redaktorka: tulipany nie, bo banalne i tanie, goździki też nie, bo to jednak nie socjalizm, napisz: róże.*

– Moje ulubione... róże! – cieszy się Gerda.

Wieczorem pójdą sobie razem do teatru. Matka i córka. Mają tylko siebie. Co prawda Gerda wyszła za męża, ale cóż to znaczy. Córkę ma się tylko jedną, a mąż nie żyje, Karol daleki i nieprawdziwy.

– Ciekawe, czy paczka już doszła do cioci Riki – będzie się zastanawiać Gerda, wstawiając róże do wazonu. Oprze o wazon bilety do teatru.

– Na pewno! – Karolina pokiwa głową.

Paczki do cioci Riki to rzecz normalna. Odkąd im się lepiej powodzi, regularnie wysyłają paczki do kochanej cioci.

– Może byśmy pojechały kiedyś tam do nich? – rzuca od niechcienia Karolina.

Gerda zastyga w bezruchu przed spiżarką. Nakroiła tego salami nie wiadomo dla kogo. Wciąż zapomina, że mieszka w tym ceglany domu sama. Karolina wyprowadziła się już dawno, a mąż umarł, więc nie będzie jadł, no więc Gerda zastyga, ale córka nie wraca do tematu.

Spiesz się, wpadła tylko na chwilę rano, przed pracą.

Podchodzi do matki, przytula ją i mówi:

– To do wieczora, mamo, przyjadę po ciebie o piątej! Włóż koniecznie tę ładną granatową sukienkę z angielskim haftem!

Gerda macha córcie przez szybę. Okno zamknęła, na dworze pada.

Chowa salami, salamkę, zamyka spiżarkę. Zaraz zamówi rozmowę zamiejscową *nach Stettin*, do Riki. Złoży jej urodzinowe życzenia. Prawie jej wybaczyła. Prawie.

\* \* \*

Wiatru prawie nie ma. Zimowy ogród trwa nieruchomo. Wysokie drzewa i żywopłot jak w stuletnim śnie Śnieżki. Siedzimy z Karoliną, każda zatopiona we własnych myślach.

– Po co tutaj przyjechałaś? – pyta mnie Karolina wprost.

Nie wiem. Może dlatego, że jadąc jakiś czas temu przez Hamburg, zobaczyłam po drodze ceglany dom i młodego Karola? Biegł do cegielni? Może do knajpy, po pijanego Maximiliana... A może przypomniała mi się babcia Rika, która jeden jedyny raz opowiadała o tym, jak w nocy wyciągała z Gerdą pijanego ojca z knajpy i jak zginął wtedy podczas bombardowania ich sąsiad z rodziną, a oni przeżyli, bo ta knajpa? Czy mam opowiedzieć o tym Karolinie? Gerda jej o tym opowiedziała? Opowiem.

– Stary pijak! – podsumowuje moją opowieść Karolina. – Odkąd pamiętam, Maximilian był starym, zręczliwym dziadem. Nienawidziłam go i on mnie też nienawidził.

– Dlatego nie mówisz o nim dziadek?

Karolina wzrusza ramionami i prycha.

– Dziadek?! Dziad chyba! To przez niego Karol uciekł. Ale po latach przyjechał na jego pogrzeb.

– Kto przyjechał? Gdzie?

– No Karol na pogrzeb Maximiliana.

– Karol?

– Tak, był w Hamburgu, załatwił tak, że wypływał stąd w ostatni rejs i...

– Nie wiedziałam...

– Wiesz, że on mi przesyłał pieniądze? Dolary!

Dziadek Karol ze Wschodu, z *Polen*, przesyłał do Hamburga *nach Deutschland* dolary. Pewnie. A czemu tu się dziwić?

– Pisał do mnie listy, nie zapominał nigdy o urodzinach. Był u nas dwa razy.

– Mówiłaś, że trzy...

– Trzy. A pierwszy raz, jak byłam mała. Gerda przywitała go wtedy słowami: wiedziałam, że wrócisz. On był marynarzem, takim pięknym marynarzem.

– Tak po prostu przyszedł do was do domu?

Karolina nie odpowiada. Z trudem wstaje (chore biodro) i prowadzi mnie po schodach na facjatkę. Okazuje się, że to normalny pokój, duży, jasny.

– Inaczej wyobrażałam sobie ten pokój – stwierdzam zdziwiona.

Myślałam, że zobaczę ciemną komórkę robotnika przymusowego. Jest mały stolik, metalowa szafka nocna, miska, nocnik? Zamiast okna lufcik. Ciasnota, duszno w lecie, zimno w zimie

i takie tam... No a tu duże okno i wszystko ładne, czyste.

– Nocował tu, jak przyjeżdżał?

– Nie. Karol spał u Gerdy w sypialni.

O matko. Wsiadam z tej rozmowy.

– Miała męża przecież – zauważam nieśmiało.

– Męża miała dopiero, jak Karol wyjechał i już nie wrócił. – Karolina zamyśla się. – A ta facjatka wyglądała kiedyś inaczej. Kazałam ją przebudować dla Karola, gdyby jednak kiedyś do nas wrócił.

## Karolina jednak sobie przypomina (historia prawdziwa)

Gerda była szczupłą przez całe życie, nie lubiła salami i nie paliła. Starła się zdrowo odżywiać. Na swoje pięćdziesiąte siódme urodziny przyszykowała skromny obiad.

*No ale jak to? Przecież babcia Rika była gruba... Jak to możliwe, że jej siostra była szczupła? Przecież to bliźniaczki. Jednojąjowe!*

– Ale jak to szczupła? – pytam Karolinę. – I nie paliła?

– Nie, nigdy.

Gerda zjadła obiad w samotności, słuchając ulubionej płyty Nat King Cole'a. Mąż podarował jej tę płytę na urodziny, krótko przed śmiercią. Gerda odważyła się jej wysłuchać dopiero dziś. Od śmierci musi minąć przynajmniej z dziesięć lat, wtedy ukochana piosenka *Love* nie wywołuje już łez, lecz wspomnienie najpiękniejszych, wspólnie spędzonych chwil. Umarł. Był dobrym mężem i dobrym ojczymem dla Karoliny. Nawet Maximilian go szanował.

– Lubiłaś ojczyma? – pytam Karolinę.

– Był w porządku. Nie przeszkadzał mi.

Przez chwilę się zastanawiam, jak to jest, kiedy ojczym nie przeszkadza.

Gerda stanęła na środku pokoju i zamknęła oczy. Po chwili przytuliła się do męża, którego pochowała, ale który dzisiaj był tak miły i w urodziny ją odwiedził. Zatańczyli razem w rytm *Love*. Po dwóch minutach piosenka się skończyła, Gerda otworzyła oczy. Męża już nie było, musiał wrócić tam, skąd przybył. Nie spodziewała się więcej gości. Od śmierci męża stroniła od ludzi. Z córką Karoliną pokłóciła się kilka lat temu i od tego czasu nie utrzymywały kontaktów.

Zmyła naczynia, postawiła na suszarce.

Pada. Ciągłe pada.

Postanowiła uczcić dzień urodzin paczką do Riki.

Najpierw jednak pojedzie do pralni odebrać garsonkę. Bardzo dobry, drogi materiał, porządna podszewka, dekolt w łódkę, wszystko pięknie wykończone angielskim haftem. Gerda rzadko wkładała tę garsonkę. Przynosiła pecha. Tak, pecha. Miała ją na ślubie sąsiadki i po roku sąsiadka się z mężem rozeszła. Miała też na ślubie ciotecznej siostry. Mąż siostry wkrótce umarł. Potem jeszcze na urodzinach starej ciotki, ale ta i tak by umarła, więc do końca nie wiadomo, co i jak z tą garsonką, ale kto nie próbuje, ten nie zyskuje.

Wyśle ją w paczce Rice.

Wkłada garsonkę do dużego kartonu po bananach. Na kawie, na suchym, grubym i chudym salami, aldikowskich czekoladach, misiach dla dzieci i gumach do żucia układa angielskie hafty i zakleja paczkę. Listu nie będzie – nigdy nie pisze do siostry. Wystarczy, że pomyśli, niech cię, śpiewająca Riko, podła świnio, piekło pochłonie. Noś garsonkę sobie i bliskim na hańbę i (nie)zdrowie!

No i paczka gotowa.

Zaraz zawiezie ją na pocztę. O, proszę, już zawiozła. Teraz się przejdzie. Ulica pachnie tak, jak się nazywa: Blütenstrasse. Deszczem, kasztanem, wiosną. Sąsiadka z naprzeciwka prowadzi

wózek, jest taka młoda, za młoda.

Gerda wraca do domu. Nie pojedzie nigdy do *Stettin*, nie spotka się z Riką bliźniaczką. Rika nigdy nie włoży granatowej garsonki, nie zmieści się w nią, jest za gruba, i nigdy nie wróci do Hamburga. *NIEMALS*.

## *Bliźnięta jednojajowe*

Podobno bliźnięta jednojajowe (tzw. naturalne ludzkie klony) przychodzą na świat w wyniku podziału komórki jajowej zapłodnionej przez jeden plemnik. Bliźnięta jednojajowe są tej samej płci, mają identyczny materiał genetyczny, w okresie rozwoju zarodkowego wspólnie łożysko i wyglądają identycznie.

Nie mam pojęcia, jakimi klonami ludzkimi są Gerda i Ruth, ale jedno jest pewne, w młodości wyglądają bardzo podobnie. Patrzę na zdjęcia. Jest ich tylko kilka, ale wystarczy.

Ruth stoi pod drzewem z lewej i jest uśmiechnięta, ma okrągłą twarz i spięte włosy. Jest w spodniach! Za to Gerda jest zdecydowanie szczuplejsza, nosi warkocz i ma na sobie fartuch.

Na innym zdjęciu stoją pod jabłonką, są młodsze. Gerda, znów z lewej, ubrana jest w kusą sukienkę i jakiś fartuszek, zaplotła warkocz wokół głowy. Gerda ma rozpuszczone włosy. Chociaż nie wiem, czy to Gerda, bo z twarzy wyglądają identycznie.

– No widzisz, jakie są podobne? – zauważam.

– A czy ja mówię, że nie? Ale Ruth jest szczuplejsza! – odpowiada Karolina.

– Nie.

– Jak nie? Ta, co myślisz, że to jest Ruth, to jest Gerda.

Badania nad bliźniętami jednojajowymi dowodzą, że poza podobnym wyglądem charakteryzują się także podobieństwem psychicznym. Zależy to jednak od otoczenia, w którym są wychowywane. Bliźnięta chowane w różnych rodzinach i miejscach mogą mieć zupełnie inne cechy psychiczne.

No dobra, a co z tymi, które wychowały się razem, a które potem Karol rozłączył?

– Ale dlaczego Karol? Wojna je rozdzieliła. – Karolina mówi to już na dworcu w Hamburgu, czekając ze mną na pociąg.

Zimno. Zima. Wieje, jak to na dworcu. No i myślę, że to jest dobry moment, żeby na pożegnanie dać Karolinie zdjęcie, które znalazłam w kartonie Riki. To z roku 1951, na którym Karolina bawi się wśród gruzowisk, i to rodzinne, ojca Maximiliana, matki Hildegardy i brata. To, które Rika zabrała z bieliźniarki w roku 1945. Obrączkę Hildegardy też przywiozłam. Fular zachowam, nie sądzę, żeby Karolina chciała mieć jakieś pamiątki po dziadku Maximilianie.

Karolina patrzy na zdjęcie małej Karoliny i wreszcie po dłuższej chwili mówi, że czekała na Karola całe życie, ale przyjechał tylko raz. Na ten cholerny pogrzeb.

Patrzy na łzę, która kapie jej na rękę, i na tę drugą łzę, która kapie na jej starą dłoń. Patrzy jak na zasuszone kwiaty. To moje? To ja suszyłam kiedyś kwiaty?

## *Karolina przypomina sobie jeszcze dokładniej*

W roku 1981 Maximilian dostał zawału na ławce w parku. Gerda pojechała do szpitala, ale zanim tam dotarła, Maximilian już nie żył. Zadzwoiła więc szybko do Karoliny, prosząc ją, żeby ta powiadomiła Rikę w Szczecinie, że *Vater* zmarł. *Tot*.

– Sama zadzwoń! – odparła Karolina.

– Karol to twój ojciec! Ty dzwoń!

– Odczep się! – odparła wściekła Karolina i odłożyła słuchawkę.

Wypaliła kilka papierosów z rzędu i z satysfakcją pomyślała, że raz jeden na coś się dziad Maximilian przydał. Zmarł w dzień urodzin jej matki.

Muszę mieć dziwną minę, kiedy tego słucham. Karolina się śmieje.

– Z mojej matki to wredna cipa! – mówi. – Wiesz, że matka zapisała w testamencie, że odziedziczę wszystko tylko, jeśli będę mieszkać z nią do końca życia? – Karolina zapala papierosa. – Mieszkam z nią już dziesięć lat.

*Na dworcu zapala papierosa?, Hanka się dziwi.*

– Cipa! – Karolina wypuszcza dym nosem.

Gerda dostała błyskawiczne połączenie. Pierwszy i ostatni raz w życiu dzwoniła *nach Stettin*. Ale śmierć to śmierć. *Ordnung muss sein*. Tydzień później przyjechał Karol na pogrzeb. W domu powiedział Rice i dzieciom, że to jego ostatni, najważniejszy rejs.

– To było w roku 1981? – upewniam się.

– Tak. Miałam trzydzieści pięć lat, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy – powtarza i zaciąga się papierosem.

*I ona pali na tym dworcu, czy jak? W Hamburgu nie wolno palić na dworcu, powtarza Hanka. No i co z tego, mówi Miłosz. Niech se pali, jak chce!*

– Nocował w tym pokoju na poddaszu – ciągnie Karolina. – Nawet chyba nie zauważył, że to ten sam pokój, w którym mieszkał podczas wojny. Zrobiliśmy tam gruntowny remont. Ale z paczkami do Riki i z tą przekłętą garsonką to prawda – Karolina znów się śmieje. – Gerda posłała Rice śmiertcioną garsonkę, poważnie!

Czuję dreszcze na plecach. Próbuję sobie przypomnieć, czy babcia Rika kiedykolwiek wbiła się w tę garsonkę.

Patrzę na Karolinę. Stoi na wietrze wysoka, z uniesioną głową i pali. Kogoś mi bardzo przypomina. Kogo, kogo, kogo? Już wiem, mamę Hanki!

*No wiesz, naprawdę!, obrusza się Hanka.*

Nagle bardzo żałuję, że grzebię w cudzych sprawach, że byłam świadkiem starej łyzy.

Wsiadam do pociągu.

*Po co?*

Dzień później moja mama spyta:

– I po coś ty tam w ogóle pojechała?

Moja córka buja się na bujanym fotelu i odpowiada za mnie:

– Bo ją fantazja nosi!

– Skąd ty znasz takie powiedzenia? – pytam.

– No babcia tak mówi.

– Ja tak nie mówię – protestuje moja mama.

– O kim mówi? – pytam znów.

– O tobie.



## ROZDZIAŁ IV

*Chleba naszego powszedniego  
daj nam dzisiaj...*

## *Dzień Paczki*

Nie wiadomo, ilu było robotników przymusowych. Szacuje się, że pod koniec roku 1944 ponad osiem milionów, w tym 1,7 miliona Polaków. Jednym z nich był Karol, ale umrze w roku 1986 i nie doczeka już żadnego odszkodowania za pracę u swego teścia Maximiliana Korna. Chyba że liczyć paczki od szwagierki Gerdy. Paczki będą przychodzić, ale nie będzie polsko-niemieckiej wspólnoty, fundacji i zlotów rodziny Kornów. Dzieci i wnuki Ruth i Karola nie poznają dziadka Maximiliana Korna ani Karoliny, ani cioci Gerdzi – ciotecznej babci. Nie poznają też rodziny Karola. Rodzina zginęła. Matka Karola spaliła się żywcem, gdy bomba trafiła w kamienicę. Ojca rozstrzelano, została po nim na Mokotowie plama na murku. Murku – przy którym się mały Karol bawił w chowanym... Ale ja nie chcę opowiadać o rodzinie Karola, to nie ma być o nich.

*Nie rozumiem, dlaczego nie?, mówi redaktorka.*

No dobrze. Może kiedyś. Kiedyś. Bo teraz jest roczek Marcina i to też rodzina Karola.

Cmok! Cmok! Jeszcze raz cmok!

Całują się mama i Rika babcia. Babcia daje mamie białą kopertę z pieniędzmi i maskotki dla rocznego jubilata, które przysły kilka miesięcy temu w paczce od Gerdy. Rika specjalnie je zachowała na tę okazję. Zapobiegliwa jest. W międzyczasie przyszła kolejna paczka. Nowa. Wybuchł stan wojenny. Jeszcze o tym będzie. Też potem.

Paczkę z Niemiec rozpakowano jak zawsze za zamkniętymi drzwiami. W obrządkach paczkowych uczestniczyli najbliżsi miłościwej paczki: Miłoszek, Hania, babcia Rika, dziadek Karol, mama Hani i rączkujący gdzieś pod stołem Marcin. Ojczym był w urzędzie po paszport, więc nie uczestniczył, ale paszportu nie dostał, bo stan wojenny, wiadomo, i będzie musiał pracować w stoczni. Strajkować. Jeździć w delegacje. Będzie miał pełne ręce roboty w tej niechcianej przez siebie Polsce. Mama chodzi do pracy na piechotę. Wszystko stoi, jak to w strajki, ale o tym też potem. Bo jest o paczce... Gdyby mama nie była w pracy, nie świętowałyby i tak, bo paczki od Gerdy to dla Riki i dla reszty rodziny sprawa najwyższej wagi paczkowej. Rodzinnej. Prywatnej.

Babcia Rika długo próbowała się wcisnąć w granatowe hafty. Ostatecznie sukienka zawisła w szafie, zapakowana w szary ochronny worek z napisem *do it!* Dziadek przywiózł worek z Anglii.

Co to jest *do it*. Myślę o tym cały tydzień. Znalazłam w słowniku, ale mi nie pasuje, bo czemu na worku do odzieży ma niby być napisane „robić to”? W końcu nasłałam Miłosza na dziadka i dziadek powiedział, że to znaczy „zrób to”, co trochę zmienia postać rzeczy, czyli weź i włóż do worka, chyba tak. Dziwni ci Anglicy, tak ludziom kazać wkładać. Do worka babcia doczepiła paczuszki z lawendą i teraz worek z sukienką wisi sobie i pachnie. Zostawmy paczkę, garsonkę, hafty.

Urodziny Marcina. Ubrać się musiałam w czerwono-niebiesko-biały sweter i długą wąską spódniczkę. Teraz wszystko mnie swędzi i uwiera, bo sweter jest wełniany, włochaty i drapie. Mama kupiła mi te rzeczy w Świecie Dziecka za ciężkie pieniądze. Nienawidzę swetra, spódniczki i rajstop, zielonego płaszczka też nienawidzę. Mama uważa, że nie wiem, co dobre.

Za to mam wreszcie adidasy. Tata przywiózł mi je z Czechosłowacji. Był tam ze studentami na jakimś hufcu pracy czy przyjaźni.

*Opowiedziałabyś coś o swoim tacie, zauważa redaktorka. Już czas.*

Nachylamy się z Miłozsem i Hanią nad tortem, bo mama prosi, żebyśmy pomogli zdmuchnąć Marcinowi świeczkę. Chcę zdmuchnąć, ale zagapiłam się w małą Hankę i ta mała mnie ubiegła. Ma na sobie modny kombinezon khaki i białe drewniaki. Drewniaki to szal. Wszyscy chcą teraz nie adidasy, tylko drewniaki. No i zdmuchnęła tę świeczkę.

*Wiesz co, Dagmara, mam cię dosyć. Hanka najchętniej wyszłaby z tej książki.*

Roczek Marcina to jest wielka impreza. Przyjechała babcia z Gdańska i ciocia Lala, siostra mojej mamy, jeszcze o niej będzie.

– Kto to jest ciocia Lala?

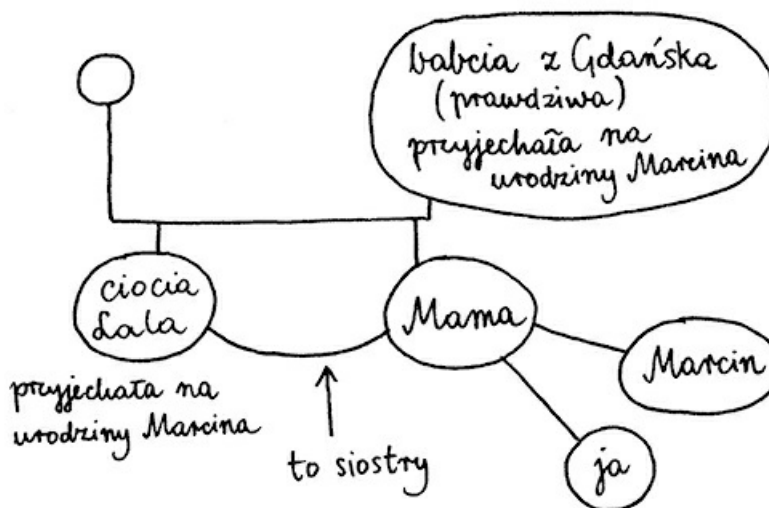
– Siostra mojej mamy.

Proszę, jak wszyscy kochają Marcina! Jeszcze im powiem, co o tym myślę! Zapamiętam sobie. Jakby dziecku nigdy nie widziały.

Dziadek Karol się napił i woła do przechodniów przez okno:

– Zdrowie Marcinka! Zdrowie Marcinka!

Babcia Rika zatrząskuje okno.



Dziadkowi urosła znów broda i z tą brodą, jak nie mówi, to jest naprawdę miły, jak prawdziwy marynarz. Nam dzieciom znów pozwala się bawić u siebie w pokoju. Wszędzie obrazy, prawie nie ma gdzie się bawić.

– Chodź – woła Miłozs – poskaczemy!

Tam ze skakaniem! Babcia tuli do siebie Marcina, ciocia Lala skacze wokół Marcina. Oszalały! Gdańsk oszalał.

– Jaki śliczny, jaki słodki!

Chcę kobietom z Gdańska, mojej rodzinie, powiedzieć, co o tym myślę, już tupię nogą, ale Marcin wyciąga w moją stronę rączki i śmieje się w głos... Tupię znów nogą. Marcin zanosi się

od śmiechu, inni też się śmieją. W końcu ja też.

Potem dziadek pyta Marcina:

– Misiaczkule, kto tu rządzi?

Marcin wali pięstką w tort.

– Ja!

## *Kawał urodzinowy*

Babcia Rika zajada tort i opowiada mojej babci z Gdańska swój sztandarowy kawał. Kawał babci Riki na roczku Marcina brzmi tak samo jak na imieninach dziadka i na imieninach Szapiłowej. Miłosz mówi, że babcia Rika opowiadała go też na jego komunii.

No to jeszcze raz ten kawał po latach. Idzie tak: przychodzi mąż po pracy do domu. Dzieci zacierajom ręce, będzie co jeść, będzie co jeść, być co zreć! Kolacja! Ale się denerwowuje i denerwowuje dzieci. Matka uspokaja dzieci. No co wy, ojciec nie wilk, przecież nie zje całego jajka!

Koniec. Kawału.

Babcia Rika się śmieje.

## Głodna

Po latach czytam we wspomnieniach Antoniego Huebnera, że w Szczecinie panował straszny głód. Czytając, myślę, że przecież w roku 1945 głód panował wszędzie, ale czytam dalej, że „najgorzej mieli Niemcy. Na ulicach sprzedawali różne cenne przedmioty za chleb i inne artykuły żywnościowe. Niemki, sprzedawczynie gazet na ulicach, zarabiały, krzycząc (z niemieckim akcentem) «Kurier Sztetyński», inne zgłaszały się jako sprzątaczk. Taką zastałem raz w moim radiowym biurze, zupełnie wygłodzoną. Nie było nienawiści do tych nieszczęsnych kobiet. Dawaliśmy im swoje drugie śniadanie!”.

To ciekawe, bo sąsiadka Szapiłłowa, którą przy wódce szczególnie brało na wspomnienia, opowiadała, że po wojnie w wykolejonym szczecińskim tramwaju mieszkało kilka niemieckich sierot i dziadek na wózku inwalidzkim. No i ona, Szapiłłowa, zachodziła tam co jakiś czas sprawdzić, czy już wreszcie zdechli z głodu.

– I wyobraź sobie, że staruch zdechł pierwszy!

\* \* \*

Czy babcia Rika też głodowała? Co robił dziadek Karol w Szczecinie w roku 1945? Czy babcia sprzątała u Polaków, czy u Rosjan? Sprzedawała „Kurier Sztetyński” na rogu Kreckowerstrasse? Dlaczego zamieszkali na Żeromskiego? Przecież babcia się bała obrzeża miasta, nie chciała willi, pustych domów, pamiętam, jak mówiła o tym cioci Lali. Nawet Szapiłłowa nie chciała iść do willi na Pogodnie. Mówiła, że do willi szli tylko desperaci.

*Babcia nigdy nie sprzątała, mówi mama Hanki.*

*Skąd wiesz?, zastanawia się Miłosz. Co my w ogóle wiemy o babci?*

\* \* \*

– Dziecko, zapamiętaj sobie, *hungrig* po niemiecku znaczy „głodna”. Zapamiętaj!

– Ale ja tego nie chcę pamiętać, babciu!

– A *arm* znaczy „biedna”. Powtórzaj za mną: *hungrig und arm*. Ja cię wszystkiego nauczę, zobaczysz!

## *Tramwaju niet*

Myszę o tym tramwaju w Szczecinie, w którym mieszkały niemieckie sieroty z dziadkiem na wózku inwalidzkim, tym, który umarł z głodu. Chyba długo tam potem te dzieci nie pomieszkały. W *Trzech kolorach...* Dunwilla czytam, że Rosjanie Szczecin doszczętnie obrabowali. Wywieźli zakłady produkcji samochodów Stoewera, tramwaje, turbiny elektrowni, dźwigi z portu, holowniki portowe, a nawet lokalny tabor kolejowy.

Co było z tymi dziećmi, pytam młodą Szapiłową. Nic nie wie o żadnych dzieciach. A tak, już wie, któregoś dnia matka, stara Szapiłowa, przyszła i tramwaju nie było. Stara Szapiłowa była niepoczona, bo że Niemiec bardziej głodny, że komuś się powodziło jeszcze gorzej niż Polakom, to wtedy wiele znaczyło.

## *Wieści z wioski Szapiłłowej*

– Leżą wszędzie – mówi pijana Szapiłłowa. Siedzi przy swoim kuchennym poniemieckim stole na poniemieckim drewnianym krześle, które przemalowała na zielono, żeby pasowało do lampy. Też poniemieckiej.

– Pełno zabitych! – Głowa Szapiłłowej kiwa się niebezpiecznie i wreszcie z hukiem opada na stół.

Naprawdę nie wiem, czemu ona ciągle o tym... A ja o niej...

– Może jej się miesza z tym, co przeżyła tam u siebie na wiosce? – mówi jej szpetna córka do mnie.

Siedzę przy biurku, prawie zasypiam, taka już jestem zmęczona Szapiłłową w tej książce.

– Chodź już spać! – ktoś mnie woła. Kto?

Córka Szapiłłowej mówi, że bym nie szła, i pyta, czy nie chciałabym posłuchać opowieści z wioski jej matki.

– Nie chcę.

– I tak ci opowiem! Matka schowała się w piecu. Przeżyła. Jej ojca i braci wywlekli na podwórko. Zastrzelili. A córki gwałcili i gwałcili, a potem do dołu wrzucili żywe, strzelali, jak już leżały w rowie.

– Rosjanie?

– Nie, Niemcy.

– Niemcy gwałcili?

– A co myślisz, przecież to też ludzie.

Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Szapiłłowa budzi się i szepcze, że ilu naprawdę zginęło, to są tajemnice zabitych.



## Wieści z Warszawy

No więc dzieci Ruth i Karola nie poznają dziadka Maximiliana Korna ani Karoliny, ani cioci Gerdzi z Hamburga – ciotecznej babci. Nie poznają też dziadków i ciotek ze strony swego ojca Karola. Rodzina zginęła. Nikt nie przeżył. Matka Karola spaliła się żywcem, gdy bomba, uderzywszy w środek dachu, wbiła się głęboko w ziemię i rozbiła w drobny mak wszystko, pozostawiając po sobie tylko fragmenty fundamentów. Ojca Karola rozstrzelano, została po nim plama na murku na Mokotowie. Murku – przy którym się Karol bawił w chowanego...

*To już było! Dalej!*

Przed wojną kamienica była elegancka, nowoczesna, czterokondygnacyjna, na każdym piętrze wielopokojowe mieszkania, szerokie schody z dywanami, sztukaterie, winda, dozorca. Ale w czasie wojny cała ta elegancja znikła, dozorca mawiał: przeklęta kamienica! Bo żadna z rodzin, które tu przed wojną mieszkały, wojny nie przeżyła.

Poza Karolem.

W naszej opowieści matka Karola jeszcze żyje. Ojciec Karola pracuje w niemieckim urzędzie, bo zna języki i robotę tam dostał. Wojna, ale aż tak źle nie jest. Dzieci mądre, w nic głupiego się nie angażują, a jak tak, to ona, matka, nic nie wie, nie chce wiedzieć. A teraz szoruje podłogę, zawsze szoruje, gdy z korytarza dochodzą odgłosy szamotaniny, strzały i krzyki, gdy kogoś od sąsiadów wyciągają, kto wie dokąd i kto wie po co. To znaczy po co, wiadomo, po śmierć, ale nie tylko Niemcy tu przychodzą. Różni się kręcą w kamienicy i swoje sprawy załatwiają. Matka Karola dzisiaj też szoruje, spokój jest, a ona nerwowa jakoś i szoruje zawzięcie, wyżyma szmatę, łamie paznokcie i cicho śpiewa. Właściwie śpiewa tylko, gdy dłużej niż zawsze te szamotaniny i krzyki trwają. Dzisiaj cicho jak makiem zasiał, a ona śpiewa... No więc szoruje, jest wiosna, może koniec maja, może początek lata. Dwie siostry Karola zaraz miną bramę, nie zauważają, że ktoś im z góry macha, wywija szmatą, chce ostrzec, no więc nie zauważają, wejdą do domu, który jeszcze stoi. Zęby gestapowcy siostrom Karola wybiją już w środku, pod schodami. Po matkę i ojca Karola przyjdą, ale za jakiś czas, oni zdążą uciec, wrócą tu dopiero w czasie powstania.

Wracamy do córek bez zębów, z połamaną szczęką. Chcą się od nich dowiedzieć, kto je ostrzegł, bo nie wpadły podczas jakiejś akcji (tak jak Karol były w podziemiu). Wrzucili je do samochodu jak worki z kartoflami, widziała sąsiadka, bo takie ładne żorzetowe sukienki miały, żółto-zielone. To znaczy nie, jedna miała zieloną, na pewno, a druga zieloną w żółte kwiatki. Przesłuchiwano je przez osiem godzin. Po wszystkim wsadzono do celi z prostytutkami. Nie wiadomo, po co do tej celi, trzeba było od razu wyrzucić. Pierwsza zmarła po godzinie, druga gdzieś z wieczora. To był koniec wiosny, a może początek lata. Bliźniaczki jednojajowe. Dziewiętnaście lat. Jak się nazywały? Nie pamięta. A ja nie zdążyłam zapytać dziadka Karola. Kiedy opuszczał Warszawę i jechał na roboty, matka, ojciec, siostry żyły. O ich śmierci dowiedział się dopiero po wojnie.

– Gdybyś wiedział wcześniej, to mógłbyś mieć z Niemką dzieci?

Dziadek Karol nie odpowiedział od razu. Dopiero następnego dnia, gdy odprowadzałam go

do pociągu i przeszliśmy granicę na Friedrichstrasse, spojrzął na mnie.

– Nie wiem.

\* \* \*

– Los się dziedziczy. – Mama Hanki gładzi wzburzone fale na obrusie. – Hania miała siostrę bliźniaczkę, która zmarła przy porodzie.

Jaka ciocia? Co za Hanka? Jaki los?

Aha, Hanka, przyszywana kuzynka, odziedziczyła imię po swojej cioci, tej, co ją gestapowcy przesłuchiwali i zmarła w celi zaraz potem. Pewnie ta bliźniaczka, co zmarła, odziedziczyła imię po drugiej siostrze dziadka Karola, tej, co umarła w celi z prostytutkami z wieczora, ale czy wypada pytać, jak się nazywała, to tak jakby przywoływać ten los dziedziczony.

– Szczęście miał Karol na tej wojnie, bo przeżył – mama Hanki uśmiecha się do mnie.

– A was bili! – mówię do niej.

– Kto?

– Polacy!

– Gdzie?

– Na podwórku!

– No i co z tego?

– Wyzywali od szwabów!

– Ale czasem tylko, rzadko!

Myślę. Tego drzewa genealogicznego nie da się chyba narysować.

\* \* \*

– Dagmara, zostaw to – mówi mama.

– Ale dlaczego?

– Nie wszystko trzeba wiedzieć, coś się tak uparła?

– No bo...

– Omiń, zostaw im to.

Komu mam to zostawić? Sobie? Im?

\* \* \*

Często się zdarza, że trafiam na książki, które pozornie nie są mi do niczego potrzebne. Mają zniechęcający tytuł, brzydkie okładki, a ja i tak je wypożyczam, kupuję, zamawiam. Tak jest i z tą książką, która wpada mi w ręce przypadkiem, a ja wiem, że będzie ważna. Już po kilku stronach dowiaduję się z niej, że w roku 1957 zarejestrowanych było w Szczecinie tylko dwustu wiernych, a Dom Kultury im. Przyjaźni Polsko-Niemieckiej trzeba było w roku 1964 zamknąć. Nie było chętnych, dla których można by go jeszcze prowadzić. Wbrew temu, co mówiła Szapiłłowa, z Niemcami w Szczecinie było trochę inaczej niż we Wrocławiu czy Gdańsku. Wyjeżdżali falami, niektórzy zostali aż do roku 1964. Czytam dalej i w przypisach natrafiam na książkę o mieszanych małżeństwach z Kreckowerstrasse. Niespodziewanie okazuje się, że mój tata zna autora tej książki o małżeństwach mieszanych i grał z nim nawet kiedyś w karty.

– Dzwon, tato!

– O nie! Ja już nigdzie dzwonić nie będę!

Dzwonię więc sama. Nikt nie odbiera, dzwonię jeszcze raz, żona autora książki mówi, że wyjechał. Wróci? Wróci za miesiąc. Szukam, nikt nic nie wie i nie słyszał. W bibliotece, owszem, była taka książka, ale ktoś nie oddał. Tacie w końcu szkoda córki, uruchamia wszystkie znajomości, mówi, że książkę ktoś ma, przywiezie mi. Nie martw się, córeńko, tata ci załatwi książeczkę o tych Niemcach, choć nie wie po co. Załatwia, ale nie tę, lecz o małżeństwach mieszanych na Śląsku. Jadę do autora. Jest już, wrócił, ale okazuje się, że nie ma ani jednego egzemplarza. Nie, nie ma zapisków, plików, bo mu się dysk spalił. Nie pamięta, co napisał dawno temu, a zresztą ten rozdział pisał jego kolega, a kolega, z którym pisał książkę, umarł, mam iść do żony kolegi. Idę. Nie ma żony, wyjechała do Anglii, do córki. Albo do Irlandii, sąsiadka nie wie dokładnie.

Nie wyrwę Rice, co robiła w roku 1945. Wiem tylko, że była głodna. Głodna.

*Ja też chyba do wnuków do Irlandii pojedę, mówi mama Hanki.*

## Jarzębina

W Szczecinie rośnie pod domem na podwórzu, od strony kuchni, duża jarzębina. Babcia Rika zawsze zbiera w październiku małe pomarańczowe owoce i robi z nich przetwory. Tłumaczy nam, że nie wolno w żadnym wypadku jeść surowych owoców, bo jarzębina jest trująca, ale po przemrożeniu i ugotowaniu można z niej zrobić dżemy i soki.

Godzinami siedzimy w kuchni i gramy z Miłozem w makao. Babcia bez przerwy pichci.

– Pachnie pomarańczą – mówię do babci.

Babcia się uśmiecha, piwnica pęka w szwach od zapasów.

Nagle Miłoz przerywa i prosi babcię, by powiedziała „jarzębina”. Babcia udaje, że nie słyszy.

– Powiedz, powiedz „jarzębina”! – męczy ją Miłoz.

– Jadzembina.

Miłoz się śmieje, ja też. Dziadek Karol wchodzi niespodziewanie do kuchni i strzela Miłozowi w ucho. Miłoz płacze. Babcia go tuli.

– To tylko dżeczak! – mówi.

Babcia umrze w roku 1985, jarzębina uschnie rok później. Przetwory się wyrzuci i tam gdzieś na najniższej półce znajdę szary karton z fularem.

## *Violetta*

Dziadek jest pijany. Czasem go bierze bez przyczyny, siedzi przy sztalugach i pije. Czasem idzie do Szapiłowej i piją razem. Nazajutrz dziadek puszcza na cały regulator płyty Violetty Villas. Przeważnie słucha *Granady*, ale lubi też słuchać o matce.

Mamo, smutno tu i obco.  
Drzewa inne rosną  
I ciszy nikt nie zna tu.  
Mamo, nie myśl, że się skarżę.  
Żal mi tylko marzeń,  
Dziecięcych dni, moich dni.

Patrzę na babcię. Niby wszystko jest jak zawsze, zmywa, krząta się, ale po chwili idzie do przedpokoju; jeśli jest zimno, bierze płaszcz, jeśli ciepło, to ściąga tylko fartuch, odwiesza na poniemieckie krzesło i wychodzi z mieszkania. Dziadek woła za nią: Rika! Rika!!!

Moje miejsce, szczerze mówiąc, jest na Żeromskiego 116 mieszkania 3 nijakie, więc do stracenia mam niewiele. Ostatkiem sił powstrzymuję się, żeby nie wyrwać kabla i nie porysować tej płyty.

Widzę znów nasz dom,  
Ciebie, mamo, w nim.  
Wspominam stary klon,  
Ciemny i wysoki jak dym.

Do znudzenia, co miesiąc to samo. Któregoś dnia zbieram się na odwagę i wyłączam płytę.

– Mógłbyś, panie dziadek, innej piosenki słuchać!

– A ty co!

– Ja nic, ale babci smutno.

Dziadek nie wie, co powiedzieć, więc mówi tylko:

– No, no, no!

\* \* \*

Miłosz pyta dziadka:

– Gdzie jest centrum Szczecina?

– Przy ulicy Bogurodzicy. Tam można było kiedyś nawet dorożkę złapać.

*No i za to lubiłem dziadka, mówi Miłosz, wszystko wiedział.*

Miłosz nie wie, że dziadek marynarz tyle o Szczecinie wie, co i ja, czyli nic. O Szczecinie wie sporo Rika, ale nie chce nam o nim opowiadać. Pytam ją czasem, a ona mi odpowiada, że

Szczecin jak Szczecin, cmentarz, jadźembina, trochę park.

– Ale dzielnicę Pogodno lubię.

Babcia lubi Pogodno, bo Pogodno przypomina jej Hamburg.

– Szczecin nie ma centrum – mówię do dziadka.

Dziadek odkłada pędzel, odwraca się i patrzy na mnie.

– A panna to co?

– Nic!

– No to co tu robi?

– Nie jestem panna i Szczecin nie ma centrum.

Wychodzę. Strasznie dumna, chociaż nawet mój rodzony tata uważa, że Szczecin ma centrum.

*– Dlaczego ty tak nie lubisz tego miasta, dziecko?*

*Kto to mówi, chce wiedzieć Miłosz.*

*To mój tata tak mówi. Ten nieprzyszywany.*

No to może teraz byś wreszcie coś o tym tacie opowiedziała, zauważa redaktorka.

Nie. *Nein.*

## *Nie mówi się!*

Karol jest sam, ma tylko Ruth Korn, czyli Rikę, którą zabrał z Niemiec, i im bardziej ona jest od niego uzależniona, tym bardziej on ją kocha. Rika znów jest w ciąży i wciąż jest głodna, ale w roku 1946 Karol pracuje już w stoczni. Zna niemiecki, rosyjski i polski i nie zarabia. Mówią, że będzie zarabiał. Lepiej niech nie zarabia, woli zupy, chleb, cokolwiek, pieniądze to przedwojenna bajka. Ludzie są potrzebni do roboty, ale nie potrafią się ze sobą dogadać. Wieża Babel. Nie ma co jeść, pełno pustych domów, wszędzie bandy, szabrownicy, milicja, której ludzie się boją, Armia Radziecka, której wszyscy jeszcze bardziej się boją.

Dokąd pójść? Ruth jest znów w obozie z Karolem. Kto pracuje, niebawem z obozu wyjdzie. W obozie zostaną tylko Niemcy. Raz mówi się, że Szczecin podzielą na pół i za Odrą będzie ten niemiecki Szczecin, a przed Odrą polski (albo odwrotnie, zależy, jak i z której strony się patrzy). A dzień później, że będzie niemiecki, a za dwa dni, że całkiem polski. W 1945 akurat to już jest Rice obojętne, jakkolwiek by patrzeć, do domu prawie czterysta kilometrów.

*Wcale nie czterysta, tylko jakieś trzysta sześćdziesiąt, mówi Miłosz.*

W swoim zeszycie z zameczkiem Rika zapisze, że prawie czterysta kilometrów, a to tyle co na planetę Wenus. Dlaczego pisze, że na planetę Wenus? Sama się nad tym w pamiętniku zastanawia.

Nie będę czytała dalej, nie wypada, a potem jest o tym, jak się mocno kochają z Karolem, i o tym, że jak przyniesie z pracy zupę, ona kocha go jeszcze mocniej.

Korci mnie jednak, żeby się dowiedzieć. Tak mnie korci. Zameczek w tym notatniku jest zardzewiały, w końcu odpada.

*Po kim ty taka ciekawska jesteś, zastanawia się mama.*

Rice chce się jeść. Powtarza w bezsenne noce: Jeść, *essen*, *есть*, *кушать*.

Tylko w nocy i tylko w myślach, bo Karol zabrania jej znów mówić. Nie mówisz! Nie mówi, ale myśli: *essen*, *essen*!

Tak więc Rika nie je, nie mówi, tylko jest. Rika jest Riką, żoną Polaka, bez ślubu, w polskim Szczecinie i już niebawem zamieszka w mieszkaniu numer 3, pod skrzeczącą podłogą starej Szapiłłowej przy Żeromskiego.

*Nie skrzeczała! Miłosz jest przekonany, że w mieszkaniu dziadków nie było starych desek, zawsze za to pachniało lawendą i farbami dziadka.*

Tylko co do jednego jesteśmy zgodni, Rika godzinami kroić salami.

\* \* \*

Rok 2015.

W Szczecinie kierowca taksówki opowiada mi najpierw swoje życie, a potem gdy słyszy, że rozmawiam przez komórkę po niemiecku, śmieje się i mówi, że on też *sprechen sehr gut auf Deutsch*.

– Nie wiem, czy pani wie – przechodzi na polski – ale oni wszyscy tam wisieli na tych

drzewach – pokazuje wysokie klony przy szerokiej ulicy, woleli wisieć niż żyć. Ja tam się im nie dziwię. Ja pani opowiem wszystko, co pani chce, oprowadzam niemieckie wycieczki i znam lepiej nazwy ulic po niemiecku niż po polsku.

Nie reaguję.

– Ja, pani kochanieńka, wszystko opowiem, ja znam takie historie, takie historie, że... – próbuje jeszcze taksówkarz.

– Czy ja mam na twarzy napisane, że chcę to wiedzieć?

– No nie.

Milczymy.

\* \* \*

W roku 1946 dostali duży worek marchwi i duży worek ziemniaków. Dwa worki. Rika liczy raz, dwa. Jeszcze raz: *eins*, *zwei*. Dwa worki. Ukryli je przed sąsiadami pod śmieciami w piwnicy. Rika nawet maluje tę marchew i ziemniaki w swoim notatniku, bo zeszyt z zameczkiem to nie jest pamiętnik, tylko *Notizbuch*. Rika chowa go pod poduszką, wie, że to nie jest najlepsza kryjówka, ale czy w 1946 są jeszcze dobre kryjówki? Kiedy wychodzi z mieszkania, zawsze ma swój *Notizbuch* przy sobie. Wychodzi rzadko. Nie najlepiej się czuje. Mieszkają w mieszkaniu, w którym przyjdzie żyć Rice aż do śmierci, ale dopiero w roku 1985 będzie ta śmierć.

W kuchennym oknie są tylko ramy, szyb nie ma, wyleciały w 1945. Widok z kuchennego okna na podwórze jest ładny latem. Jarzębina już rośnie. W innych oknach są szyby, widać szeroką ulicę, a kiedyś, za ileś lat, będzie widać z bocznych okien (za ileś lat zamieszkają tam studenci) pocztę, ale teraz, z początkiem 1946, mieszka w tych pokojach z widokiem na nieistniejącą jeszcze pocztę rodzina niemiecka. To mieszkanie, ogródek na dole i największa piwnica należały kiedyś do nich. W największym pokoju, w którym Karol będzie malował grube kobiety nad morzem, mieszka wielodzietna rodzina z Warszawy. Warszawiacy nienawidzą Riki, bo jest Niemką, a Niemcy nienawidzą Riki, bo związała się Polakiem, folkspolka! – mówią na nią Niemcy. Folksdojczka wołają na nią Polacy. Niemcy niebawem będą musieli swoje mieszkanie opuścić na zawsze. To pewne, od kilku miesięcy wiadomo, że Szczecin nie zostanie podzielony na pół i należeć będzie jednak do Polski. Prezydent Zaremba tak powiedział.

– *Wiesz, dlaczego ty tak kłamiesz? Wielu Niemców z Polakami się wtedy rozumiało, nawzajem wspierało, pomagało sobie. Czytałam nawet, że chleb na drogę wypiekało, jak jechali na Zachód – odzywa się mama Miłozza. Ta sama, którą Rika nosi w 1946 pod sercem i którą za chwilę urodzi.*

Nie śmieję się, choć słyszę śmiech Szapiłłowej za plecami. Obracam się, jestem sama.

– Opowiedz o trupach – podchwytuje Szapiłłowa. – Opowiedz o trupach, opowiedz o trupach.



## ROZDZIAŁ V

*Moja wina, moja wina  
moja bardzo, bardzo wielka wina.*

## *Tadek. Pan*

Maja w przyszłości zostanie prezenterką telewizyjną. Bardzo dobrze zda maturę, zacznie studia w Warszawie, wyjdzie za mąż i będzie pracować w prywatnej stacji telewizyjnej. Każdy ją w Polsce zna, jest wysoka, zgrabna i mądra.

– Dobrze się trzyma! – mówi Patryk w roku 2015.

– No, Maja to laska! – potwierdza Marian.

W ósmej klasie Maja bezbłędnie wykuje *Pana Tadeusza* na pamięć. Z rozpędu dołoży jeszcze *Balladyne*. Ja w jej wykonaniu zapamiętam jedynie *Świteziankę*. Wyjadę do Niemiec w szóstej klasie, więc przegapię te recytacje, ale o *Tadeuszu* pamięta Marian. Patryk zaprzecza. Twierdzi, że Maja potrafiła wyrecytować tylko początek *Pana Tadeusza*.

– Nie pierdol! – Marian wstaje, zaciska pięści.

– Łapy won! – zrywa się Patryk.

Każą nam wyjść z baru.

– Dlaczego mamy wyjść?

Bo hałasujemy. Idziemy.

– Strasznie wrażliwi ci szczecinianie! – stwierdzam.

– Jakby tu od zawsze mieszkali! – mówi Patryk.

– „Mój jest ten kawałek podłogi!” – śpiewa Marian.

– Jaki tam twój!

– Mój!

– Tu nie ma nic twojego! Nawet na szczecinianina wszechczasów wybrali...

– Niemca! – kończy z goryczą Marian.

Patryk czka. Marian czka, czkamy. Zimno, wieje od Odry.

– A skąd twoi rodzice pochodzą? – pytam, czkając.

– Moi? Tu się urodzili – czka Marian.

– A dziadkowie? – czkam ja.

– W Stanisławowie – czka Marian.

– A twoi? – znów ja.

– Spod Warszawy – Patryk.

– A ty? – Marian łapie się za głowę. – Aha, no tak, z Gdańska!

Wracamy nad ranem do domu, trzeźwi.

Zimno Szczecin jawi się w mrozie wielki jak Berlin.

## *Nigdy nie podstawiaj nogi bliźniemu!*

Teraz jesteśmy w IVa i Maja żywo gestykuje. Opowiada o czymś Anecie, która wyjedzie jeszcze przede mną do NRF-u i szybko zapomni języka polskiego. Teraz jednak wszystko jeszcze rozumie, i nawet nieźle się uczy. O tym zapomnieniu Anety też dowiem się od Mariana, Patryk potwierdzi skinieniem głowy.

– Jej rodzice to byli komuniści.

Strasznie trudno być w Polsce zwykłym człowiekiem. Pamięć nie wybacza. Przenosi w genach komunizm, ojca milicjanta i ojca prywaciarza.

– Jaka ty naiwna jesteś! – prycha Marian, twierdzi, że to mieszkanie przez lata u Niemca zrobiło ze mnie odmienca. Patryk przytakuje.

– A twój Maciek został księdzem, o!

– Jaki Maciek? – pytam.

– No ten, co się w tobie kochał.

Straszne i smutne. Nie pamiętam Maćka.

– I mówił, że pokazywał ci siusiaka!

\* \* \*

W IVa w kółko chodzę z Agnieszką na przerwie i zerkam na zarumienioną Maję. Jest w białych drewniakach i sztruksowej sukience. W naszej klasie tylko ona ma drewniaki. Jest bez fartuszka, jasne włosy urosły już do pasa, jakbym była chłopcem, nie spałabym po nocach.

Ktoś ciągnie mnie za włosy. To może być tylko Miłosz, ale niby dlaczego? Już dawno przestał sikać i nie chowam już w schowku gaci dla niego na zmianę. Odwracam się. To Maciek!

*Jaki Maciek? Skąd ten Maciek? Redaktorka nic nie rozumie. Musisz się z tego Maćka wytłumaczyć.*

Maciek, po prostu Maciek, mały chłopczyk z loczkami i w okularkach. Zawsze, gdy go widzę, myślę o książce *Dzieciństwo w pasiakach*. Pani bibliotekarka mi tę książkę poleciła i bardzo przy niej płakałam. Maciek skacze wokół mnie jak głupi.

*Wywal tego Maćka, bo się wszystko miesza.*

– Baśka kazała ci przekazać, żebyś nie zadzierała nosa!

– Co?

– Z tym piórnikiem z NRF-u! I żebyś nie myślała, że...

– Co?

– Spadaj! – Agnieszka wali Maćka książką po głowie. Skończyła wszystkie części *Ani* i zaczęła czytać jeszcze raz od początku, jest w złym humorze. W ostatniej części nie było już nic o Ani Shirley, tylko o jej dzieciach, dorosłych!

– Spieprzaj! – warczy na Maćka

– Czy ja zadziera nosa? – pytam zdumiona.

Agnieszka odpowiada dopiero po chwili:

– No może trochę...

Nie zadzieram nosa. To nie fair.

A co jest fair, mówi Szapiłłowa i idzie topić koty.

\* \* \*

Po lekcjach bijemy się z Bašką. Trochę się boję. Nie uważam nawet na polskim, cały czas myślę o tym, że będziemy się biły. Baška wyzwala mnie na walkę za piórniki i za NRF. Baška znów wysyła do mnie Maćka. Dowiaduję się, że jestem zarozumiała i że bym uważała. Już chcę zapytać Agnieszkę, czy jestem zarozumiała, ale może lepiej nie.

Mama jest pierwszy dzień w pracy. Uczy w tej samej szkole, do której chodzę od zerówki, albo inaczej: uczę się w szkole, w której ona uczy.

– Muszę ją mieć na oku po tych wszystkich chorobach – mówi.

Zabrała mnie z przedszkola. Wylądowałam o rok wcześniej niż inne dzieci w zerówce – po znajomości. Tym sposobem chodziłam do zerówki dwa lata i wynudziłam się za wszystkie czasy. Pierwszy raz, jak miałam pięć lat, i oficjalnie, jak miałam sześć lat. Potem dzieci, które po zerówce przeszły do pierwszej klasy, opowiadały, że kiblowałam w zerówce. Będą mi to wypominały, ilekroć mnie zobaczą na korytarzu szkolnym: kiblara! Kiedy będę pakować walizkę przed wyjazdem do Niemiec, przypomnę to sobie na pocieszenie, ale nic mi nie pomoże.

Teraz Marcin już podrośł i opiekują się nim dziadkowie. Znów będę jeździła do szkoły razem z mamą. O skrótach nie ma mowy, o spóźnianiu też nie. Dlaczego o tym mówię? Bo jak wytłumaczę mamie zakrwawiony nos? Wiadomo, że Baška jest silniejsza i mnie pobije. Może uda mi się namówić Patryka, z którym od niedawna siedzę w jednej ławce, żeby poświadczył, że upadłam, że ktoś mnie popchnął czy coś.

– Nie będę kłamał!

Tak więc wyjścia nie ma, będę się biła z Bašką. Przegram jak nic. Baška jest wyższa ode mnie o głowę, żyłasta i zwinna jak kot. W roku 1994 będzie jechała na zgrupowanie narodowej kadry siatkarek i zginie z matką w wypadku samochodowym.

– Na tym padole miały tylko siebie! Po śmierci też będą miały tylko siebie! – powie ksiądz na pogrzebie i zapłacze szczerze.

Księdzem, który zapłacze, będzie Maciek z loczkami, ten od *Dzieciństwa w pasiakach*, więc się dowiem. Marian mi wszystko opowie.

Jeszcze tylko WF. Baška żyje, ma się dobrze. Gramy w ręczną, właśnie strzeliła bramkę zrozpaczonej Agnieszce. Teraz Baška obraca się i z całej siły kopie piłkę w moją stronę, piłka uderza mnie w głowę. Czuję krew w nosie, jest mi niedobrze. Maja, Agnieszka, Marian, Patryk podbiegają do mnie. Nauczyciel, którego lubię, odkąd mi powiedział, że mam bardzo dobry serw, pochyła się nade mną.

– Chyba musimy powiadomić mamę. Kto to był? Kto rzucił w ciebie piłką?

Wstaję i idę chwiejnym krokiem w stronę ławki. W drodze do szatni podstawiam Baśce nogę. Wywraca się i rozcina sobie skroń. Krew. Baška płacze. Niedobrze.

– Co ty wyprawiasz? – pan od WF-u krzyczy na mnie. – Zwariowałaś?!

Pani higienistka, która przyjechała z przyszłości, prosto z planu *Władców móch*, i ostro pociąga z flaszki, w pracy też chętnie, przybiega cała w pąsach.

– Trzeba będzie szyć! – mówi niemrawo, trzęsie się jej ręka, ale na szczęście nie jest lekarką, szyć nie będzie.

Do szkoły wpada mama Basi, przyjeżdża karetka, zamieszanie, chaos.

Pojechali.

– Zrobiłaś to specjalnie! – Agnieszka demonstracyjnie odwraca się plecami i wychodzi z Mają i innymi dziewczynkami z szatni.

Czuję się strasznie. A gdyby Baśka upadła na coś ostrego? Zapiszę w pamiętniku:

Nigdy nie podstawiaj nogi bliźniemu!

– Przeprasz Basię przy całej klasie! – Mama jest blada, wstrząśnięta. – I co ty w ogóle masz na twarzy?! – Próbuje zetrzeć mi brud z policzka.

Odskakuję, boli.

Nie mogę zasnąć. Nad ranem wchodzę na mały stołek i zerkam do lusterka, na policzku siniak, odcisnięta piłka.

– Trzeba było przyłożyć coś zimnego! – mówi mama.

Postanawiam przeprosić już na pierwszej lekcji, biologii, ale Baśka nie przyszła do szkoły. Pani Szczypiorska, serdeczna przyjaciółka mamy, robi wykład o przemoc. Jestem czerwona jak burak. Piórniki z NRF-u ktoś wrzuca mi do klozetu.

– Możesz go sobie wziąć – mówię do Pasiaka.

Maciek wyławia zaszczany piórniki i cieszy się jak dziecko.

– Gdzie masz długopis? – pyta mnie matematyczka. – Dlaczego nie przepisujesz z tablicy? Co ty masz na twarzy?

Agnieszka chce mi pożyczyć ołówek. Udaję, że nie słyszę. Długopis z mojego piórnika pożyczam w końcu od Maćka, ale i tak nauczycielka wpisuje mi uwagę do dzienniczka.

## Godność

Wieczorem leczę *Aniołki Charliego*, film zapowiada moja ulubiona prezenterka, mama Grażyny Torbickiej. Ile lat ma Grażyna Torbicka, gdy ja chodzę do IVa? Dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia dwa.

Babcia Rika zgadza się i mogę u nich oglądać *Aniołki Charliego* na kolorowym rubinie. Mam tylko przystawić sobie taboret z kuchni, babcia otwiera szerzej drzwi i już mogę siadać. Z korytarza też dobrze widać, babcia robi głośniej, żebym słyszała. Dziadek mruczy z niezadowoleniem, ale nic nie mówi. Do ich pokoju stołowego na co dzień wchodzić nie mogę.

Trzask, prask, drzwi się otwierają po przeciwnej stronie korytarza.

– Co ty tutaj robisz?! – to mama.

Zabrania dostawiać taboret, to kara za uwagę w dzienniczku i za Baškę. I w ogóle mam mieć godność. Głośno zamyka drzwi od dziadkowych drzwi stołowych i nagle kopie taboret. Nie poznaję mamy. Nietaty znów nie ma, wyjechał do Hamburga – zarabiać. Tęskni. Znaczy, mama tęskni.

W nocy chcę do Gdańska, do babci. Śni mi się, że umiem latać. Gdańsk jest małą wioską pod Szczecinem. Widzę go – Gdańsk, babcię i ciocię Lalę też widzę. Wszędzie jest piasek, słońce, morze, muszle, tyle muszli, już zaraz tam do nich doleczę, ale niespodziewanie zrywa się silny wiatr, a ja mam za małe skrzydła. Marcin zdmuchuje świece, tort. Rika śpiewa. Miłosz tańczy. Wszyscy modlą się do paczki. Płaczę.

## *Lekcja historii*

Lekcja historii. W podręczniku do czwartej klasy wiele historycznych zdarzeń w formie przypowieści i sporo o drugiej wojnie światowej.

Pytam nową, bardzo miłą nauczycielkę (starej nie ma, biła po twarzy), dlaczego Niemcy zabijali nas, Polaków, i polskich Żydów (czyli też Polaków, wiadomo) i skąd nazwa dla Żydów – Żyd? Od czasownika rzygać?

Pani długo na mnie patrzy. Mówi, żebym przysłała po lekcjach do pokoju nauczycielskiego, to porozmawiamy. I co mam na twarzy? Siniak?

Baśki nadal nie ma, a jak ją zabiłam?

Moja wina, moja wina,  
moja bardzo, bardzo  
ciężka wina...

*Redaktorka: nie ciężka, tylko wielka.*

No to jeszcze raz.

*Nie, nie, raz wystarczy.*

## Czołgi

Czołgi przetaczają się powoli ulicą Żeromskiego.

Mamy nie ma. Jest razem z panią Szczypiorską na jakimś zebraniu. Marcin płacze za mamą inaczej niż zawsze. Telefony nie działają, a nietata wrócił niedawno z Hamburga i znów pracuje, tak jak wcześniej, w stoczni Waryńskiego.

– Zachciało mu się wracać! – Babcia jest zła i powtarza swoje ulubione powiedzenie: – kurrde felek!

Dlaczego felek? Nikt prócz niej nie mówi „felek”. Może to z jakiegoś kawału?

Jej ukochany syn pracuje w stoczni, miejscu, którego nienawidzi, odkąd Karol po raz pierwszy pokazał jej dźwig, statki i siebie marynarza. Dziadek, już nie marynarz, nerwowo podkręca węża. Miłosz nie wie, czy płakać, czy się śmiać. Jest u nas, bo jego rodzice pracują w urzędzie, który tej nocy czynny jest przez całą dobę.

Okna pokoju dziadków wychodzą na ulicę. Zebrała się u nas prawie cała kamienica, jest nawet Szapiłłowa. Pomimo to cicho jest w stołowym u dziadków. Nie mam pojęcia, dlaczego wszyscy przyszli do nas patrzeć przez te okna. U nich przecież też są okna i widać z nich czołgi.

Jutro byłaby szkoła i dwie matematyki z rzędu, ale szkoły jutro nie będzie, matematyko, bye, bye! Miłosz też ma następnego dnia matematykę, więc odbywamy taniec indiański.

Kiedy pierwszy czołg jedzie, jest strasznie, ale kiedy pięćdziesiąty dudni i kryształą za szybką dzwonią tak samo jak przy pierwszym, to najgorętsze emocje opadają i Szapiłłowa idzie do domu. Reszta sąsiadów liczy, który to już czołg, i szepcze, że na mieście aresztują i strzelają. Przerwywamy radosny taniec. Co z mamą?

Miłosz płacze jeszcze głośniej za mamą niż Marcin, ja też chyba zaraz się rozplączę. Dziadek wypycha nas z pokoju, więc idziemy z Miłoszem do kuchni. Kuchnia jest kremowa od dymu carmenów i swojska. Dziadek drepcze za nami.

– To posłuchamy sobie, co nowego – mówi dziadek i w kuchenną ciszę wdziera się po chwili chrapliwy szum fal radiowych. Dziadek będzie słuchał tej swojej audycji, co ją zakłócają. Odruchowo spoglądam w okno i na drzwi, czy zamknięte.

Babcia pozbyła się ostatniego namolnego sąsiada i wpada do kuchni.

– Wyłącz to! – Wali pięścią w stół.

Jesteśmy z Miłoszem pod wrażeniem, bo babcia wykrzykuje to wszystko bez niemieckiego akcentu. No i wali pięścią, a babcie nie wałą. Dziadek wstaje, podkręca węża i pokornie oddala się w kierunku gabinetu. Babcia idzie do zapłakanego Marcina, usypia go i znów wraca do nas. Wyciąga modlitewnik. Modlimy się, babcia po niemiecku, my po polsku. Tak zastaje nas mama.

– Będzie wojna? – pyta babcia mamę.

– Będzie – odpowiada mama i znużona opada na taboret. – Pani Szczypiorska internowana – dodaje i opiera zmęczoną głowę na dłoniach. Ma połamane paznokcie, pozdrapywany lakier. Nigdy jej takiej nie widziałam.

– *Krieg! Krieg! Krieg!* – Babcia zaczyna wreszcie płakać.



Pierwszy raz widzę, jak płacze.

## Mięsny

Wojny wciąż nie ma, nic nie ma. Szczecin, szara wojenna masa. Snujemy się we mgle. Babcia Rika jest chora. Nikt nie wie za bardzo, co jej jest. Leży od dłuższego czasu na boku i do nikogo się nie odzywa. Jeszcze jej w takim stanie nie widziałam, a mieszkam z nią tutaj już jakiś czas i przez ten czas urodził mi się nawet brat. Babcia nigdy nie chorowała, nigdy nie narzekała, że ją coś boli, a teraz leży.

– Chora na wojnę – rzuca obojętnie Szapiłłowa, mijając mnie na schodach.

Jest coś zatrważającego w leżącej, wielkiej jak wieloryb babci. Długo się zastanawiam. Tego dnia zaczynam pisać pamiętnik:

Czy babcia umrze?

\* \* \*

Po szkole, do której wciąż jeszcze nie jeździmy tramwajem, tylko chodzimy na piechotę, mama chce kupić coś po znajomości w sklepie mięsny dla milicjantów. Kartki na mięso skończyły się nam już na początku miesiąca, bo do naszego mięsnego na Pogodnie rzucili wędliny. W kolejce po mortadelę i szynkę stał nawet dziadek Karol. Chciał się wymigać, ale mama powiedziała, żeby nie pajacował. Oczywiście, z szynką to była plotka. Szynki już pewnie nigdy nie będzie. Dziadek, odkąd babcia się rozchorowała, spotulniał i chodzi w kolejki. Mama czasem każe mu brać Marcina ze sobą, bo niby wtedy łatwiej się przepchać.

Kartek nie ma, mortadela już dawno pożarta, a w tym sklepie mięsny dla milicjantów mama Miłosza ma znajomości i za kilka metrów materiału na sukienkę można tam załatwić schab. Materiał przywiozła moja prawdziwa babcia z Gdańska. Kupiła go ciocia Lala w NRD za złoto, które w Leningradzie wyhandlowała za lokówki do włosów.

Stoimy z mamą za wysokim dębem i obserwujemy sklep mięsny. To znaczy mama obserwuje przez lornetkę. Jest coraz bardziej na ten schab napalona. Patrzy zawistnie na wojskowe i milicyjne żony, które taszczą wypchane siaty. Ten sklep jest niedaleko naszej szkoły, jak nas ktoś zobaczy, padnę ze wstydu, ciągnę mamę za pasek od torebki, którą kupiła w komisie.

*Ta czerwona? Upewnia się mama. To nie była torebka z komis, tylko z pewexu.*

– Boję się – mówię szeptem, bo mamie od kilku dni śni się ten schab po nocach i kto wie, co komu z takich snów przyjdzie do głowy.

Wreszcie pytam ją, czy pani Szczypiorska weszłaby do milicyjnego sklepu.

– Jak jej spojrzysz w oczy?

To pytanie ostatecznie zamyka kwestię schabu. Mama chowa lornetkę do torebki z komis.

*Z pewexu!*

Ruszamy do domu. Przez kolejnych kilka dni jemy na obiad cukinię obsmażaną w bułce tartej. Marcin wymiotuje. Ja wypluwam obiad do sedesu, ale to nic nowego, ja w ogóle nie lubię

jeść, szczególnie obiadów. Jest tylko jeden obiad, który mi smakuje – w Jaskółce. Jeszcze o Jaskółce będzie, ale nie teraz.

*O, tam były obiady, rozmarza się mama.*

Materiał pozostaje przy nas, mama szyje mi z niego u krawcowej sukienkę na lato, resztę materiału sprzedaje. Za otrzymane pieniądze zakupi w pewexie: czekoladę Milkę, kawę i dwa koniaki. Za kawę i koniak załatwia wreszcie wymarzony schab. Czekoladę Milkę zjadam ja i nigdy jej smaku nie zapomnę. Będzie się ciągnąć za mną latami do obrzydzenia i uwielbienia na przemian.

Poza tym robi się jesiennie, sweter drapie jak zwykle, buty mam o numer większe i brzydsze niż te z obuwniczego przy rynku i na wagary idę w przymałych adidasach, tych, które tata przywiózł mi rok temu z Czechosłowacji. Nie widzieliśmy się z tatą w moje urodziny ani na święta. Nie, nie tęsknię aż tak bardzo. Czasem tylko bardzo chciałabym odzyskać mój stary wózek dla lalek.

Któregoś dnia mama przywozi mi ze starego mieszkania trochę starych zabawek. Mebelki z domku dla lalek, książki, no i rudą lalkę Nataszę, którą prawdziwa babcia przywiozła mi kiedyś z Leningradu. Wącham ją. Pachnie węglem i wilgocią ze starego mieszkania.

## Wagary

Pierwszy raz w życiu idziemy na wagary. Poza Maćkiem Pasiakiem idą wszyscy, nawet Maja. Bolą mnie nogi, bo idę w tych za małych adidasach, ale przecież nie włożę na wagary tych strasznych kozaków. Wagary odbywamy bardzo uroczyście na prawie największym cmentarzu Europy. Nikt nic nie pije, nikt nic nie pali. Napijemy się i zapalimy carmeny dopiero na wycieczce klasowej w Kołobrzegu, ale to będzie za jakieś pół roku. Gdzieś pod cmentarnym mostem, na wielkiej cmentarnej polanie recytujemy *Świteziankę*, powtarzamy nawet zasady ortografii. Z zasad ortografii pani przepytuje codziennie, a *Świtezianka* była zadana na ten dzień właśnie. Zaczynam się podczas recytacji raz, ale zbieram oklaski większe od Mai. Odczuwam szczęście. Ktoś rzuca, że jesteśmy solidarni. Ktoś mówi, żeby nie mówić tak głośno. Ktoś pokazuje na most. Po moście przejeżdża samochód wojskowy. Chłopcy krzyczą: Solidarność! Solidarność! Nikt nie zwraca na nas uwagi, ale i tak idziemy do domu pokrzepieni własną odwagą.

Po tych wagarach wychowawczynie wzywa nas i naszych rodziców (matkę i ojca!) do szkoły. Zebranie musi się odbyć w sali gimnastycznej, bo jest nas w sumie prawie setka. Wychowawczynie załatwiła nawet nagłośnienie i mikrofon. Wszystko razem, wraz z wzywaniem świadków, kto zainicjował, kto podjudzał, kto namawiał, trwa tak długo, że siadamy z Agnieszką z tyłu i odrabiamy lekcje na cały tydzień. Przeszkadza nam tylko trochę dyrektor Babiński.

– Wyrzutki klasowe! – krzyczy co chwile, aż w końcu wychowawczynie mu dziękują i mówi, żeby sobie poszedł.

*Babiński był wtedy pijany, zauważa Marian.*

Wszyscy inicjowali, wszyscy chcieli i każdy każdego namawiał.

– No dobrze, moi drodzy – syczy wychowawczynie.

O Solidarności nie wspominamy ani słowem, a że recytowaliśmy *Świteziankę* – i tak nam nikt nie uwierzy. Za karę mamy dodatkowe lekcje, jakieś prace społeczne, dyżury w szatni u pierwszaków i na przerwach, szorowanie podłogi na korytarzu itd. Jakoś w tym czasie umiera Breźniew. Chowamy się w kiblu, który szorujemy z Marianem i Patrykiem, i śmiejemy się głośno. Co chwila zerkamy, czy nikt nie słyszy, i mówimy psss pssss psss, ale nie możemy się uspokoić i dosłownie wyjemy ze śmiechu. Co się uspokoiimy, Marian mówi: Breźniew, i znów mamy atak. Z tego kibla przegania nas w końcu moja mama, która akurat na tym piętrze ma lekcje z pierwszakami.

Potem chcę zapytać Patryka i Mariana, czemu się tak śmieli i czy w ogóle wypada im się tak śmiać. W końcu tata Patryka jest milicjantem, a tata Mariana był wojskowym, ale już nie żyje. O tym, że nie żyje, dowiaduję się na Wałach Chrobrego w całodobowej knajpie, o tym, że Patryka ojciec się zastrzelił, też tam.

Stuk-puk trącamy się kielichami.

– Ich, kurwa, zdrowie! – mówi Marian.

– Ich! – wtóruję.

– Ich! – mówi Patryk. – Wódka, gdzie jest wódka?

\* \* \*

– *Ich* to po niemiecku ja.

– Ja? Co ja?

– No, *ja* to tak.

– Aha.

– A *Tag* to dzień. Jak chcesz, to możemy powtórzyć – babcia dźwiga się z poduszek.

– E, nie, dziękuję – zaczynam ostrożnie, nie chcę jej sprawiać przykrości. – Nie mam zdolności do języków.

– Ale po rosyjsku mówisz.

– A bo to do szkoły się uczę.

– Nawet listy piszesz!

Położyłam list do Nadieždy Abramowny Wolskiej, uczennicy z Leningradu, przydzielonej mi przez nauczycielkę od języka rosyjskiego, nakleiłam znaczek, zakleiłam kopertę i jak zwykle zapomniałam go wysłać. Widzę, że skoro babcia o liście wie, to była już w kuchni.

– Ja to się będę uczyła angielskiego! – mówię z przekonaniem.

– Zobaczymy – mruczy babcia – zobaczymy. – A jakbyś chciała wiedzieć, to mięsny po niemiecku jest *Fleischerei*.

## *Dziewczynki na Pogodnie*

Nietata co chwila łapie się za kieszeń, w której znajduje się foliowa torebka, a w niej owoc dwóch lat pracy w Hamburgu. Kupił już magnetofon firmy Kasprzak, nową pralkę i zaraz kupi od taksówkarza na Pogodnie samochód.

Idziemy sobie zimową porą przez willową dzielnicę, która przypomina babci Rice Hamburg, mijamy księdza, niech będzie pochwalony, sąsiada, dzień dobry, siostrę zakonną, pochwalony, w imię Ojca i Syna, a na koniec grubą dziewczynkę. Gruba dziewczynka próbuje zamknąć furtkę. W jednej ręce trzyma wielką bułkę, a w drugiej śmierdzącą parówkę. Nienawidzę parówek. Ich zapach powoduje, że brakuje mi powietrza, a w głowie robi się jakaś wielka dziura. Oczywiście nikt w to nie wierzy i muszę jeść parówki, bo zdrowe. Dziewczynka nadal nie może zamknąć furtki, bo ta bułka i parówka, podchodzę, pomagam, ale muszę się potem oprzeć o płot, bo ta parówka śmierdzi najbardziej ze wszystkich parówek na świecie. Dziewczynka dziękuje, po czym oddala się w podskokach. Nietata nie może oderwać od niej wzroku.

– Chciałbyś, żebym tak wyglądała, czy co? – pytam.

Nie musi odpowiadać, jego wzrok mówi sam za siebie. Dziewczynka jest naprawdę gruba, grubsza nawet od najgrubszej dziewczynki w szkole. Najgrubsza dziewczynka na świecie.

Kilka domów dalej dokonujemy transakcji. Taksówkarz ślini grube palce, przelicza forszę. Staram się nie patrzeć na te palce. Po chwili wsiadamy do fiata 126p. Jedziemy. To znaczy, nie jedziemy. Stoimy. Nietata próbuje odpalić silnik. Rzęzi. Bardzo rzęzi. Wreszcie zaskakuje. Mijamy taksówkarza, który patrzy na nas z otwartymi ustami. Jedziemy dość szybko, raz na drugim, raz na pierwszym biegu, częściej na pierwszym.

– Zaciął się skubany! – informuje mnie nietata, cały już spocony.

Pytam, czy nie mógłby mnie wysadzić pod domem.

– Nie potrafię zatrzymać samochodu! – krzyczy.

Jedziemy dalej.

– Ja się boję! – krzyczę.

– Ja też!

Nagle samochód staje. Ufff. Niestety staje na największym skrzyżowaniu w Szczecinie, na torach tramwajowych. Tramwaj głośno dzwoni, trąbi. Cokolwiek robią tramwaje, ten tramwaj to robi.

– Tramwaj!!!!

– Widzę!!!

– Chcę żyć! – wyrywa mi się, i wreszcie ruszamy.

Nie pamiętam, jak wróciliśmy do domu, nie pamiętam nic więcej. Nietata też nie.

Tymczasem Hanka nie może mi tej przejażdżki wybaczyć. Nie odzywa się do mnie przez tydzień.

– Wpadłaś do domu i krzyczałaś: Co tak spokojnie siedzicie, macie kierowcę w domu! I to jakiego!

Nie za bardzo chce mi się w to wierzyć, jakoś w tym czasie dochodzi do mnie, że powoli przestaję nietatę lubić. Ta przejażdżka z nim to ostatnia fajna wspólna sprawa w Szczecinie. Wcześniej lubiłam spędzać z nim czas, ale coś się zmieniło... Coraz częściej prowadzimy wojny, gdy mama tego nie widzi. Nietata ma swoje humory i wtedy lepiej do niego nie podchodzić. Nic takiego nie robi, rzadko krzyczy, ale jest surowy, czasem złośliwy, powie coś tak, że nie potrafię odpowiedzieć. Ma jakieś nieznanne zasady, których nie rozumiem. Cokolwiek zrobię, nie jest zadowolony. Ale o co mi chodzi? W końcu mam wszystko, czego potrzebuję. A poza tym może mi się tylko wydaje i jest tak, jak codziennie mówi mama: Jesteśmy tacy szczęśliwi, jest nam tak dobrze, tak się kochamy!

Obserwuję któregoś dnia dziadka Karola, który otwiera szafkę na buty i mówi do babci Riki, że znów jest w niej bałagan. Kiedyś był porządek w tym domu, teraz już nie. Obawiam się, że dziadek ma na myśli buty moje i mamy. Nietata to wszystko słyszy. Dziadek Karol nie wie, że nietata jeszcze nie wyszedł, myśli, że w domu jest tylko babcia Rika, on i ja. Nietata wypada z pokoju i krzyczy na dziadka, nawet na mnie tak głośno nie krzyczy. Zrzuca wszystkie buty na podłogę. Mówi dziadkowi brzydkie rzeczy. Dziadek milczy. Chyba szkoda mi dziadka.

Wpisuję do pamiętnika:

Nietata jest synem dziadka Karola. Młodszym, silniejszym przeciwnikiem.

\* \* \*

Pod koniec wakacji w Gdańsku na pytanie jakiejś dalekiej ciotki, czy ojczym jest dla mnie dobry, odpowiadam, że mój ojciec (mówię o nim „ojciec”, aby przydać mu wiarygodności) to najlepszy ojciec na świecie, łoży na mnie, w ogóle utrzymuje całą rodzinę, chodzi z nami na spacer, stara się jak może. Chwalę się w myślach, że przechytryłam ciotkę. Wieczorem, po wizycie ciotki, babcia pyta, czy ojciec mnie bije, a jeśli tak, to czemu nie mówię jej o tym, tylko skarżę się cioci. Jestem przerażona, kręci mi się w głowie. Boję się, co się stanie, jak babcia poskarży się mamie i nietata się o tym dowie. Poza tym co ta ciotka opowiada. Ja się tak staram, tak pięknie mówię o naszej rodzinie, a ona kłamie i zmyśla.

– Babciu, co ty mówisz?! Nikt mnie nie bije!

Babcia nie wierzy. Świata nie rozumiem. To jest nauczka dla mnie, żeby nie być nadgorliwym.

– Babciu, jak powiesz coś mamie... – Czuję, że się zaraz rozplaczę.

– Czyli bije cię!

Jak jej to wytłumaczyć? Jak się coś takiego tłumaczy?

– Nie!!!

Pytam babcię, czy ją kiedykolwiek okłamałam, czy okłamałam prawdziwą, rodzoną babcię? Jeśli chce, to mogę nawet przysiąc! Babcia gładzi mnie po głowie. Mocno się przytulamy, najmocniej.

\* \* \*

Po wakacjach. Szczecin.

Awantura. Źle zawiązałam buty Marcinowi, a nietata się spieszy i wszystko go denerwuje. Coś tam mruczę pod nosem, nietata pyta, co powiedziałam.

– Nic!!!

Twierdzi, że najchętniej strzeliłby mnie w pysk.

Zamieram. Nikt tak jeszcze do mnie nie mówił.

*Tego mi nigdy nie zapomnisz.*

Wieczorem przy kolacji rozmowa schodzi na domy starców i jakichś ludzi, którzy chcą oddać tam swych zniedołężniałych rodziców. Przy stole siedzą babcia Rika, mama, nietata i ja.

– Ciebie, jak będę duża, oddam do domu starców – stwierdzam, nie patrząc nietacie w oczy. Już wiem, że nie powinnam się go bać, ale spojrzeć mu odważnie w oczy jeszcze nie umiem.

– I to nie jest żart! – kończę.

Mama jest przestraszona, wygląda, jakby się mnie wstydziła, chciała się schować. Ale ja już wiem, że kto się nietaty boi, ten nie ma szans.

*Jesteś niesprawiedliwa, czy wiesz, że jak zamieszkaliście razem, miał dopiero dwadzieścia cztery lata?, mówi Hanka.*

– To teraz nie zapomnij pozmywać! – mówi nietata.

– Pozmywam, jak odrobię lekcje.

– Teraz!

Waham się:

– Dobrze! – mówię wyzywająco, głośno.

Nietata się śmieje nerwowo.

Domek z kart mojej mamy zaczyna się walić. Biedna. Chce ze mną porozmawiać wieczorem. Boję się tej rozmowy, boję się, że mi powie, że mnie zostawi, odda. Nie wiem, co mówi, nie słucham, mówi, że mnie kocha, a na koniec prosi, żebym przeprosiła nietatę.

Wstaję, przechodzę do pokoju i rzucam do nietaty: przepraszam.

*Nie byłaś łatwa.*

Przychodzi kolejna paczka z Hamburga od ciotki Gerdy. Hanka znów dostała nowe rzeczy do ubrania, mama kupuje mi w komisie sweter, który nie drapie. Przyszło zaproszenie z Niemiec. Nietata wyjeżdża do Hamburga. Zobaczymy się dopiero za dwa lata w Berlinie Zachodnim. Hurra! Hip, hip, hurra! Zapisuję czerwonym flamastrem w pamiętniku:

Spokój.

\* \* \*

Hanka płacze cały dzień, a jej mama płacze razem z nią.

Przyszły do babci Riki, siedzą i płaczą. Hanka twierdzi, że odkąd się pojawiłam, zabrałam jej ukochanego wujka i została sierotą. Tata Hanki umarł dawno temu i wujek, czyli mój nietata, był dla niej jak ojciec. A teraz już nie jest, bo pojawiłam się ja. Według niej mam ojca i nie potrzebuję jej wujka. Powinnam jej tego wujka oddać.

– Weź go sobie – mówię szczerze.

– Jak „weź”?

– Normalnie. Po prostu zabierz.

\* \* \*



Obchodzimy sylwestra w pokoju u dziadka. Strasznie nudno, dorośli poszli na zabawę, a my jak zwykle z dziadkami. Namawiam Miłosza na akcję. Akcja wygląda następująco: Miłosz trzyma Hankę, a ja wstrzykuję jej krople do nosa, których babcia używa na katar sienny. Wypróbowałam je raz i potem przez cały dzień bolał mnie nos i nie rozróżniałam zapachów.

Decyzja jest szybka. Hanka leży, wierzga nogami, ryczy. To znaczy, już nie ryczy, bo Miłosz zatyka jej buzię szmatą, w którą dziadek wyciera pędzle.

– Odgarnij jej włosy! – syczę i wstrzykuję po dwie krople do każdej dziurki. – Hanka przewraca oczami i leży sztywna.

– Chyba umarła – informuje mnie Miłosz.

– Zaraz dojdzie do siebie – odpowiadam, bo też tak leżałam po tych kroplach.

Myślę, że jestem w porządku. Wypróbowałam te krople najpierw na sobie.

Hanka otwiera oczy i patrzy na mnie. Znam ją. Jak tylko wyjmemy jej szmatę z buzi, zacznie wrzeszczeć.

– Jeśli piśniesz słowo, jutro też ci je wstrzyknę – grożę Hance.

Odstawiam krople, wyglądam sukienkę, Miłosz rozwiesza szmatkę, przygląda włosy. Uśmiechamy się do siebie. Następnym razem Hanka już będzie wiedziała, jak się dzielić słodyczami z paczki.

## Lekcja historii numer 2

Jakoś w lutym nudzimy się z Hanką strasznie i przeokropnie. Nie ma co robić. Od kilku dni pada deszcz. Mroczna niedziela, mroczna pogoda, teleranek mroczny. W telewizji przemówienia i piękna polska ziemia, niekończące się zboża, kolorowe żyzne dywany i traktory.

– Wyłącz ten jazgot – mówi mama ze wzrokiem wbitym w paznokcie.

Maluje je jak zwykle na czerwono. Idzie na imieniny do znajomych i będzie tam nocować, bawić się i tańczyć. Też bym chętnie z nią poszła, bo znajomi mieszkają w Dąbiu, na obrzeżach miasta, i hodują w tunelach pomidory. To najlepsi znajomi na świecie. Są z miasta, ale pozamiastowi. Niczego się nie boją, mówią głośno, zawsze mają dużo pieniędzy, bo na Wszystkich Świętych sprzedają chryzantemy pod cmentarzem.

Mama poszła.

Kiedy przestaje na chwilę padać, babcia Rika posyła Hankę i mnie do sklepu, ale w sklepie zastajemy jedynie panią Genię i dwie czerstwe bułki. W kiosku „Panoramy” nie ma i nie będzie.

– Zapalek też nie ma – uprzedza nasze pytanie kioskarka, siostra pani Geni. – Jest „Trybuna Ludu” dla dziadka – mówi, przysypiając.

Odbijamy się od kiosku i wlecemy w stronę domu. Na chwilę zatrzymujemy się jeszcze przed kinem. Bo u nas na Żeromskiego jest kino, tylko że mało kto do niego chodzi. Patrzymy na plakat. Danton. Robespierre. Pszoniak i Depardieu.

– Może pójdziemy? – pytam, bo coś trzeba robić.

– Możemy! – odpowiada Hanka umęczonym głosem.

– Masz forse?

– Nie, ale może babcia ma.

Przyspieszamy kroku i już jesteśmy pod 116, wchodzimy do klatki, mijamy Szapiłową na schodach.

– Chleb był? – pyta.

– Nie było! – odpowiadamy zgodnie.

Zawraca, zamyka drzwi, jakiś kot ucieka, jakiś kot wchodzi.

*Tak nie może być. Skąd ona niby wie, że byliście po chleb? Pyta redaktorka. Aha, już wiem, zauważyła po chwili. Poznaje po reklamówce? Zaprzeczam. Redaktorka, rocznik 85, nie wierzy mi, że w Polsce w latach osiemdziesiątych nie było reklamówek firmowych.*

– Idziemy do kina – oznajmia Hanka.

Babcia coś smaży, z radia leci Chopin.

– Co mówi?

– Do kina idziemy!

– A co grajomy?

– Rewolucję francuską – odpowiadam.

– Tam z rewolucjami! – denerwuje się babcia i leje oszczędnie olej na patelnię. – Nie lubię Francuzów. Nic innego nie leczy?

– Nie leczy – mówi Hanka.

– To idźcie, dziewczynki, idźcie. Tylko najpierw coś zjedzcie.

Po obiedzie babcia wygrzebuje z kryształu pieniądze, które przelicza jak zwykle skrupulatnie, cicho i po niemiecku. Pod koniec wsuwa Hance do kieszeni wymięty banknot i mówi szeptem jak wszystkie kobiety, kiedy okazuje się, że mają więcej pieniędzy, niż mogą.

– No macie tutaj, a reszta na oranżadę!

Moja babcia w Gdańsku też zawsze szepcze cichutko, gdy mowa jest o pieniądzach, i chowa je po szafkach. Jakby ktoś zaraz miał przyjść i je zabrać. Gdańsk i babcia wczesną wiosną są daleko, morze i wakacje też daleko, ale za to w kinie jest oranżada. Oranżady mama pić mi nie pozwala, bo posocznica, zapalenie opon mózgowych itd.... Smak oranżady śni mi się po nocach.

Jesteśmy w kinie pierwsze i wygląda na to, że ostatnie. Sala pusta, duszna. Kurtyna wreszcie się rozsuwa, ale tylko do połowy. Znow się rozsuwa, znow zaszuwa i tak non stop. W końcu się zasunęła, film już leci, będziemy oglądały chyba przy zasłoniętej. Trudno. Co tam! Stukamy się butelkami z Hanką i pijemy oranżadę! W tej samej chwili drzwi się otwierają, do środka wchodzi jakaś pani z panem, światło pada na nich. No nie, to moja pani od historii. Zastanawiam się, czy się schować, bo film jest od lat szesnastu. Za późno. Zerkają w naszą stronę. Pani od historii rozpoznaje we mnie swoją uczennicę i przesyła mi promienny uśmiech, który zaraz jednak z jej twarzy znika, bo jest głos, jest film, tylko nic nie widać. Po krótkiej, lecz głośnej wymianie zdań z bileterką pojawia się szatniarz i wali w kurtynę szczotką. Unosi się tuman kurzu, cała reszta bez zmian. Robespierre (Pszoniak) krzyczy, Danton (Depardieu) odkrzykuje, wszystko nadal bez obrazu, szatniarz zawiesza się na kurtynie. Szarpie, walczy, spada i wreszcie coś się rusza. Kurtyna rozjeżdża się na boki. Szatniarz masuje kolano i zwycięsko się kłania. Pani od historii klaszcze, jej towarzysz się śmieje. Po raz pierwszy od miesiący słyszę, że ktoś się śmieje.

Oglądamy.

Umknęło nam ze dwadzieścia minut, ale i tak nie jest najgorzej, udaje nam się zobaczyć mrozące krew w żyłach sceny z gilotyną i pościg. Niewiele z tego rozumiem, ale coś mi mówi, że to jest coś innego niż *Aniołki Charliego*. Wychodzę z sali na sztywnych nogach. Pani od historii podchodzi do mnie, dygam głupkowato. Mówi, że miło jej było widzieć na ambitnym filmie swoją najlepszą uczennicę. Jestem wzruszona i strasznie mi głupio, bo nie za bardzo chyba zasłużyłam.

– To ty się tak dobrze uczysz? – dziwi się Hanka.

Po powrocie do domu opowiadam babci, że film był bardzo dobry.

– A o czym był ten film? – pyta dziadek, odkładając gazetę.

Myślę przez chwilę.

– O wolności – mówię w końcu.

Dziadek unosi brwi zdumiony.

Panie dziadku, nie jestem panną, jestem całkiem dobrą uczennicą z historii! Tak bardzo chciałabym mu to powiedzieć, a nawet wykrzyzczyć.

*Wykrzyzczałaś! Zauważa ponuro Hanka.*

Nie wykrzyzczałam. Wcale a wcale nie byłam odważna. Bałam się dziadka.

\* \* \*

*Przyniosłam ci reklamówkę z pewexu. Znalazłam ją u mojej babci. Widzisz? Były! Mówi*

redaktorka.

\* \* \*

Leżymy w łózkach. Miłosz prosi, żeby opowiedzieć mu bajkę. Śpi znów u nas i mnie zamęcza. Opowiadam mu w końcu historię, nad którą sama się od jakiegoś czasu zastanawiam. Nie wiem, czy mi się przyśniła, czy co, ale wciąż o tym myślę. Moja lalka Natasza tak naprawdę żyje i jest duchem nieszczęśliwej kobiety, która mieszkała kiedyś w tym mieszkaniu.

– W którym? – Miłosz aż siada na łóżku.

– Tutaj. U babci Riki.

– Kiedy?

– Przed wojną.

Miłosz milczy przez dłuższą chwilę. W końcu pyta, czy to prawda, czy bajka. Wzruszam ramionami. Sama nie wiem.

– A babcia wie?

– Nie wiem.

Lalka Natasza siedzi na fotelu i patrzy na nas nieruchomym szklanym wzrokiem. Jest ruda, potrafi kiwać głową i czasem mówi „mama”. Nie zawsze mówi, bo się psuje i nawet najnowsze baterie nie pomogą. Wstaję i przenoszę Nataszę do pokoju obok.

– Opowiedz mi coś fajnego, najlepiej nieprawdziwego – prosi Miłosz.

Wzdycham i opowiadam mu przepiękną bajkę o mądrych i dobrych ufoludkach, których źli Ziemianie zamykają w klatkach i pokazują potem w obwoźnym zoo. Bóg lituje się nad ufoludkami i pomaga wydostać się z klatek. Ufoludki zamykają w klatkach Ziemian. Rozczarowany ich postępowaniem Bóg opuszcza planetę i zostawia wszystkich samym sobie. Dzieje się to na odległej planecie Mandragora. Końca już nie pamiętam. Usnęłam, ale Miłosz opowiadał mi potem, że koniec tej historii był tak straszny, że nie mógł całą noc zasnąć i bardzo prosi, żebym nie opowiadała mu już bajek.

## Rika

Na ostatnie piętro Żeromskiego 116 wprowadza się starsze małżeństwo. Szapiłłowa mówi, że sąsiadka ma pięćdziesiąt lat, a sąsiad ze czterdzieści.

– Starsza jest od niego!

Moja mama też jest starsza od nietaty, ale nie widać, poza tym wyjechał, nie ma go, więc nie ma problemu. Nowi sąsiedzi nie mają wnuków ani dzieci. Szapiłłowa twierdzi, że ci nowi dlatego kupili tu mieszkanie, że nikt ich tu nie zna, a ona, ta sąsiadka, rzuciła starszego męża dla tego nowego, młodszego. Myślę. Zupełnie jak moja mama, tylko że bez mieszkania własnościowego!

– Takie rzeczy się dzieją. Takie rzeczy! – Szapiłłowej brakuje słów.

Nowi sąsiedzi mają ślicznego małego pieska. Czarny, kędzierzawy, mięciutki, jak kuleczka.

– Czy jeszcze urośnie? – pytam.

Hanka głaska pieska. Miłosz też by pogłaskał, ale pierdoła się boi.

– Troszeczkę – odpowiada starsza pani.

– To suczka?

– Tak.

– A jak się nazywa?

– Rika.

– Jak?!

– Rika – powtarza pani. – Rikulka!

Uciekamy.

\* \* \*

– Rika!!! – woła nowa sąsiadka pod kuchennym oknem. – Rika!!! Riczunia, chodź do pańci! Daj mordkę, bo brudna! Daj pupunię, bo się ubrudziła. Daj, daj pani! Pańcia wytrze! Oj, świntuszka z ciebie, świntuszka!

– Musimy babcie nazwać inaczej – oznajmiam podczas tajnej narady w łazience. – Nie może się przecież nazywać jak ten kundel!

– Nie może! – potwierdza Miłosz.

– Ale jak? – pyta Hanka.

Hanka siedzi na sedesie, ja na umywalce, a Miłosz na pralce.

– Co proponujecie? – pytam.

Cisza.

– Myślę, że Biała Rika będzie najlepiej – mówię. – Głosujemy! Kto jest za?

Podliczam głosy.

– Trzy za. Zero przeciw!

Wychodzimy z łazienki.

– Babciu, od dzisiaj nazywasz się Biała Rika! – informujemy babcię.

– A to czemu?

– Bo masz piękne białe włosy! – mówi Miłosz.

Jeszcze będą z tej pierdoły, Miłosza, ludzie.

## Żydzi

– Żyd to nie dlatego, że ktoś wymiotuje – tłumaczy mi pani od historii. – Żyd nie pochodzi od słowa „rzygać”.

– To nie rozumiem, dlaczego kiedyś nie lubiło się Żydów.

– Chodzi o zazdrość i brak tolerancji – pani ścisza głos, rozgląda się. – I o to, że ukrzyżowali Pana Jezusa.

– Kto?

– Żydzi.

– Ale pan Jezus też był Żydem!

– Będziesz starsza, to zrozumiesz.

W klasie IVa świat staje się trudny. Skoro ja wiem, dlaczego nie lubię Baśki, dlaczego szanuję Maję, dlaczego przyjaźnię się z Agnieszką, to dlaczego nauczycielka historii nie wie, czemu ludzie nie lubią Żydów? Czy można tak za nic nie lubić? U nas w szkole i w Polsce w roku 1982 wszyscy Polacy lubią Żydów i obcokrajowców. Przez jakiś czas myślimy w klasie, że Żyd to Polak, a Polak to Żyd, tylko trochę inny, trochę tak jak góral albo Ślązak.

Postanawiamy z Agnieszką zostać Żydówkami.

W telewizji leci *Czterdziestolatek*. Irena Kwiatkowska dzwoni do drzwi Karwowskich, dźwigając maszynę do szycia. Oświadcza, że to „domokrężne szycie spodni z materiałów powierzonych”. Karwowski z turbanem na głowie leczy włosy, czeka, aż urosną pod turbanem. Ma czterdzieści lat i mu wypadły. Liczę... Czterdzieści lat będę miała długo, bardzo długo po roku 2000. Może do tego czasu zrozumiem, o co chodzi z Żydami. Następnego dnia Agnieszka i ja oświadczamy Patrykowi i Marianowi, że pochodzimy z rodzin żydowskich.

– Chciałoby się – mówi Patryk, ale patrzy trochę zazdrośnie.

– Żyda już nie ma ani jednego – dodaje Marian. – Wyginęli! A wy nie kłamcie!

Maja podchodzi do nas i tłumaczy, że w Ameryce są i ona ma ciocię Żydówkę. Patrzymy na nią z niekłamanym podziwem. A Baśka mówi, że zaraz pójdzie do pani i jak się wstydzimy być Polakami, to mamy sobie wyjechać z Polski.

– A ty jesteś Niemra fałszywa – pokazuje na mnie palcem.

Mijam ją wzgardliwie, Agnieszka także. Maja tłumaczy tym, którzy chcą słuchać, że bycie Polakiem to zaszczyt. A bycie Żydem to już w ogóle.

Agnieszka opowiada następnego dnia w szkole, że jest nadzieja, że ona naprawdę jest Żydówką. Podobno u nich w domu jakaś ciotka, Żydówka, musiała w 1968 roku wyjechać z Polski. Nie odzywam się do Agnieszki, jestem zazdrosna. Cierpię.

*Dziecko, czy ty wiesz, że napisałaś kiedyś list do Świętego Mikołaja z prośbą, aby sprawił, żebyś została Żydówką? Ja nawet gdzieś ten list chyba mam. Obiecałaś Mikołajowi, że jak ci zmieni narodowość, to ty pójdiesz z pielgrzymką do Częstochowy. Znaleźć ci ten list? Pyta mama.*

W roku 1982 na lekcji historii Agnieszka pyta, co było w roku 1968 w Polsce, pan od WF-u,

który ma z nami zastępstwo, mówi, że to był rok jak każdy inny. Pani od historii nie ma i na razie nie będzie. Podobno chora, ale mama mówi, że pani od historii, tak jak pani Szczypińska, tak szybko nie wróci.



## *Nieprzytomna dziewczynka*

Na polskim wpada do klasy Baśka. Płacze jak głupia jakaś i pani nie może jej uspokoić. W końcu krzyczy na nią, wali linijką w biurko, aż spadają zeszyty, ale nic to nie pomaga. Baśka dalej się jąka. Patrzę na nią zaryczaną i z gilami w nosie. Jeny, co za niedojda! Następnym razem, jak będzie chciała się bić, to na nią nakrzyczę. W końcu pani prowadzi ją do dyrektora, a na koniec do szkolnej pedagog. Z tą pedagog to jest dłuższa historia, ale o tym później, bo mi się pomiesza i nic nie opowiem o Baśce.

Oficjalna wersja brzmi tak: na naszym piętrze znaleziono w ubikacji szkolnej nieprzytomną dziewczynkę. Znalazła ją właśnie Baśka. Myślała, że ta dziewczynka nie żyje albo coś, i doznała szoku. Tak wytłumaczyła nam to pani na lekcji wychowawczej.

Wersja nieoficjalna brzmi tak: Baśka zobaczyła w ubikacji, jak obcy pan w czarnym płaszczu kładzie się na dziewczynce. Baśka ze strachu zaczyna krzyczeć i wtedy ten pan spogląda na nią, i co dalej, Baśka już nie wie, bo ucieka, ale przysięga, że ten pan ją gonił. No i jeszcze coś – ten pan to nie pan, lecz szatan.

Wersja uzupełniająca brzmi tak, że ta, nad którą się facet pochylał, to dziewczynka z równoległej klasy. Ta dziewczynka jest trochę inna, powolna, słabo się uczy i w ogóle, jak widać, pechowa. Co prawda żyje i dochodzi do zdrowia, nic poważnego się jej nie stało, ale na razie do naszej szkoły nie wróci.

Wieczorem podsłuchuję mamę. Siedzi w kuchni i szepce coś do telefonu.

– Zgwałcił ją bydlak i uciekł – mówi.

Ktoś po drugiej stronie aparatu mówi coś szybko, oczywiście, nie wiem co, bo to głos w słuchawce i słyszy go tylko mama.

– Milicja mówi, żeby się nie martwić i że go namierzą.

Znów w słuchawce jest głos, tym razem mama jednak jakoś prosto siada na taborecie. Jestem już niemal pewna, że rozmawia z babcią z Gdańska.

– Nie martw się, Dagmara jest bezpieczna – mówi do słuchawki.

Rano, wysiadając z tramwaju, zastanawiam się, czy lepiej się spóźnić i pójść naokoło, czy lecieć na skróty przez bramy od ulicy Krzywoustego. Przez bramy jest szybciej. Cztery bramy, cztery podwórka, potem przez płot, przez boisko i już jest się w szkole. Nie mogę się zdecydować i trochę się boję. Co zrobić? Czy lepiej zarobić uwagę od Babińskiego za spóźnienie, czy spotkać Zorro? Myślę przez moment o facecie, który wystaje w bramie, nosi długi płaszcz i zawsze, gdy widzi jakąś dziewczynkę, to ten płaszcz zarzuca jak Zorro. Mówi, że sprzedaje zegarki, i pyta, czy nie chciałybyśmy sobie popatrzeć, bo ma taki jeden na wisiorku. Nigdy nikomu jeszcze nic nie zrobił, tylko pokazuje to, co tam ma pod płaszczem. Przebiegając, zawsze mocno zamykamy oczy. Maja mówi, że taki ktoś to ekshibi... ekshibico... ekshibicjonista.

Dzisiaj nie stał.

## *Pedagog*

Na drzwiach przez wiele lat wisi wizytówka: mgr Beata Woźniak. Pani magister Woźniakowa jest wysoką, grubą i silną kobietą. Ma duże czerwone ręce, podkrążone oczy i zawsze chodzi w tej samej czarnej sukience. Boimy się jej rąk i rozmów z nią, bo wali linijką gdzie popadnie. Czasem rzuca kluczami. W nas. Mówimy na nią Dzika. Codziennie zmienia kołnierzyki przy sukience. Może myśli, że nikt nie pozna, że chodzi wciąż w tej samej sukience?

Któregoś dnia była bardzo zdenerwowana, złapała na korytarzu jakąś dziewczynkę za warkocze i rzuciła nią o ścianę. Potem jeszcze pracowała przez tydzień i dopiero jak mama dziewczynki zrobiła awanturę, to dyrektor Babiński dał Dzikiej urlop. I potem długo, długo nie było w naszej szkole pedagoga. Dyrektor Babiński umiał dobrze gospodarować i nie wydawał pieniędzy na darmo.

– Pedagog jest? – rozkładał ręce. – Jest! A że na urlopie...

*Boże, co to był za złodziej, mówi Marian.*

## *Nie szarp*

– Nie szarp mnie – mama wyrywa rękę i kładzie ją z powrotem na wózku.

Mam już prawie jedenaście lat, no, dziesięć i pół, to może rzeczywiście nie wypada, żebym trzymała mamę za rękę. Jedenaście lat – to właściwie człowiek jest dorosły. Już się więcej nie powieszę. Wieszają się tylko dzieci. Boli mnie żołądek, ściska mnie tak jakoś mocno, a potem kłuje gdzieś w mostku i już wiem, że jestem o rok starsza.

– Zawsze jak tak kłuje, oddychaj głęboko. Boli, bo rośniesz – mówi z uśmiechem dziadek Antoni z Gdańska. – Albo zaciskaj mocno, bardzo mocno oczy. Poprawi się krążenie i zaraz zrobi ci się lepiej.

Mocno zaciskam oczy, trochę przechodzi.

– No bo jak się tak wieszasz, to ciągniesz. Jesteś już za ciężka – dodaje mama łagodniej i poprawia szelki Marcinowi, który skacze w wózku jak małpka. Szelki się niebezpiecznie napinają. Czapka spada, jeszcze chwila i Marcin wypadnie z wózka.

– On już jest za duży na ten wózek – stwierdzam, podnosząc czapkę.

– Nową, większą spacerówkę trzeba by mu kupić – potwierdza mama.

– Może tata mu kupi – dodaję, chociaż Marcinowi nie jest potrzebna żadna nowa większa spacerówka, ale ruch. Powinien zacząć już normalnie chodzić.

– Tata? – mama się cieszy, że mówię o nietacie „tata”.

Patrzę na Marcina i dodaję:

– Jego tata – uspokajam mamę.

Mijamy kamienicę, w której mieszka babcia Mariana. Okna zasłonięte. Jest dopiero druga, świeci słońce, czemu te okna zasłonięte? Środek maja, a tak gorąco. Lato na wiosnę. Słońce grzeje mocno, ale firany zaciągnięte. Nagle pojawia się wspomnienie: drożdżówka, zimne mleko, słońce i uśmiech babci Mariana. Czuję niepokój. W tej samej chwili trzaskają drzwi bramy wejściowej i widzę w nich Mariana i jego mamę. Mama na czarno, Marian w garniturze, jakby szedł do komunii. Znikają za skrzypiącą bramą. My z mamą i z Marcinem w zbyt małym wózku idziemy dalej.

– Majowe słońce opala najbardziej, wystawiaj buzię do słońca, dziecko! Jesteś taka blada!

Mama jest bardzo piękna i już opalona. Chodzi na spacer z Marcinem, to się opaliła. Ubrała się w białą sukienkę, którą kupiła od znajomej z paczki. Tak to się nazywa: z paczki. Paczki przychodzą z Ameryki i można kupować, ja też mam parę rzeczy z paczki. Wszyscy się za mamą oglądają. Ma kręcone włosy do ramion, czarne jak heban, wielkie okulary na nosie i czerwone buty kaczuszki. W komisie kupiła sobie czerwoną skórzaną torebkę.

*W pewexie!*

Zbierała na nią pół roku. Torba jest skórzana, na długim pasku, i teraz właśnie pasek ciągnie się po ziemi. Nachylam się, próbuję go podnieść, wózek gwałtownie hamuje, pasek zaplątuje się w koła i Marcin o mało nie wypadła z wózka.

– Dagmara! – krzyczy przerażona mama.

Piękna jest ta torba, dobrze, że nie spadła i się nie zdążyła ubrudzić.

Idę teraz kilka kroków za wózkiem. Może wstąpimy do baru Jaskółka, kiedyś tam jadałyśmy z mamą obiady. Kiedyś, to znaczy, jak mama jeszcze była z tatą. Dawno już tam nie jemy i od dawna nie chodzimy tą drogą.

\* \* \*

- A jakbyś chciała wiedzieć, to „nie szarp” po niemiecku jest *zerre nicht an mich*.
- Chyba *zerre nicht an mir*, babciu.
- Widzisz, widzisz, dziecko, co to się z babcią porobiło!

\* \* \*

Moja córka ogląda trzydzieści lat później zdjęcia z komunii.

- Skąd ty miałaś taką piękną sukienkę?
- Z Nowego Jorku.
- Z Nowego Jorku? – Córka aż się krztusi.
- No z paczki.
- Ja też chcę rzeczy z paczki!

\* \* \*

- A paczka po niemiecku to jest *Päckchen*.
- Babciu, to akurat wiem.

## Guma

Lubię grać w gumę.

W szkole skaczemy na przerwie jak wariatki. Po szkole szybko na podwórko i znów gramy. Pachnie beton, trawa, chińskie tenisówki, wszystko pachnie skakaniem, latem. Zawijam nogi w gumę. Guma jest wysoko, pod pachy, może przeskoczę, chyba przeskoczę. Chyba przeskoczę!

Budzę się z krzykiem. Niewiele brakuje, a spadłabym z piętrowego łóżka. Gram w gumę nawet we śnie. Jestem spocona, cała mokra. Nie, to niemożliwe, sprawdzam, na szczęście nic się nie stało, nie posikałam się.

Mała lampka na biurku pali się spokojnie jak gdyby nigdy nic, jak gdyby tu się przed chwilą, jakby...

Zerkam na dół. Marcin śpi. Obłożyłam poduszkami jego łóżko na wypadek, gdyby spadł, ale śpi jak kamień. Nie obudził się, oddycha głęboko i uśmiecha się przez sen. Boli mnie głowa, ostatnio wciąż boli mnie w nocy głowa. Leżę z szeroko otwartymi oczami i modlę się, żeby Matka Boska mi pomogła, żeby ten sen z gumą się skończył. Zawsze jak mi się śni, przez kilka kolejnych dni czuję na nogach gumę do skakania. Czasem, idąc, muszę się nagle zatrzymać i ją ściągnąć, a jak już dotknę jej rękoma, przyczepia się do rąk i jestem cała w tej gumie. Staję się gumą, jestem gumą. Guma-pajęczyna. Ostatnio stałam na korytarzu szkolnym i starałam się ściągnąć gumę z nóg, ale oplotła mi wtedy ręce, szyję. Nikomu nie mogę o tym powiedzieć. I to nie jest sen. Na pewno jestem na coś chora.

\* \* \*

Czytam jej to.

– Nic nigdy nie mówiłaś. Czemu nigdy nic nie mówiłaś?

Czytam im to.

– O Jezus. Dziecko.

– Napijmy się piwa, tato.

– Ja bym się napił szczecińskiego.

– A mnie obojętnie.

– To wam przyniosę – mówi nietato.

\* \* \*

Po szkole zapominam o wszystkim, bo jeżdżę na rowerze, są wyścigi na podwórku. Zajmuję drugie miejsce, a potem idę grać w gumę. Zapominam, że nie powinnam.

Znów sen.

Znów boli mnie głowa. Modlę się do Matki Boskiej, której nie lubię, bo zawsze patrzy w bok i jest zimna, obca. Wszystko już robiłam, żeby ją polubić, ale nie da rady. Na spowiedzi tego księdzu nie powiem, jest taki sympatyczny i bardzo go lubię. Byłoby mu przykro. Pójdę do

innego księdza, on nie słyszy na lewe ucho i czasem podczas spowiedzi przysypia, więc powiem szybko i nie za głośno, tak będzie uczciwiej. A skoro jest głuchy, to opowiem mu o wszystkim, o gumie, o tacie, no w ogóle opowiem mu trochę o sobie. Bo jak nie słyszy na to lewe ucho, będzie to rozmowa nie z księdzem, ale z Bogiem.

Usłyszał.

Mama ma przyjść po religii na rozmowę. Bardzo płacę i proszę, żeby nic mamie nie mówił, a on mi na to, że nie o to chodzi. Mama ma przyjść, i koniec. Poprosił, żebym się uspokoiła. Łatwo powiedzieć. Opuścił konfesjonał i wyszliśmy na zewnątrz. Taka kolejka do spowiedzi, ja zaryczana, ludzie pomyślą, że zrobiłam coś strasznego, bo to jest coś strasznego, kiedy ksiądz wychodzi z grzesznicą z konfesjonału...

Stoimy przed kościołem. Ksiądz gładzi mnie po głowie, wyciąga z sutanny kawałek czekolady i częstuje nią.

Wracam do domu okrężną drogą. Muszę się uspokoić.

\* \* \*

Babcia Mariana zmarła. Marian ma czerwone oczy. Coś muszę mu powiedzieć, ale nie wiem co. Podchodzę do niego, patrzy na mnie drwiąco.

– Eeee. Przykro mi – dukam, najchętniej zapadłabym się pod ziemię, nikt nigdy mi nie umarł, nie mam doświadczenia. Zapadłabym się więc pod ziemię, ale szkolny wypastowany parkiet jest gładki, śliski i trochę starty, tak na zawołanie się nie otworzy.

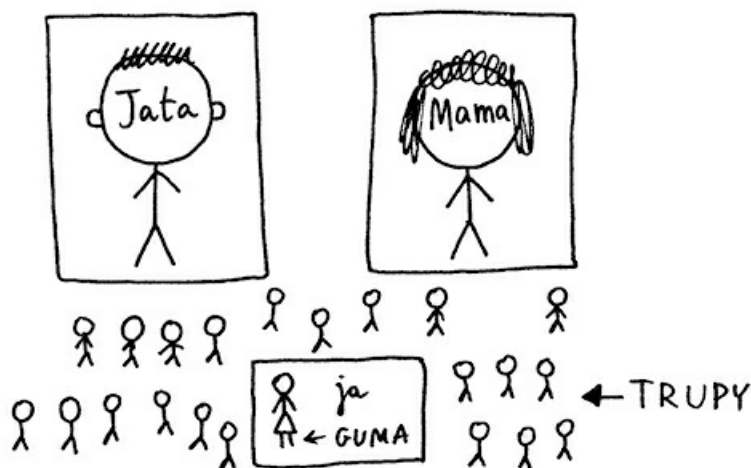
– Czego? – Patryk wyłania się jak spod ziemi, staje obok Mariana i patrzy na mnie podejrzliwie.

Marian unosi dłoń w uspokajającym geście niczym syn wodza [Inczu-czuny](#). Kiwa nieznacznie głową, że przyjął kondolencje. Odchodzi.

Baśka chce się znów bić. Krzyczę na nią. Ucieka.

## Trupy

Przez cały dzień lekliwie odwracam się za siebie. Wszędzie kościotrupy. Udają przede mną, że żyją, jedzą, uczą się, jadą tramwajem, sprzedają drożdżówkę, stoją w kolejce. A naprawdę jestem im potrzebna do eksperymentów. Tylko ja jedna żyję, reszta to trupy. Ale może normalność to właśnie ta trupowatość, a wyrzutkiem i odmieńcem jestem ja?



Zaplątałam się w tym śnie, może zwariowałam? Najpewniej nie jestem normalna, ten sen to potwierdza. Tym razem jest o trupach. Innym razem będzie o gumie. O gumie opowiem tacie kiedy indziej. Nie, o gumie nie. Bo ta guma jest straszniejsza od trupów.

- Prawdziwe trupy? – upewnia się tata.
- Tak.
- To nic takiego. Mnie się też kiedyś śniły.
- Naprawdę?
- Naprawdę.

Po rozmowie z tatą sen znika. Już nigdy się więcej nie pojawi.

*Nie bądź taka pewna, Miłosz przerywa pilowane paznokci. Do mnie sen o UFO wrócił po latach.*

## *Kulwa!*

Mama wróci od księdza z paczką pod pachą. Pogłaska mnie po głowie i przez chwilę będzie patrzyła na mnie tym swoim dziwnym wzrokiem. Nie lubię, kiedy tak patrzy. Chciałaby mnie przytulić, ale mnie niełatwo przytulić. Nie potrafię się do mamy przytulać, całować jej, razem z nią się wygłupiać. Zresztą nie muszę, bo mama też nie potrafi. Nie przytulamy się. Szkoda czasu.

Z ciotką Lalą tak, z babcią z Gdańska też czasem, ale z mamą jest inaczej. Zawsze tak ładnie pachnie, ma tyle pierścionków, bransoletek i jest za ładna na mamę. Poza tym można by ją ubrudzić, pomazać, rozczochrać. A kiedy była w ciąży, też nieostroźnie byłoby się przytulać, bo duży brzuch i taka słaba. A kto się opiekuje, ten nie ma czasu na przytulania, musi zupy gotować, odkurzać, sprawdzić, czy Marcinowi ząb idzie, dotknąć mojego czoła, czy gorączki nie ma, bo ta posocznica, angina.

– Lekcje odrobiłaś? – pyta i unosi się z kolan, bo jakby trochę przykucnęła, może nawet wyciągnęła ku mnie ręce, ale Marcin zaczął płakać i trzeba iść do niego.

Czuję się winna, że mama musiała pójść do kościoła i rozmawiać z księdzem. Z nauczycielem, z wychowawcą jeszcze okay, ale z księdzem? Jestem głupia i to wszystko moja wina. Bo co mama winna, że nie lubię Matki Boskiej?

– Wiesz... – zaczyna nagle mama znad gorzowskiej meblościanki. Bo wyciera kurze. – Nie wiem, czy ci to kiedyś mówiłam, ale jesteś dobra dziewczynka.

Nic z tego nie rozumiem. Po wizycie u księdza spodziewałam się czego innego. Nie wiem czego. Czuję się po tej „dobrej dziewczynce” okropnie. Dlaczego mama mówi, że jestem dobra? I co mam teraz zrobić? Powiedzieć na spowiedzi prawdę, że nadal nie lubię Matki Boskiej? Czy udawać, że już lubię? Postanawiam przenieść się do parafii koło mojej szkoły, do śródmieścia. Tam jest więcej dzieci, może księża nie będą mieli czasu na głupoty.

Do paczki, którą mama otrzymała od księdza, jacyś dobrzy Niemcy włożyli herbatę, kawę, jedwabną chustkę i czekoladę z orzechami, gumę do żucia i płyn do zmywania naczyń. Że to płyn, dowiadujemy się od babci Riki.

Babcia patrzy się na mnie znacząco.

– *Spülmittel* – mówi i jeszcze raz powtarza: – *Spülmittel*.

Wiem, o co jej chodzi, więc powtarzam: *Spülmittel*.

– Widzisz, i znów jedno nowe słowo więcej i wcale nie po angie, nie po andze, andzeszku...

Hanka przechodzi przez korytarz i się śmieje. Babcia nie potrafi prawidłowo wymówić „po angielsku”. Staram się nie śmiać, ale nie wytrzymuję. Babcia też się śmieje. Marcin wynurza się spod stołu i śmieje się najgłośniej. Całuję go w nos.

Wieczorem modłę się do Matki Boskiej. Bardzo, bardzo ją proszę, żeby mi się objawiła w jakiś sposób. Nie wiem, w jaki sposób, myślę. W końcu zostawiam na parapecie najładniejsze jabłko.

– Daj mi jakiś znak, że jesteś. Ugryź to jabłko albo niech to jabłko spadnie...



Równocześnie przepraszam ją za ten zuchwały ton i dorzucam zdrowaśki. Wiem, że to idiotyczne i dziecinne prosić o takie rzeczy. Poza tym czemu miałyby mi się objawić Matka Boska? Takiej kłamczusze i grzesznicy jak ja? W dodatku to trochę śmieszne, żeby Matka Boska miała ugryźć jabłko. Mam już jedenaście lat, wiem, w co się wierzy, a w co nie, ale spróbować zawsze można.

– To jabłko jest dla ciebie – kończę modlitwę, zwracając się do obrazka z Matką Boską. – Weź je sobie w nocy. Pokaż mi, że jesteś i mnie lubisz!

– Dagmara, śpij już, dziecko! Nie wstaniesz jutro. – Mama gasi światło.

Rano patrzę na szafkę, a tam jabłko, jak leżało, tak leży. Przełykam łyżę, nie myślałam, że tak mnie to dotknie.

– Kurwa! – wrywa mi się.

– Dagmara! – słyszę z pokoju obok. – Wstydziałabyś się!

– Kulwa! – powtarza radośnie Marcin, bo właśnie się obudził.

Poza słowem „ja” to pierwsze słowo, jakie w życiu wypowiedział. Mama już się martwiła, że on nie mówi, i proszę.

– Kulwa! Kulwa! – powtarza.

– Matko Boska! – Mama dalej coś jeszcze mówi, ale chwytam za ubranie i biegnę do łazienki, która jest oczywiście zajęta, bo dziadek się goli. Dlaczego on musi się zawsze golić o 7.00 rano?

– Kurwa! – Powtarzam.

– Kurwa – śpiewa dziadek w łazience.

– Kurwa. Spóźnimy się do szkoły – mówi Miłosz.

– Kulwa – dobiega z pokoju.

– Kurwa – mówi babcia z tym swoim gardłowym, chropowatym r.

Mama wrzuca nam śniadanie do toreb, wciska berety na głowy i wypycha za drzwi.

– Kur...

– Dobra, już starczy! – ucina mama.

*Nie przypominam sobie tego, mówi mama.*

*Nie możesz tego napisać, wygląda, jakbyśmy byli patologiczną rodziną, mówi Hanka.*

*Dziadek Karol czasem kłął. To człowiek morza!, mówi Miłosz.*

*Dziadek nigdy nie kłął!, zaprzecza Hanka.*

Wychodzimy do szkoły.

Po szkole, zamiast w stronę domu, idę do restauracji Jaskółka. Jestem głodna. Dawno tu nie byłam, z rok, dwa, może dłużej. Uchylam drzwi i zaglądam do ciemnego wnętrza, wdycham zapach surówki i cienkiego kotleta, zamykam za sobą drzwi. Dzwonią. A potem idę w stronę parku Kasprowicza.

– Dlaczego w stronę parku Kasprowicza?

– Bo tam mieszka mój tata.

– Prawdziwy?

– Prawdziwy...

Opowiedz o nim.

Opowiem.

## *Opowiem*

Zanim mama wyprowadziła się od taty, chodziliśmy już na spacer z przyszłym nietatą. Spacer po parku Kasprowicza z nietatą i mamą. Było bardzo fajnie, bo to były spacer z dreszczykiem, co to będzie, co to będzie. Czułam się jak w teatrze. Przed próbą generalną.

– A co graliśmy?

– Serial.

– Serial?

– Tak. Taki o rodzinie.

Szczerze mówiąc, nie wiem, od czego zacząć.

– Na spacerach opowiadałaś mi, że twój tata jest najsilniejszym człowiekiem na świecie – przypomina mi nietata.

– Naprawdę?

– Tak. I najmądrzejszy. I pytałaś, czy go znam.

– A znałaś go wcześniej?

A czy to ma jakieś znaczenie?

*Dlaczego wciąż do tego wracasz?, pyta mama.*

## *Błękitny ptak*

Mam siedem lat, może siedem i pół. Mieszkamy jeszcze z mamą i tatą w naszym starym mieszkaniu z grzybem na ścianie.

Mama wychodzi. Ładnie się maluje i ubiera. Jest taka piękna, że nie wiem, jak to możliwe, że ludzie mogą być aż tak piękni. Jestem wzruszona prawie jak na filmie *Błękitny ptak*. W roli głównej Elizabeth Taylor i rosyjski balet.

– Kiedy wrócisz? – pytam.

– Późno!

Chyba wiem, dokąd idzie i z kim się spotyka. Aż tak pięknie wygląda tylko dla tego pana od spacerów. I jest taka szczęśliwa. No dobrze. Ale jak oni będą w tym parku Kasprowicza po ciemku chodzić? I mama na takich wysokich obcasach. Nogi połamię, się ubrudzi. Martwię się.

Wychodzi.

Na mnie uważa miła sąsiadka, ta, która wyjedzie do Kanady i będzie sławnym lekarzem. Teraz mieszka obok i jeszcze się uczy.

Leżę już w łóżku. Patrzę po ścianach. Cienie drzew padają na werandę. Wszystko się rusza, tańczy. Wstaję. Kładę się. Znow wstaję. Siadam przy stole, przy którym tata sprawdza klasówki uczniów.

Piszę list do taty, który wróci późno, bo uczy w wieczorówce albo może gra w brydża.

Drogi Mężu!

Nic się nie martw, mósiałam wyjść do teatru z cicią Elą.

Twoja żona  
Koham cię mocno.

Budzę się w nocy. Tata płacze cicho.

\* \* \*

Jakoś w tym czasie śni mi się najgorszy ze wszystkich snów. Sen o tym, że nic nie ma. Jest szarość i pył, i ja, i nic. Jestem sama. Świat umarł. To jest na długo przed snami o trupach i gumie. Jestem mała i ciągle mam katar. Mama chodzi ze mną do przychodni co kilka dni. Czy kiedyś przestanie boleć mnie gardło? Nikt tego nie wie. Nawet tata. W końcu którejś nocy mama się gniewa, że sama nie biorę sobie chusteczki z szafki i nie wysmarkuję nosa. Pamiętam to. Jest noc i mama znow przeze mnie nie pójdzie do pracy. Jakoś udaje się jej przekonać tatę, że teraz jego kolej. Tata zostaje ze mną, ale najpierw wychodzi do kiosku po gazetę. Wcale nie płaczę, nic a nic.

– Beksa – gniewa się tata.

No i wtedy płaczę ze złości, ale są gilgotki. Tata dużo pracuje, więc rzadko ma kontakt z dziewczynkami, które chorują. Czuję, że się od tych gilgotek uduszę. Uduszę się ze śmiechu, kaszlu, kataru i umrę. Przeżyłam te gilgotki. Bardzo się starałam przeżyć. Nie chcę, żeby tata

myślał, że małe dziewczynki są trudne.

Tata wyciąga z dużej czarnej torby kasety do magnetofonu szpulowego. Mam bardzo dużo tych szpulowych bajek. Nikt tyle nie ma. Najbardziej lubię Czerwonego Kapturka. Słucham go tak często, że w końcu taśmę wciąga organizm magnetofonu i potem słucham już tylko z radia zespołu [Breakout](#) i śpiewam razem z tatą.

Poszłabym za tobą do samego nieba,  
ale za wysoko, ale za wysoko,  
ale jak się tego nie bać?

Tata naprawił magnetofon. Tata wszystko potrafi.

Najbardziej mnie smuci Koszałek Opalek. Jest za smutny. Król z muchami w nosie – to są moje światy. Tata mówi, że będą ze mnie ludzie. Znow wciągnęła się kasetka. Śpiewamy:

Wicher wieje,  
wicher słabe drzewa łamie, hej,  
wicher wieje,  
wicher silne drzewa głaszcz, hej.  
Najważniejsze to być silnym,  
wicher silne drzewa głaszcz, hej.

\* \* \*

Mam pięć lat. Chodzę wreszcie do przedszkola. Codziennie rano tata prowadzi mnie ulicą Jagiellońską wysoko pod górę, aż się dojdzie. Długo się idzie. Ćwiczymy spacer, bo spacer jest zdrowy. W przedszkolu będzie w nagrodę śniadanie: bułka grahamka i kawa z kozuchem. Śniadanie. Kawy nie piję, tłumaczę, że mi szkodzi. Ależ to kawa dla dzieci, śmieje się pani. Ja się nie śmieję. Podczas leżakowania nie śpię. Wytłumaczyłam pani, że nie potrzebuję tyle snu, bo jestem mała, ale urodziłam się duża. Opowiadałam też o tym, że prawie wcale już nie choruję, a jak choruję, to umiem sama smarkać.

W nocy znow ten sen. Pole. Wysokie drzewa. Świata nie ma. Budzę się. Ciemno. Mamy nie ma. Taty nie ma. Wkładam na piżamę sweter z pomponem, który zrobiła mi na drutach babcia z Gdańska. Po cichu podstawiam taboret pod drzwi. Przekręcam zamek. Otwieram. Wychodzę.

Ulicą przejeżdża samochód. Oddycham z ulgą. Świat nie umarł. Tylko że park Kasprzowicza taki ciemny, wielki. Jakiś pijany pan głośno śpiewa. Pobiegnę szybciej. Staję zdyszana pod supersamem. Próbuję przeczytać, co jest napisane na kartce. Umieję już czytać. Nauczyłam się, ale kartka jest tak wysoko, że nie widzę. A jak tam w supersamie jest napisane, gdzie mama? Dziadek Antoni mówi, że w nocy najwięcej się rośnie. Może podrosnę. Nie rosnę. Jaki to dzień? Może niedziela. Czekam na schodkach, aż się rozjaśni. Nie rozjaśnia się.



Wracam do domu. Naciskam klamkę, na szczęście drzwi zostawiłam przymknięte. W pokoju obok, u sąsiadki, jeszcze pali się światło. Uczy się. Biedna. Uczy się całą noc, aż do rana.

Chyba zasnęłam. Mama całuje mnie rano.

– Czemu masz na sobie sweter?

– Było mi zimno w nocy.

*Wywal ten rysunek!, denerwuje się redaktorka.*

*Wywaliłam już wszystkie zdjęcia. Ten jeden rysunek mi zostaw!*

\* \* \*

Wracamy z przedszkola. Wszędzie mgła. W Szczecinie zawsze jest mgła. Mama niesie w siatce jabłka i pomarańcze. Zdobyła gdzieś pomarańcze. Tuż przed domem siatka się urywa. Wszystko się rozsypuje. Zbieramy te pomarańcze i jabłka. Mama nie wstaje, siedzi tak z siatką na chodniku. Patrzy przed siebie. Po chwili zakrywa twarz rękoma. Boję się coś powiedzieć. Siedzimy na zimnym betonie. Na ogół mama krzyczy, że tak nie wolno na zimnym. Boję się, że ktoś pomyśli, że mama jest pijana, a mama przecież nigdy nie pije.

– Mamo, wstań, proszę cię, bo się przeziębisz!

Mama nie wstaje. Modłę się.

## Rok 1982

Odwiedzam tatę w mieszkaniu z dużą, piękną werandą, jak ta w Hamburgu u Karoliny. Pan Ptaszek już się wyprowadził. Wybudował dom w Dąbiu, a pani lekarka, która uczyła się nocą w pokoju, mieszka w Kanadzie, jej mąż akademik gdzieś się nam wszystkim po drodze zagubił.

– Chyba umarł – mówi tata.

Do taty pojechałam więc któregoś dnia, żeby zapytać o te trupy. Poza tym dowiedziałam się, nie pamiętam już od kogo, że mam jeszcze jednego brata. Urodził się tacie i tej pięknej nowej pani, co mieszka teraz u taty w naszym starym mieszkaniu. Jeden półbrat urodził się mamie, drugi półbrat urodził się tacie, więc jak ich dodać, to byłby jeden cały brat. Tylko jak to zrobić? Mam więc jeszcze jednego brata, którego nie znam, a ma już rok i jest w wieku Marcina.

Całe mieszkanie należy do taty i tej ładnej pani.

– Chciałbym wszystko naprawić, zrobić teraz lepiej – tata urywa i wrzuca ziemniaki do garnka. Zmywa i rozwiesza ścierkę na kaloryferze. Bo jest już kaloryfer w kuchni i piec gazowy. Tylko stara rosyjska lodówka, starsza jeszcze niż ja, chodzi głośno. Prezent ślubny od dziadka Antoniego i babci z Gdańska dla mamy i taty.

– Chciałbym zrobić teraz wszystko lepiej... – powtarza tata i przerywa, bo ziemniaki się gotują i trzeba je posolić.

Teraz? To znaczy kiedy? Patrę, jak soli ziemniaki i sprząta po sobie w kuchni. Woda już nie leci z umywalki do wiadra tak jak wtedy, gdy my tu mieszkaliśmy. Jest nawet ciepła woda. Mama miała tylko zimną. Meble kuchenne tata zrobił piękne – nie widać, że to ze starych szkolnych ławek. Na karty też już prawie nie chodzi. Nie, no nie tak całkiem nie, rzadziej. Pięknie jest teraz w tym mieszkaniu. Piękna jest też ta pani, z którą zamieszkał. Rozglądam się za domkiem dla lalek. Stał przy drzwiach, pod ścianą, obok pieca. Piec jeszcze jest dla ozdoby, domku dla lalek już nie ma.

Idziemy z półbratem i tatą na spacer do parku Kasprowicza. Jest jesień, listopad, wieje wiatr. Marznę w nogi, mój nowy mały brat cały czas pokazuje mi język.

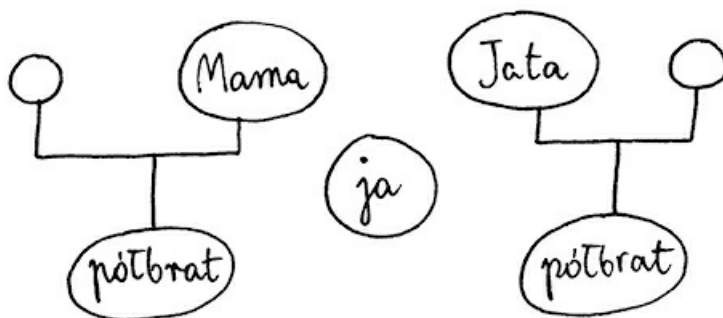
– Jak ty urosłaś! – powtarza co chwila tata.

Po godzinie wiem już, że z trupami sobie poradzę, ale z tym, że tak urosłam, to już będzie gorzej. Tata i półbrat odprowadzają mnie na przystanek autobusowy. Zatrzymujemy się przy stawie i patrzymy na kaczki. Chcę dotknąć wózka, ale przypominam sobie, że mam już ponad jedenaście lat i nie wypada wieszać się na wózku. Nagle rozumiem, że coś jest ze mną nie tak, bo mama i tata ułożyli sobie wszystko, tylko ja jeszcze nie. Wciąż chcę się wieszać.

Kaczki pływają spokojnie po stawie. Tata je karmi.

– Kaka – krzyczy mały półbrat. – Kaka!

Marcin też woła na kaczki „kaka”.



– Jesteśmy zbyt sentymentalni – tłumaczy mi tata. – To znaczy ja jestem zbyt sentymentalny, ale ty jesteś mocna i sobie poradzisz.

Poznałam nowe słowo: sentymentalny.

Z autobusu spoglądam, jak maleje budynek, o którym ta nowa piękna pani mówi: nasze mieszkanie. Maleją tata, brat, park.

W domu nie mówię, gdzie byłam, chyba nawet nikt nie pytał. Chodziłam na siatkówkę i może właśnie miałam jakiś mecz.

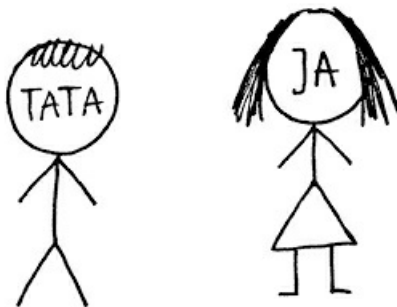
Spada zawsze na cztery łapy. Nie da sobie w kaszę nadmuchać. Nie martw się o Dagmarę, ona jest twarda. Łokciami się przebije. Gdzie ją drzwiami, tam ona oknami. Takie rzeczy słyszę, a nawet czytam w listach, które wysyła ciocia Lala do mamy, babcia do mamy, mama do cioci Lali, nawet ci znajomi ze Szczecina-Dąbia, co mają pomidory, tunele i są tacy fajni, napiszą za kilka lat do mamy, kiedy już wyjedzie do Niemiec, żeby się nie martwiła, bo Dagmara jest twarda.

Patrzę do lustra. Urosłam.

Rok 1986

Myślę o dniu, kiedy odwiedzam go nieoczekiwanie. Mam już piętnaście lat. Jestem naprawdę dorosła. Jadę pociągiem relacji Berlin-Lichtenberg – Gdańsk, ale wysiadam najpierw w Szczecinie. Mieszkam w Berlinie, mówię po niemiecku, chodzę do niemieckiej szkoły. To mój pierwszy przyjazd do Polski po dwóch latach. Tata otwiera drzwi. Nie wie, co powiedzieć, jest wzruszony. W domu pachnie szprotkami, właśnie przysmażał je na patelni. Czy chcę? Chyba nie.

Rozglądam się i zastanawiam, jak to możliwe, że tata po przeprowadzce z Gdańska całe życie mieszka przy parku Kasprowicza. Może wzdycham. Nie wiem, nie pamiętam. Przypominam sobie tylko, że tata próbuje wziąć mnie na barana. Nie daje rady. Jestem za duża.



Tak mi nas żal.

Z pamiętnika Dagmary

Mama.

Uciekłam z Gdańska. Myślałam, że w Szczecinie będzie nam łatwiej. Nigdy nie polubiłam tego miasta.

Tata.

Otrzymałem tam pracę. Pokochałem to miasto.

Mama.

Kiedy się urodziłaś, babcia przyniosła mi do szpitala na Kliniczną żółte róże. To odtąd moje ulubione kwiaty. Byłam taka szczęśliwa, że jesteś, że urodziłaś się zdrowa. Twój tata nie przyjechał. Czułam się jak samotna matka. Wszystkie matki odwiedzali mężowie, przynosili kwiaty, potem zawozili swoje żony do domów. A my tak leżałyśmy same. Bo ja byłam po tym porodzie bardzo chora. Wujek Klemens po nas przyjechał z babcią. Miałaś najpiękniejszy wózek. Wszystko miałaś najpiękniejsze. Przywieźliśmy cię do babci do Wrzeszcza w takim wiklinowym koszyczku. Jak my cię kochaliśmy, dziecko!



Tata.

Remontowałem kuchnię w domu na przyjazd twój i mamy. Chciałem, żeby wszystko było takie piękne, żeby pomimo nie najlepszych warunków ta kuchnia jakoś ładnie wyglądała, miała przyjazne kolory. Starłem się, jak mogłem.

Mama.

Tata przyjechał po nas dopiero dwa tygodnie po twoim urodzeniu.

Tata

Przyjechałem po tygodniu przez ten remont kuchni i pracę w szkole.

Tata. Mama.

Nie rozumiał mnie... W tym mieszkaniu zawsze same... Byłem taki samotny... Mnie było tak ciężko samej... Myślał tylko o sobie... Zawsze tylko ona... Na ulicy każde z nas szło w swoją stronę... Zostawiała mnie tyle razy... Wieczorami w obcym mieście wciąż same... Uciekała do Gdańska... Byłam mu obojętna... Na rozwodzie powiedział... Na rozwodzie powiedziała... Nigdy mnie nie kochała... Nigdy mnie nie kochał... Zdradzał... Zdradzała... Odeszła. Nie potrafił. Nie umiała. Zawiódł. Zostałem sam.

## ROZDZIAŁ VI

*Domy przedmieścia o podkrążonych  
oknach  
domy kaszlące cicho  
dreszcze tynku*

ZBIGNIEW HERBERT

*Gdańsk jest kluczem do wszystkiego.*

NAPOLEON BONAPARTE

## Pompon

– Żebyś ty widziała – wspomina ciocia Lala – jak dumnie maszerowałaś w tym swoim sweterku z pomponem po dworcu. „Już jedzie! Już jedzie!”, wołałaś. Bo my jeździłyśmy do Gdańska nocnym pociągiem, żeby w Gdańsku być jak najszybciej.

I to był pociąg, który przyjeżdżał z Berlina. Berlin już wtedy był gdzieś obecny, czyhał, badał, wysyłał pojazd, żeby mnie poczuć, sprawdzić. Berliński pociąg *nach Danzig durch Stettin, Kolberg, Stolp*.

– On przyjeżdżał z Berlina-Lichtenbergu – dodaje w zamyśleniu ciocia Lala. – A ten sweter zrobiła ci babcia i on rósł z tobą!

– Nie, no co ty, Lala! – protestuje moja mama. – Włóczkę babcia zamówiła, ale sweter zrobiła sąsiadka.

– Chyba żartujesz! Ten sweter zrobiłam ja sama! – Babcia nie kryje oburzenia.

– Mamo, przepraszam cię, ale ten sweter zrobiła Dagmarze pani Genowefa – oponuje mama.

– Trzymajcie mnie! Lala, czy ty słyszysz? Pierwszy sweter na drutach, jaki zrobiłam, to był ten z pomponem dla Dagmary! Genowefa pokazała mi tylko, jak się robi pompon, ale wszystko, łącznie z kapturem, zrobiłam sama. Tymi rękoma!

## *Jestem*

Dworca w Szczecinie nie pamiętam. Pamiętam tylko dworzec w Gdyni i w Gdańsku-Wrzeszczu. Za każdym razem, gdy wysiadałam, dworzec we Wrzeszczu wydawał mi się tak piękny, że szybko się nachylałam i całowałam chropowatą dworcową nawierzchnię. Bardzo lubiłam też przejście podziemne, samoobsługowe kasy biletowe, które głośno wykrztuszały kartonowe bilety, i stare babinki w chustkach. Siedziały na niskich stołeczkach z małymi kolorowymi kwiatkami.

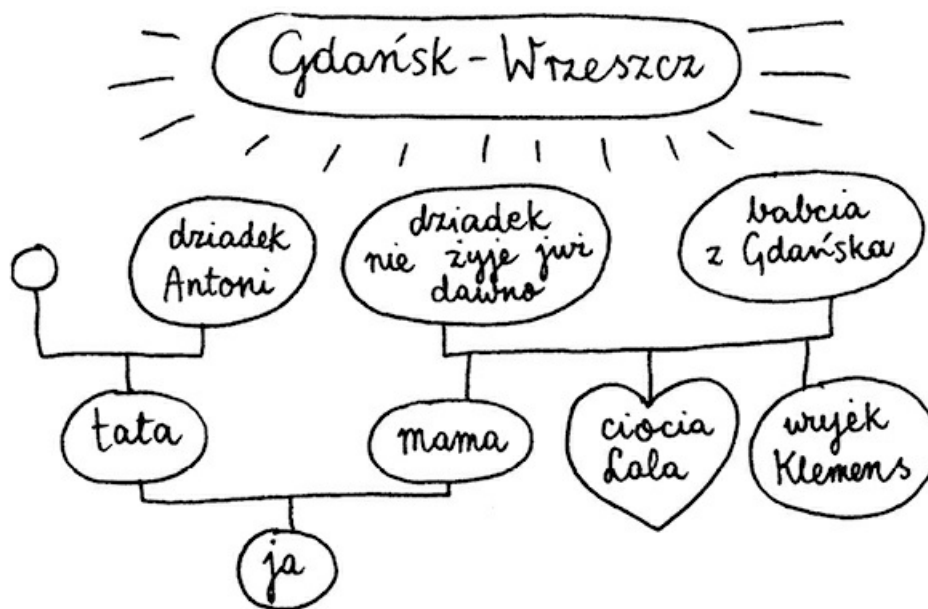
– Kupi pani! Kupi! Kupi pani! – wołały.



Kupowaliśmy najczęściej konwalijki, babci ulubione. Na ulicy Wajdeloty wszystko było takie jak rok wcześniej i dwa lata wcześniej, i trzy lata wcześniej.

*No nie wiem. Na przykład budy przed ogródkiem jordanowskim to dopiero później powstały.*

Mijam drewniane budy przed ogródkiem jordanowskim, w których można kupić srebrne pierścionki, włoszczyznę i kolorowe spinki do włosów. Mijam basen, na który nigdy nie pójde i nie nauczę się pływać. Mijam kwadratowy budynek, który dosłownie wychodzi na chodnik, wcina się w jezdnię. Młoda babcia chodziła tam kiedyś z młodym dziadkiem na potańcówki. Brat mamy, na którego mówimy Klemens, chociaż nazywa się Władek, jak co roku namawia mnie i ciocię Lale, żebyśmy poszli na skrót, ale nie mogę przecież iść na skrót. Idąc na skrót, nie przejdę koło cukierni Paradowskiego, a koło Paradowskiego przejść muszę i wszystko sprawdzić.



Kolumna, na której opiera się narożny budynek, stoi? Stoi! Schodki starte od nóg ludzi głodnych ciastek przed wojną i po wojnie też głodnych wygrzewają się w czerwcowym słońcu? Wygrzewają!

Sprzedawczyni w białym czepku i białym fartuchu wcale nie nazywa się Paradowska, ale nie szkodzi. W ogóle nie wiem, dlaczego piekarnia nazywa się „U Paradowskiego”, ale się zapytam.

*Bo wcześniej należała do Paradowskich.*

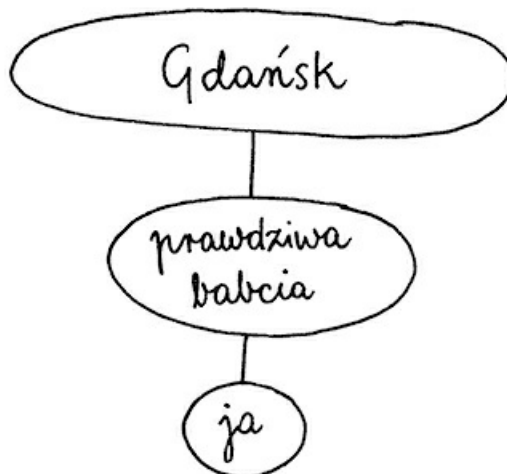
Sprzedawczyni, już Nie-Paradowska, wyklada świeże ciastka na przedwojenne tace. Rurki z bitą śmietaną są? Są! Eklery są? Są! Ptysie są? Są! Później kupię!

Za rogiem, za Paradowskim, skręcam w ulicę Grażyny. Tutaj mieszka znajoma babci, jest magiel i krawcowa. Gdzieś z tyłu jest gdański browar, widać parę szarych budynków i dym z komina. Klemens lubi tu wypić piwo na rogu. Babcia się wtedy denerwuje. Ulica opada lekko i wszystko znajome jest jak na dłoni. Pachnie ulicą Grażyny. Ma zapach i kolor ulicy Grażyny. Jak ilustracja w starej bajce lub zdjęcie z albumu. Zawsze w tym samym miejscu, w białej falbance, koronce, broszce, w srebrnej oprawce. Ulica, drogocenny bibelot, wije się lekko do dołu. Okna są nisko i, jak podskoczę, zobaczę, że krawcowa jest i szyje, że tu się mieszka, pije i żyje. Jak to jest, kiedy jest się tu zawsze? Jak oni tu żyją, kiedy mnie tu nie ma? A teraz już biegnę, biegnę ile sił w nogach ulicą Grażyny, biegnę tak szybko, że chyba tego nie przeżyję. Jeszcze tylko zerknę na budynek przy placu Wybickiego, bo tutaj nad apteką mieszkali prababcia i pradziadek. Już nie żyją. A teraz szybciej pobiegnę, bo jeszcze ta ulica, do której biegnę, zniknie i okaże się, że to był sen, i obudzę się na Żeromskiego 116 mieszkania 3 w Szczecinie.

I wreszcie jestem. Długa, głośna ulica, długi, niekończący się budynek, po prawej ceglana szkoła, w środku tory tramwajowe. Niby nic takiego. Wejść w podwórze czy biec ulicą? Do babci można wejść od podwórza albo od ulicy. Z podwórza dobiegają znajome głosy Kaś, Jol, Bożen, ale przecież nie mogę od razu iść do nich. Muszę najpierw poczuć chłód ulicy. Wiatr tak

silny, jak tylko może być nad morzem. Łapię za poręcz i za mosiężną główkę. Muszę się oprzeć o zimny murek.

Jestem.



*Wiem, że to jest wszystko źle napisane, że straszny warsztat, że można lepiej, ale nie mogę inaczej i nie będę tego poprawiać, bo to wszystko prawda i przepisałam to z pamiętnika.*

*Chyba tego nie napiszesz?!*

\* \* \*

Na parapecie gdańskiego okna stoi drzewko szczęścia. Pamiętam, że stoi tu od zawsze. Urosło duże. Było tu, kiedy umierałam na posocznicę i kiedy umarł dziadek. Stało tu też, już bardzo duże, kiedy wyjechałam z Gdańska na stałe.

Drzewko szczęścia ma grubą łodygę, mocne, zdrowe liście i częściowo przesłania widok za oknem. Nigdy nie gubi liści, nie więdnie. Czasem wyobrażam sobie, że to liście akacji. Korci mnie, aby poobrywać listki jak we wróżbie. Staram się, próbuję, ale przyssały się mocno. Babcia będzie chciała w przyszłości mi je podarować, ale wtedy drzewko szczęścia uschnie.

\* \* \*

Moje ulubione miejsce w starym mieszkaniu babci to pokój, w którym śpimy razem z ciocią Lalą. Jest od ulicy. Tramwaje dzwonią od czwartej nad ranem, głośno dudnią ciężarówki. Najbardziej lubię obcasy, które stukają o chodnik, szybkie kroki i przytłumione głosy przechodniów. Światła samochodów padają na pamiątki z Egiptu, Grecji i Turcji. Żadna z babć moich koleżanek nie była tyle razy w Egipcie, w Grecji, w Rosji. Najwyżej w Krynicy.

Lubię słońce, które budzi mnie nad ranem. Lubię metalowy pogrzebacz, którym babcia przegarnia w kuchennym piecu. Słyszę przez ścianę, jak szura po węglu. W cichych szczecińskich mieszkaniach z oknami wychodzącymi na podwórza cierpię nocą na ból głowy, nie mogę zasnąć. Kasia, moja najlepsza gdańska przyjaciółka, pożycza mi walkmana.

Nagrywamy na kasetę firmy BASF jazgot tramwaju, wiatr uliczny, burzę i krzyk mewy nad morzem. Puszczam to sobie potem w Szczecinie przed snem z magnetofonu firmy Kasprzak. Pomaga. Trochę.

– Przestań, bo nie wytrzymam! – mama ma dość mew.

Każdy powrót z wakacji to wielotygodniowa adaptacja do nowego miejsca.

*W jakim nowym? Mieszkałyśmy w Szczecinie na stałe.*

– Mnie też jest ciężko. Też tęsknię. – Bardzo chciałabym takie słowa usłyszeć od mamy.

\* \* \*

Gdy jestem w Szczecinie, pokój od ulicy należy do cioci Lali. Gdy wracam do domu na święta, na ferie i wakacje, pokój jest już tylko mój. Fotele te same, dzbanki te same, obrusy te same, książki te same. Zapach ten sam. Pokój tylko mój.

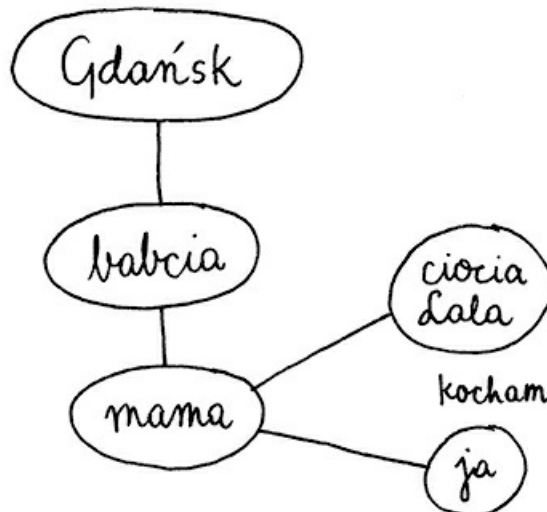
Ciocia wstaje codziennie o szóstej rano. Ma dużo pracy przed pracą. Musi się wymalować, ubrać, wyperfumować, odprasować. Wychodzi po cichu, żeby mnie nie obudzić. Z podwórka przychodzą koleżanki wachać pokój po cioci, ale bawimy się na balkonie. Babcia rozkłada nam koce, otwiera szeroko okna. Wysokie klony chronią nas przed słońcem.

Jeśli nie zapomnę, od 15.00 czekam na ciocię Lalę na ganku.

– Dziecko, nie siadaj na schodach, przeziębisz się! – woła babcia z okna.

U babci w Gdańsku nigdy nie choruję, nie boli mnie gardło, nie mam kataru, ale wstaję ze schodków.

Rozpoznaję Lalę już z daleka. Siedzi w tramwaju zawsze po właściwej stronie albo stoi tak, żebym mogła ją zobaczyć już z ganku. Obiecałam babci, że nie pójde na przystanek po ciocię, bo ruchliwa ulica, tramwaje, porywacze. Czekam na ganku, pod gankiem.



*Słuchaj, źle narysowałaś to drzewo, mówi redaktorka. Wygląda, jakby ta ciocia była żoną twojej mamy, a to przecież są siostry! Odpowiadam, że chcę, żeby to właśnie tak wyglądało, żeby było na jednej kresce. Ale dlaczego? Redaktorka nie rozumie. Bo to znaczy – odpowiadam – że ona, ta ciocia, jest jak mama.*

Najpierw stoi na światłach, potem musi przejść długą ulicę. Biegniemy do siebie, jakbyśmy nie widziały się od tygodni. Czuję od dawna, że muszę cioci coś ważnego wytłumaczyć. Nie wiem jak. Tyle chciałabym jej powiedzieć, to taka długa historia, ale udaje się powiedzieć to jednym zdaniem.

– Kochałam cię, jeszcze zanim się urodziłam, ciociu!

*Jezu, jakie nudy, jęczy redaktorka.*

\* \* \*

– *Mamo, nie gniewaj się, ale ja ci muszę coś powiedzieć, ja kocham ciocię tak samo mocno jak ciebie. Jeszcze ci muszę powiedzieć, że nawet trochę mocniej.*



## Obiadek

W Gdańsku na podwórku bawimy się w zbijanego, w chowanego, w dwa ognie. Chodzimy po drzewach. Objadamy się morwami. Chodzimy na boisko i pod szkołę Pestalozziego. Za szkołą jest stary bunkier i browar. W browarze czasem uda się zdobyć nalepki na butelki. Tymi nalepkami obkleję kafelki w łazience, żeby było ładniej. Cioci Lali się podoba. Awangardowo! Tak mówi. Muszę zapamiętać. Nowe słowo. Na placu Wybickiego jest apteka, a w aptece pani Iza. Odkłada dla nas buteleczki, strzykawki i puste opakowania po lekarstwach. Bawimy się w aptekę, w warzywniak i w budy spod ogródka jordanowskiego. Jest jeszcze trzepak. Tyle do roboty, nie wiadomo w co ręce włożyć. Jest dopiero druga, ale dzień się kończy, gdy babcia woła z balkonu na obiad.

– Dagunia!!! Obiadek!!!

Biegnę, co sił w nogach.

– Dagunia!!! Obiadek!!!

Krzyczy tak głośno, że nawet dzieciaki, które ze Śląska przyjechały na kolonie do Pestalozziego, wiedzą, że u nas obiad.

Może dobiegnę, zanim zdąży trzeci raz zawołać.

– Dagu...

Biegnę z moim najlepszym kolegą, Bolekiem. Bolek jest mały i gruby. Ja jestem chuda. Jesteśmy nierozłączni. Wpadamy zdyszani.

– Babciu, nie wołaj mnie z balkonu!

– A skąd mam cię wołać?

– Nie wołaj w ogóle!

– A jak się dowiemy, że jest jedzenie? – dziwi się Bolek.

Strzelam go w ucho, tak jak czasem strzela mnie w ucho nietata. Na obiad surówka, mięso, nazywam je włoskowe, kartofle, ciemny sos i kompot.

Zaczynam od kompotu. Bolek zajada, aż mu się uszy trzęsą.

– Już nie możesz? – pyta i patrzy na mój talerz.

– Może, może – odpowiada za mnie babcia. – Daga, zostaw ten kompot! Mięso jedz!

Z obiadami u babci żartów nie ma. Co prawda nie muszę tak jak w Szczecinie siedzieć w kuchni i patrzeć z niepokojem na zegar. U dziadków na Żeromskiego siedzę sama przy wielkim kuchennym stole, dopóki nie skończę. Nietata nastawia zegar i jak nie zjem na czas, muszę za karę jeść w ubikacji. Zawsze w ostatniej chwili udaje mi się zdążyć.

*Nigdy nie jadłaś w ubikacji! Jadłam! Nie jadłaś!*

W Gdańsku jest trochę gorzej. Jak nie chcę jeść, babcia chce mnie karmić! Z Bolka jest dobry przyjaciel, ale straszna papla i wszystkim na podwórku rozgada, że babcia mnie karmi. Zjadam szybko, prawie szybko, ale Bolka nie przegonię.

Dwie godziny później bawimy się na placu Wybickiego w aptekę. Przybiega Kaśka.

– Jagody są w śmietanie!

– Jakie jagody? – pyta Bolek.

– U Dagmary. Podwieczorek.

Biegnę do domu ile sił w nogach, ale Bolek jest szybszy. Już od bramy podwórkowej, w której prababcia z pradiadkiem kiedyś miała owocarnię, słysząc:

– Daguusiaaaa! Jagóóóóódkiiii! W śmietanieeeee!

## *Klemens*

Znamy się z Bolkiem od urodzenia i sporo nas łączy.

Na przykład tata Bolka pije piwo z wujkiem Klemensem. Na święta Bożego Narodzenia biegali nawet razem w skarpetkach po śniegu.

Mama Bolka mówi, że moja babcia to święty człowiek.

Dziadek Bolka chodzi do mojego dziadka do pracy i tam czasem piją piwo i załatwiają interesy. Mój dziadek jest prezesem spółdzielni. Wraca do domu późno. Idzie do swojego pokoju. Jego pokój jest od podwórka. Takie wielkie jest mieszkanie babci w Gdańsku.

Czasem dziadek wchodzi do mojego pokoju w nocy, siada na łóżku i mówi:

– Oj, Dagusiu, jaka ty wtedy byłaś chora. – I pociąga nosem.

– Idź stąd! Dziecko śpi! – denerwuje się ciocia Lala.

– Dziadek Badek – mówię do niego przez sen.

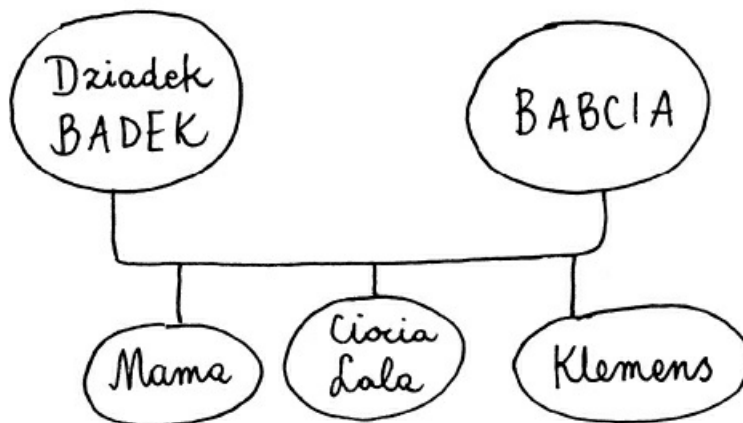
Dziadek się trochę gniewa. Wychodzi.

– Przypomniało się staremu! – mówi ciocia i znów się kładzie.

Lubię tego dziadka. Choć znamy się tylko z widzenia. Szkoda, że umarł. W święta Bożego Narodzenia śpiewał piosenki z okupacji i tak ładnie się uśmiechał. Miał dobre oczy i kiedy był młody, to był chłop na schwał.

\* \* \*

Kaśka i Bolek mówią, że wujek Klemens stoi w klatce i się wygłupia. To znaczy, że znów napił się piwa. Wtedy chce mnie wychowywać. Kiedyś sobie pójdzie. Na szczęście jest jasno, jest dzień i jestem na podwórku. Pójdę się bawić koło szkoły Pestalozziego. Stamtąd nie będzie wujka widać. Nie będzie słyhać, jak się kłóci z babcią i prosi o pieniądze. Może, zanim wrócę, już sobie pójdzie? Wieczorem będę nasłuchiwać, czy idzie po schodach, czy przekręca klucz w zamku. Może uda mi się zasnąć, zanim wróci? Bardzo się go boję, kiedy jest pijany. Chowam się pod kanapą, jestem chuda i się mieszczę. Chowam za drzwiami. Wujek prawie nigdy nie wchodzi do mnie, a jak chce mnie budzić, to udaję, że płaczę, i on wychodzi. Zatykam uszy, żeby nie słyszeć, że krzyczą. Czasem biegnę do sąsiadki i chcę dzwonić na milicję, tak się boję o babcię, ale sąsiedzi nie otwierają drzwi tak szybko w Gdańsku-Wrzeszczu.



Jak wujek się wyśpi i prześpi to coś, co go tam gryzie w środku, to już wszystko jest dobrze. W dzień wszystko w ogóle jest dobre, jasne. Czasem idziemy z wujkiem Klemensem na mecze siatkówki do Gedanii, gramy w karty, w państwa i miasta. Wujek wygląda trochę jak Elvis. Tak mówi Kaśka. Jest zawsze opalony, gra w sobotę w piłkę i kiedyś grał nawet w drugiej lidze. Najszybciej ze wszystkich jeździ na rowerze i mój tata prawdziwy go lubi, i dziadek Antoni też go lubi. Wujek zawsze wygrywa w szachy z tatą Bolka. Kiedy byłam mała, stawiał mnie na wysokiej poniemieckiej szafce i skakałam do niego. Zawsze mnie łapał, choć to było wysoko.

*To ja cię tam stawiałam i do mnie skakałaś, mówi tata.*

Wujek dużo czyta i opowiada mi niestworzone historie. W ostatnie wakacje przed wyjazdem do Niemiec oglądałam atlas. Wujek opowiada mi o Niemcach i o drugiej wojnie światowej. Straszne rzeczy mówi o Niemcach, straszniejsze niż te, które widziałam w *Polskich drogach*. W biblioteczkę babci są takie małe kieszonkowe książeczki Poego, Dreisera i Stevensona. Wujek Klemens mówi, że Stevenson napisał książkę o nim, o Klemensie, i że nazywa się *Doktor Jekyll i pan Hyde*.

## *Już o tym pisałaś*

Nie tylko w szczecińskim, także w gdańskim tramwaju siadam zawsze tak, żeby siedzieć z tej strony, po której znajduje się długi budynek z balkonami, a wśród nich ten najważniejszy, gdzie prawdziwa, moja własna babcia chowa kompot i gdzie stoi stare ponemieckie biurko. Po przeciwnej stronie budynku znajduje się...

*Słuchaj, mówi redaktorka, nie powtarzaj tego. Już o tym pisałaś.*

I co z tego.

Po przeciwnej stronie znajduje się szkoła, całe gdańskie podwórko do niej chodzi, ale moja mama i ciocia Lala twierdzą, że kiedyś wcześniej były tu koszary. Wszystko, co nie stoi po tej stronie, gdzie budynek babci, nawet drzewo, jest wrogie, bo wyrosło po przeciwnej stronie. Ale jak usiąść w tramwaju z tej właściwej strony? Bo jak się stanie tak, to budynek babci jest po lewej, a jak siądzie tak, to po prawej. Wierność w roku 1982 najtrudniejsza jest w tramwaju.

Moja prawdziwa babcia pochodzi z Gdańska, jest Polką, ale podobnie jak babcia Rika mieszka w ponemieckim mieszkaniu. To teraz coś opowiem o tym moim mieszkaniu. W roku 1982 nikt nie wspomina, że mieszkanie babci należało kiedyś do Niemców, nie ma takiej potrzeby, nie ma też ludzi, którzy by o tym opowiadali. Wszędzie zagadki. W szafce kuchennej stara maselniczka, spalony młynek do kawy. Wożę potem tę maselniczkę ze sobą po świecie, ale młynek zostawiam w kredensie. Niech ma swoje miejsce i niech coś po tym, co było tu wcześniej, zostanie.

– Dziecko drogie, a ty wiesz, kto tu mieszkał? – pyta mnie profesor Albrecht, stary nauczyciel, który uczył kiedyś w szkole Pestalozziego.

Siedzi w roku 1982 na drewnianej ławce przy placu Wybickiego, w tym miejscu, w którym za lat dwadzieścia postawi się metalową ławeczkę, a na niej postać Oskara z blaszanym bębenkiem. Oczywiście profesor nie jest jasnowidzem. Umrze, zanim Oskar tu usiądzie, i nigdy się o nim nie dowie, no ale ja jeszcze będę żyła. Zaniosę profesorowi na cmentarz zdjęcie Oskara, oprę je o pomnik bez krzyża (dlaczego bez krzyża?) i trochę sobie pogadamy.

*A kiedy ty na ten cmentarz niby chodzisz?, pyta babcia. Doprosić się nie można, żebyś do dziadka Antoniego poszła, a do profesora chodzisz?*

Tymczasem profesor pokazuje gdzieś za sklep, w którym, kiedy babcia nie widzi, kupuję oranżadę.

– Wiesz, kto tu mieszkał? – profesor niecierpliwie ponawia pytanie.

– Stara Kociniakowa? – próbuję ostrożnie.

– Günter Grass, dziecko, zapamiętaj sobie!

Nauczyciel poprawia kapelus, siada prosto i mówi do mnie dużo i kwieście. Ładnie mówi, naprawdę, w końcu uczył kiedyś w szkole. Babcia mówi, że profesor zna francuski i niemiecki, ale rozumiem z tego tylko jedno, że siedział w jednej ławce z tym Grassem i że w tej szkole Pestalozziego, do której chodził, sam potem uczył, a teraz już nie, bo jest już bardzo stary.

– Tak to było – kończy i wyciąga cukierka z kieszeni marynarki. – No biegnij już, biegnij!

Do domu wracam, kiedy babcia krzyczy przez balkon: gdzie ten pas? Zdarza się nawet, że

przegapiam *Pogodę dla bogaczy*. Późnym wieczorem babcia pomaga mi szorować brudne stopy.

– Co ty robiłaś tymi nogami, dziecko!

Penetrowałam zakazany teren browaru, próbowałam rozszyfrować niemieckie napisy w podziemnych korytarzach.

– Czy Albrecht to niemieckie nazwisko? – pytam babcie.

Babcia podaje mi ręcznik i opiera się o poniemiecką szafkę. Milczy i dopiero po chwili mówi:

– Niemieckie, ale profesor to dobry człowiek. On tu swój.

– A ty nie?

– No... ja też.

Nie dodaje nic więcej, ale to jej „też” coś oznacza, tylko co takiego? Może to, że dopiero ja i moje roczniki to prawowici mieszkańcy tej kamienicy. Może nie jak Albrecht i Grass, ale prawie? Spłodzono naszych rodziców w poniemieckich łózkach Schmidtów, ale nas już w łózkach polskich, wyszliśmy z brzuchów jako drugie pokolenie na ulicy Klinicznej, a nie przy Schellmühler Weg 1. A to jednak ma znaczenie.

Kogo zapytasz, każdy ci powie, że urodził się na Klinicznej, każdy. My, drugie pokolenie, z szacunkiem odstawiamy niemieckie sprzęty na półkę, owijamy w serwetkę i upychamy w podróżne torby, gdy opuszczamy te strony. Bez zdziwienia odczytujemy na studzienkach niemieckie napisy. Maszyna do szycia szewca Nowaka to przedwojenny singer, który należał kiedyś do pana Schmidta. Róże, hortensje i malwy od lat wysoko, wysoko przesłaniają okna sklepikarza Kociniaka. I my wiemy, że ktoś inny tam dawno temu je zasadził, czule odgradził żeliwnym wzorkiem od chodnika. Jakaś inna, niepolska ręka.

*Ja też sadziłam malwy, mówi Kociniakowa.*

Każda mosiężna kulka na ganku, figurka bez głowy, politurowane forniry, domy z wieżyczkami, koguciki na dachu, drewniane werandy, dworcowe filary jak falbanki, doryckie tympanony nad wejściem do kamienicy pani Kociniakowej, kaflowy piec u dziadka Antoniego, chiński domek przy Jaśkowej Dolinie, wielka ceglana szkoła Pestalozziego to w latach osiemdziesiątych jest niczyje, a więc nasze, dziecięce. Trzepiemy zaklepanki w stare, kruszące się tynki, walimy piłkami, skrobiemy scyzorykiem. Pod łukowatym wejściem, na którym ktoś kiedyś czule wygrawerował gotyckim pismem ANNO 1906, sprzedaje Kaśka Aśce cebulę, marchewkę w postaci trawy, płacimy kamykami ze żwirowego boiska.

Anno 1906 to nazwa naszego sklepu warzywnego. Łuk jest na kolumnach i do tych kolumn czasem przywiązują nas Palacze. Jak się nie ma starszego brata, który może wybronić, trzeba się samemu wykupić kapslami, butelkami albo nalepkami z browaru. Albo zadać trudne pytanie Palaczom. Jak nie odpowiedzą, to jest fant. Aśce udało się Palaczy raz zaskoczyć, zapytała, czemu ktoś napisał do Anny Anno w 1906 roku i czemu nie dokończył...

Palacze nie wiedzieli, my też.

I babcia też tego nie wie, nic a nic, że jak mówi to swoje „też”, to przekazuje mi historię, której sama nie rozumie. Ale ona jest. Tak jak młynek, maselniczka i kredens.

## *O mnie nie pisz!*

– O mnie nie pisz! – mówi mój syn w roku 2015.

– Mamo – mówi moja córka urodzona w Berlinie – czemu nie pojechałaś na tę Klinikzną, żeby mnie tam urodzić?

– Nie dojechałam – kłamię.

– Ty chyba głupia jakaś jesteś – mówi syn do siostry i zwraca się do mnie: – Opowiedz lepiej coś o praprababci!

Dzwonię do babci, żeby opowiedziała o prababci. Chcę wiedzieć, dlaczego prababcia przyjechała właśnie do Gdańska, skąd pochodziła? Jak poznała pradziadka? Czy te jabłka naprawdę przywozili do owocarni z podwarszawskiego sadu?

Dzwonię.

Babcia poszła do kościoła, a Klemens pyta, czy przyjadę na wybory do Polski. A jeśli chcę wiedzieć, to pradziadek był patriotą i urodził się w Warszawie. Powstaniec.

– Owocarnia? – dziwi się wujek. – Jaka owocarnia? A, owocarnia. Tak, było coś takiego.

– Powstaniec? – pytam. – Gdzie mieszkał?

– W Warszawie, na Mokotowie.

– Gdzie dokładnie?

– Tego domu już nie ma. Spłonął w czasie powstania.

Może mój pradziadek ze strony babci nawet znał dziadka Karola? Albo ojca dziadka Karola? Myślę o tym Mokotowie. Świat wydaje mi się nagle zbyt mały na tę historię. I tego drzewa genealogicznego też nie narysuję.

## Królewna Śnieżka

Wieczór. Gdzieś w oddali szczeka pies. Zawsze, kiedy tak szczeka, przywodzi mi na myśl wieś, zapach późnego lata, cykanie koników polnych, spokój.

Wieś to wakacje z ciotką Lalą, siostrą mamy. Wracamy z wiejskich wypraw opalone i rozbrykane, jest w nas zachód słońca, łąka, las tak zielony i głęboki, że nie widać w nim leśniczówek i chatki Baby Jagi. Wszystko jest nierealnie bajkowe, że nie wypada o tym pisać, bo najwyżej wyjdzie z tego kicz, wiersz dla kucharek...

*Pamiętasz tę drogę wśród słoneczników?*

Czy my tam byliśmy, czy te wsie istniały, pytam ciotkę Lalę. Ciocia pamięta głęboką studnię wujka Julka i konie pamięta, i jakiegoś Genka. Grał na gitarze i śpiewał jak Klenczon. Klenczon to czasy nie moje, lecz cioci Lali, więc nie pamiętam. Ciocia Lala nuci.

Na tych wsiach mieszkają nasze prastare rodziny. Wieś liczy ze sto osób i wszyscy nazywają się w tej wsi tak samo jak babcia i dziadek z Gdańska. Podobno wieś nazwano „Włazów” – od Włazowskich, a nie odwrotnie, że niby bez Włazowskich wsi by nie było. Okazuje się, że praprapradziadek dziadka, ławnik, otrzymał ziemię od panującego. Nadanie obrosło szlachecką legendą, wciąż ich przybywa i okazuje się, że rodzina ma herby, lasy, przywileje i w ogóle jakieś skrzynie z bogactwami ukryte na Wołyniu. Dlaczego na Wołyniu, skoro te prastare rodziny mieszkają pod Warszawą? Nikt nie wie i czemu jestem taka nieufna? A?

Rodzina co roku organizuje zloty i wymyśla podróże w celu odzyskania utraconych wołyńskich skarbów. Zlot zaczyna się od nalewki stryja Julka, przemówienia oraz głosowania i wyboru wodza wyprawy. Głosowanie kończy się tradycyjnie awanturą, bo jak podzielić skarby, i w ogóle co komu przypadnie z tych skarbów, chce wiedzieć wdowa po Julku, prawdziwa hrabina, a nie jakaś tam szlachta, no co? Trzeba to ustalić, a przed wyjazdem na Wołyń się posilić. I w końcu się tradycyjnie nie wyjeżdża. Za to spożywa swojskie chleby, smalce, szynki i kiełbasy oraz tańczy, pije, bije, a nawet...

*Już ty za dużo nie opowiadaj, denerwuje się babcia.*

Byłam na takim zlocie kilka razy i nie mogłam uwierzyć, że to możliwe, że przyszyto mnie w Szczecinie do dziadków, Riki i Karola, skoro pod Warszawą wsie, herby i lasy.

Zlot i wszystko wsiowe szybko ciotkę nudzi, bo to lata osiemdziesiąte, ma wtedy zaledwie dwadzieścia kilka lat i jest z miasta, a miastowym na wsi jest dobrze kilka dni, ale nie cały tydzień! Poza tym ma nowego chłopaka, Michała, z którym jeździ motorem jak szalona po całym Gdańsku i nad morze. Na motor nawet żaden Genek z gitarą nie pomoże. Ja też po tygodniu chcę wracać, tym bardziej że nie mogę wziąć ze wsi do Gdańska ani kota, ani psa, ani kurczaka. Poza tym nauczyłam się tam od prastarych kuzynów gwizdać, chodzić po drzewach i grać w kapsle. Muszę się tym pochwalić na podwórku i sprawdzić, czy uda mi się wejść na garaż. Wracam do Gdańska z łokciami tak brudnymi, że babcia szoruje je pumeksem w starej niemieckiej misce aż do mojego wyjazdu.

*Miska była z pedetu.*





\* \* \*

– Ale co to ma wspólnego z tym, co mówiłaś wcześniej? – pyta moja córka.

– Nic – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– No to po co to opowiadasz?

– Nie wiem, przypomniało mi się.

Przypomina mi się milion spraw, których wczoraj jeszcze nie pamiętałam, nie było ich, a teraz są. Śnieżka, dziesięć dolarów. Małpka.

– Małpka? – podchwytuje moja córka.

## Małpka z kiosku

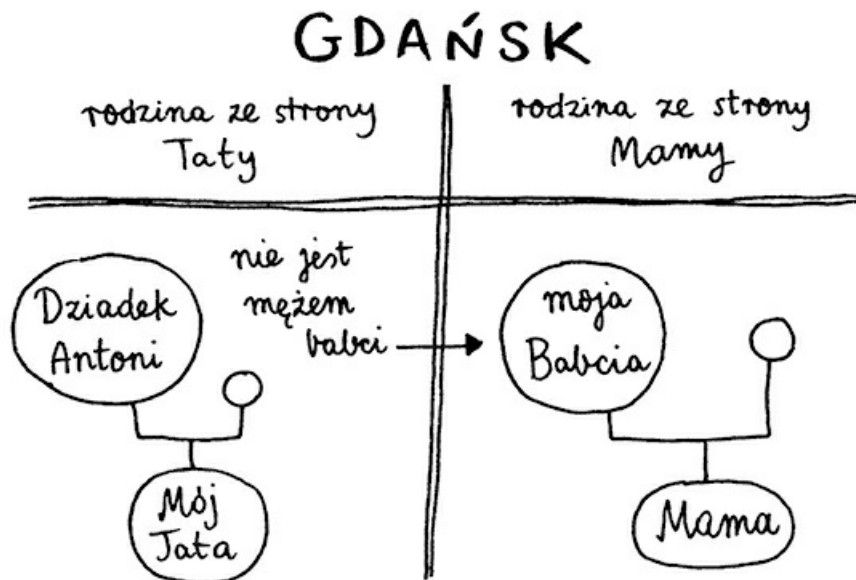
Rok 1982 w Gdańsku.

Małpka jest szara, brudna i nijaka. Bardzo biedna. Wpadła dziadkowi Antoniemu do kałuży. Bardzo się spieszył, dowiedziawszy się, że przyjechałam ze Szczecina dzień przedem, więc biegł szybko do tramwaju, aby się ze mną zobaczyć. Małpkę dostrzegł w kiosku. Płaszczyła tam nosek i wyglądała jak pies ze schroniska. Nieruchoma, pomnik. Weź mnie! Dziadek przystanął, popatrzył, wsadził do kieszeni i pognali razem do tramwaju.

Wyobrażam sobie, jak dziadek przeskakiwał kałuże, jak małpka w tej kieszeni podskakiwała, jak dziadek kiwał na motorniczego z czerwonego tramwaju z wielką dwójką z przodu i jak ten motorniczy się nie zatrzymał. Biegąc do tego tramwaju, który się nie zatrzymał, dziadek się poślizgnął i wyłożył jak długi. W ostatniej chwili, już upadając, zdążył wyciągnąć małpkę z kieszeni, żeby się nie ubrudziła, ale wtedy przejechał samochód marki Żuk i ochlapał dziadka, małpkę, płaszcz i kapelusz.

– Proszę się rozebrać! – powiedziała babcia do dziadka, gdy zobaczyła go mokrusieńkiego w drzwiach.

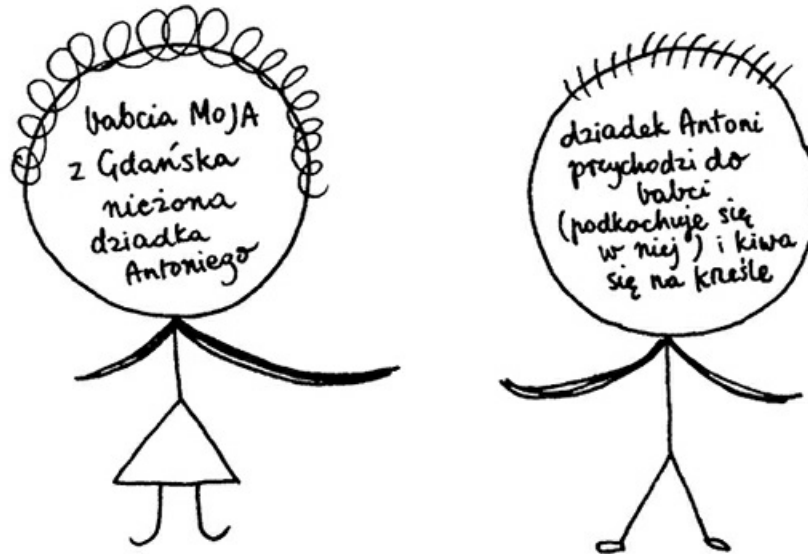
Dziadek Antoni, który nie był jej mężem, bo był ojcem mojego taty, spieszył się, ale wziął szlafrok, co miał robić.



Babcia każe, już proszek ixi wyciąga, dziadek Antoni, choć nie mąż, ale słucha. Przychodzi prawie codziennie do babci w odwiedziny, nawet jak mnie w Gdańsku nie ma, i kiwa się na krześle, pisze wierszyki, wypija kompot, zjada obiad i podkocha się w babci.

*Co za bzdury kompletne!, denerwuje się babcia.*

Zakochał się w babci po rozwodzie moich rodziców. Po tym rozwodzie przychodzi coraz częściej i częściej. Babcia pracuje już tylko na pół etatu, dziadek Antoni jest na wcześniejszej emeryturze i się goszcza. Dziadek pisze cioci Lali wierszyki o niej i o jej chłopaku na motorze, poza tym gra w karty z babcią i bardzo się denerwuje przed każdym polskim meczem. Kiwa się na krzesło tak bardzo, że łamie krzesło, i babcia nie wytrzymuje, bo jednak tyle razy mu mówiła, żeby się nie kiwał.



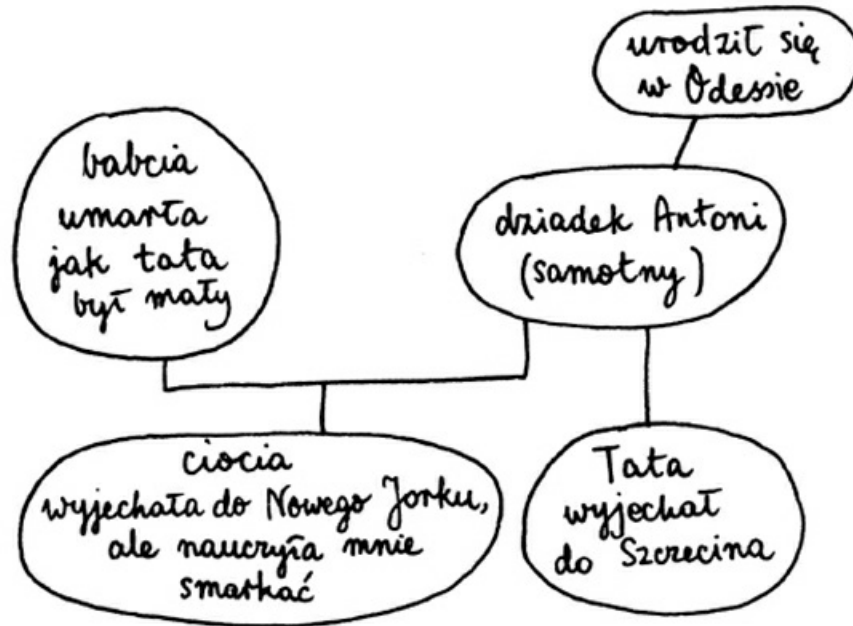
Dziadek Antoni jest swój. Babcia może na niego krzyczeć, gderać, kazać mu ściągać ubranie i wręczać szlafrok. W końcu dziadek Antoni to dziadek jej wnuczki, ojciec męża jej córki.

*No to co z tego, że po rozwodzie? Po rozwodzie cywilnym, nie kościelnym, więc o co chodzi? Kościelni są na zawsze sobie przypisani. A ty, dziecko, przysięgnij mi, że rozwodu nie weźmiesz, przysięgnij babci na wszystko! Przysięga rzecz święta. Nie chcę przysięgać. Przysięgam.*

Poza tym dziadek Antoni jest samotny, a samotnych i nieszczęśliwych ludzi babcia od zawsze gości i karmi. Dzieci dziadkowi Antoniemu się po świecie rozjechały. Córka pojechała do Nowego Jorku, syn do Szczecina, i dziadek Antoni został w swoim mieszkaniu w Gdańsku-Wrzeszczu sam. Córka co jakiś czas przysyła mu ze Stanów paczki z prezentami dla małej Dagmary. Dobra ta Ewa, ciocia Dagmary, córka Antoniego, pamięta o ojcu. W jednej z paczek jest dziesięć dolarów i Królowa Śnieżka w żółtej sukience i czarnym fartuszk. Ma czarne włosy, niebieskie oczy i koszyczek z jabłkami. Śnieżka jest piękniejsza niż mama i Elizabeth Taylor. Pamiętam dokładnie dzień, w którym spadła i rozbiła się na kawałki. Dziadek ją potem posklejał, ale to już była stara kobieta z twarzą pooraną bliznami. Żal było patrzeć.

Ciocia Ewa to siostra mojego taty. Zupełnie inna rodzina i w ogóle nawet nie ma co wspominać, bo takie skomplikowane jest to wszystko. W każdym razie mam babcię w Gdańsku, to mama mojej mamy, a dziadek Antoni to tata mojego taty. Wcale nie trzeba tego rozumieć ani pamiętać. Ważne jest tylko, że ciocia Ewa przed wyjazdem do Stanów nauczyła mnie smarkać.

Dzięki niej umiałam smarzać, a nawet charkać i pluć śliną dalej niż Bolek, który słygnął z plucia nawet u Palaczy. Ważne jest jeszcze jedno. Deszcz nad morzem pachnie inaczej. Nie wiem jak. Spalinami z żuka, klonem za oknem, mokrym słońcem.



*Nie rozumiem, dlaczego w tym drzewie piszesz, że dziadek urodził się w Odessie, skoro potem jest, że mieszkał we Lwowie, a później w Gdańsku? Pyta redaktorka. Piszę tak, bo urodził się w Odessie, a potem mieszkał we Lwowie i w Gdańsku. Jego matka, moja prababcia, też mieszkała we Lwowie, a potem w Gdańsku, odpowiadam. Redaktorka: dobra, dzięki, nie chcę tego wiedzieć.*

Wróćmy jednak do małpki.

Wykąpałam ją w poniemieckiej misce.

*Ta miska jest z pedetu!, denerwuje się babcia.*

Owinęłam małpkę w ręcznik i się suszymy. Deszcz przestał padać. Małpka leży na parapecie, okna otwarte, czerwiec, wakacje, ciepło, lato. Balkon. Małpka jest brzydka, koloru ziemistonijakiego. Teraz po kąpieli już będzie na zawsze: ty ze mną i ja z tobą.

dziadek  
Antoni

ja  
i matka

## *Katechizm polskiego dziecka*

– A teraz, dziecko złote, zobaczymy, czy zapamiętałaś najważniejszy wiersz Polaka – mówi dziadek Antoni. – Zaczynamy!

– Czekaj, dziadku, idę do pokoju obok powtórzyć, bo się boję, że zapomniałam.

– To idź, powtórz, dziecko!

– Tylko się nie gniewaj, jak coś przekręcę!

– Już czas najwyższy, żebyś to umiała bez przekręcania, ale się nie martw, będziemy ćwiczyć!

– Dobra, zaraz.

Wracam po kilku minutach i zaczynamy:

Kto ty jesteś? – Polak mały.

Jaki znak twój? – Orzeł biały.

Gdzie ty mieszkasz? – Między swemi.

W jakim kraju? – W polskiej ziemi.

Czym ta ziemia? – Mą ojczyzną.

Czym zdobyta? – Krwią i blizną.

Czy ją kochasz? – Kocham szczerze.

A w co wierzysz? – W Polskę wierzę.

Coś ty dla niej? – Wdzięczne dziecię.

Coś jej winien? – Oddać życie.

Pięknie, Dagisiu, pięknie. To teraz jeszcze wersja dla dziewczynek:

Kto ty jesteś? – Polka mała.

Jaki znak twój? – Lilia biała.

## „Bluszcz”

W mieszkaniu dziadka Antoniego jest piękny kaflowy piec, którego dziadek nie używa, bo ma już ogrzewanie centralne, a pieca nie da rozebrać, bo to zabytek. W pokoju stoi pianino, gramofon, kolekcja płyt: Bach, Wagner i Chopin, oraz kartony. W kartonach są wiersze, maszynopisy, notatniki i stare wydania „Bluszczu” i „Simplicissimusa”. Nie zdążę zapytać, skąd „Simplicissimus”, ale o „Bluszcz” zapytam.

– Bo tam babcia drukowała wiersze pod pseudonimem Tamara K. i to były, proszę ja ciebie, wiersze miłosne.



Serce mi staje i małpce też. Musi nam powiedzieć coś więcej o tym „Bluszczu”.

– Dla kogo pisała? – pytam.

– Co dla kogo?

– Te wiersze!

– Dla mnie!

Liczymy z małpką. Coś się nie zgadza, jestem bardzo słaba z matmy, ale liczyć umiem.

– Jeszcze się wtedy nie znaliście!

Dziadek podkręca wąsa.

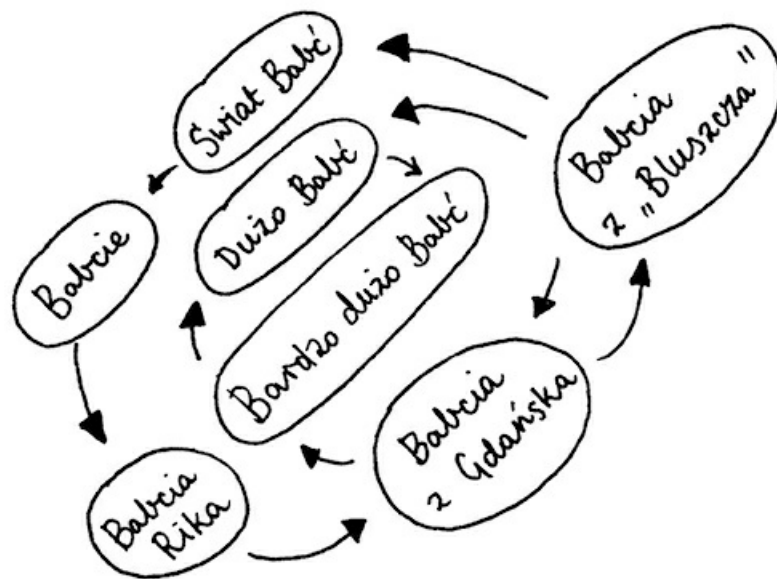
– Bo babcia to sobie twojego dziadka najpierw wymarzyła.

\* \* \*

– Ile można mieć babć? – pyta mnie moja córka.

No właśnie. Sama nie wiem.

Liczymy, prawdziwa babcia i babcia Rika. Dwie.



- To co ta za babcia, ta od „Bluszczu”?
- Inna babcia. Żona dziadka Antoniego.
- Znałaś ją?
- Nie.
- To dobrze, bobyś zaczęła o niej opowiadać.
- Babcia Rika ze Szczecina zawsze powtarzała, że *aller guter Dinge sind drei*.
- Tego się nie da przetłumaczyć.
- Nie da.





## *Gdzie ten pas?!*

– Pani Włazowska, pani Włazowska! – krzyczy sąsiadka. – Dagmara na garażach!

– Na garażach?! – Babcia wychyla się przez balkon.

Chodzę po garażu dumna jak paw, gwizdzę. Palacze skaczą pod garażem, rzucają kamieniami. Nie dam się przywiązać do Anny 1906 na Kościuszki, mowy nie ma. Położyłam sobie kocyk na garażu i leżę. Wyciągam pomiętaloną książkę z kieszeni.

– Gdzie ten pas, cholera jasna! – dobiega mnie z balkonu. – Gdzie ten pas?!

\* \* \*

Przecież nie ma życia bez dziadków. A jednak jest.

Życie bez babci w Gdańsku i dziadka Antoniego? Bez jego wierszy, bez jego powiedzonek, bez jego paczek na święta, bez babcinego: „Gdzie ten pas?! Kapcie włóż!”.

Rok 2015.

Bardzo chciałabym pojechać do Gdańska, zrobić kilka zdjęć. Przeżyć to jeszcze raz, zobaczyć. Dzwonię do syna cioci Lali i proszę, żeby sfotografował klatkę, podwórko, garaże.

– Słuchaj, tę mosiężną kulę z ganku u babci ukradli, ale mogę ci zrobić z klatki obok albo prześlę ci zdjęcie z ulicy Mariackiej. Tam masz prawdziwe, wielkie kamienne kule, a nie takie drobiazgi.

Chcę kulki, tej na ganku. Tylko tej.

## Antykwariat

Porcze balkonów w kamienicy dziadka Antoniego wyglądają tak samo jak te przy Champs-Élysées w Paryżu. Przed wojną połowę kamienicy zajmował lekarz z rodziną. Po wojnie mieszkanie podzielono. Dziadek mieszkał w dwóch pokojach z paryskim balkonem. Cztery duże okna i balkon wychodziły na ulicę niedaleko stacji i dziadek czasem siedział tam i czekał na mnie.

Vis-à-vis kamienicy dziadka jest antykwariat. Kupuję tam po latach wspomnienia Moniki Żeromskiej. Czytam w nich, że ona także, choć trzydzieści lat przede mną, często odwiedzała antykwariat niedaleko stacji. Czy to ten sam? Czy to ten mój? Sprawdzam. Okazuje się, że chodziła do antykwariatu, który mieścił się tuż obok. Antykwariat prowadził pan Krawczyński, Żeromska grzebała tam u niego na półkach, wspinała się po drabinkach, bunkrowała ukochane książki, żeby po kilku dniach wrócić po nie z gotówką. Czytam o tym z wypiekami na twarzy, a w końcu dosłownie staje mi serce. Monika Żeromska przytacza historię, jak znajduje jakąś książkę i wypada z niej karteczka, a na niej: „Już tu byłem. Julian Tuwim”.

Identyczną historię opowiadał mi kiedyś dziadek Antoni.

A historia jest taka: w antykwariacie u Krawczyńskiego dziadek wygrzebał przepięknie wydaną książkę po francusku. Krawczyński przywiózł ją jeszcze w roku 1945 ze Lwowa i jakimś cudem zachowała się u niego przez tych kilkanaście lat, wciśnięta gdzieś na tyłach półek, w dziale fizyki. Dziadek nie miał pieniędzy, odłożył sobie więc u pana Krawczyńskiego tę książkę i ruszył na miasto pożyczyć pieniądze. Przyszedł następnego dnia, książka już na niego czekała.

– Panie Antoni, pan nie mówi po francusku! – zauważył pan Krawczyński.

– Ale mówię po niemiecku!

W domu dziadek Antoni z wielkim wzruszeniem obejrzał książkę, kiedy nagle wypadła z niej jakaś karteczka, a na niej: „Już tu byłem. Julian Tuwim”.

Dziadek Antoni uznał to za przeznaczenie, los i zapisał się na prywatne lekcje francuskiego do niejkiej pani Rudolphi, która mieszkała niedaleko, na Grunwaldzkiej.

– I wyobraź sobie, że po trzech latach, począwszy od pierwszej lekcji, udało mi się tę książkę przeczytać!

– I co? I co? – dopytywałam się.

– Przekrytać i zrozumieć! Niestety, zawartość bardzo mnie rozczarowała.

Pani Rudolphi pocieszała go, że powinien być wdzięczny przeznaczeniu, bo dzięki temu nauczył się po francusku. Jednak dziadek bardzo długo gniewał się na tę książkę.

– Ale, dziadku, jak można gniewać się na książkę?

– Można!

O czym ta książka była, nigdy mi nie powiedział.

Na szczęście pani Rudolphi jakoś ukoła ten ból, pięknie grała na fortepianie. A dziadek kochał język francuski i pianistki.

To w kim on się w końcu kochał, w babci czy w pianistkach?

No co! Kochliwy był.

Tak więc ulica, przy której mieszkał dziadek, miała szczęście do antykwariatów. Pierwsza książka, jaką tam zakupiłam, była książką francuską, ale nie wypadła z niej żadna karteczka.

\* \* \*

– Jak chcesz, to pojedziemy do Gdańska i pójdziemy na strych – mówi tata.

– Na strych?

– Tak. Tam chyba jest jeszcze ta książka i w ogóle kartony po dziadku.

Znów kartony.

– To twoje kartony – zauważam.

– Chcesz herbaty?

Nie chcę.

– Pan Krawczyński to był niesamowity człowiek – mówi tata. – W Paryżu kierował Księgarnią Polską. Potem wrócił do Lwowa i kupił oficynę księgarsko-wydawniczą. No a w roku 1945 przywiózł ze Lwowa do Gdańska jedenaście ton najcenniejszych polskich książek antykwarycznych. I wiesz, oni się poznali jeszcze we Lwowie.

– Kto?

– Dziadek i on. No to jak... pojedziemy na ten strych. Chcesz?

– Nie.

*Nie chcę chodzić już po żadnych strychach. Nie chcę nic wiedzieć, nie chcę rekonstruować żadnych historii, ale widzę, że tata chce. I nagle rozumiem, że on się tam boi jechać sam, ale ja mam na razie dosyć kartonów. Mnie się już nic nie chce.*

– A dziadek tę książkę kupił, bo kiedy poznał babcię, babcia ją właśnie czytała i to była jej ulubiona książka.

– Czasem lepiej nie wydierać tajemnic za wszelką cenę – mówię w zamyśleniu i zaraz dodaję: – Jaka babcia?

– Moja mama!

– Ta od wierszy z „Bluszczu”?

– Ta sama.



\* \* \*

- Babcia to po niemiecku *Grossmutter* albo *Oma*.
- Po polsku babcia to babcia. Nie ma dwóch słów określających babcię.
- A po niemiecku są! – cieszy się babcia Rika. – *Grossmutter* to znaczy wielka matka, czyli babcia, a *Oma* to *Oma*. Rozumiesz?
- Nie.

*A pamiętasz?*

A pamiętasz ten wiersz dziadka?

1  
Oj Dadziu, Dadzieńko,  
Oj Dadziu, Dadziunia,  
Powiedz mi laleńko,  
Czy kochasz dziadziunia?

2  
Czy kochasz dziadziunia  
Jak kocha on ciebie,  
Ty moja laleńko,  
Gwiazdeczko na niebie.

– Nie, tato, proszę cię, nie cytuj tego, bo ten wiersz jest tylko mój. I strasznie głupio tu wygląda, tak jakoś byle jak.

– Zobacz, jakie dziadek miał piękne i wyraźne pismo, ja to już swoje wiersze pisałem na maszynie. Dziadek mówił, że jesteśmy romantykami, i dlatego całe życie mamy takie nieromantyczne. A to pamiętasz?

27  
O człeku załamany,  
Który wciąż nie masz czasu.  
Na duchu gdyś złamany,  
Natychmiast wejdz do lasu.

– Pamiętam. Każdą zwrotkę, a było ich chyba ze sto dwadzieścia. Sonety i wiersze o wózku, bardzo chciałam, żeby dziadek mi go kupił, rysunki i skecze powtarzane za Ireną Kwiatkowską o losie i przeznaczeniu, deklamowane przez dziadka wiersze Jurandota o pisarce traktorzystce. Wiem, jaką aktorkę dziadek lubił, a której nie znosił, i pamiętam jego akcent i jego „ł” i ulubiony kawał o „Antonim przy tablicy”. Pamiętam też awantury, kto napisał jakiś sonet, Asnyk czy Tetmajer, i że dziadek urodził się w Odessie i przyjechał do Gdańska, tak jak pan Krawczyński, w roku 1945. Wiem, że dziadek wybierał się na studia do Berlina w roku 1939, że kochał Goethego i pięknie mówił po niemiecku. Pamiętam pierwszy wiersz, który musiałam przed nim deklamować. Pamiętam, jak umierał w sanatorium dla gruźlików i że go nie poznałam, taki był chudy, i on też mnie już nie poznał. I że huśtał się na krześle u babci, i że suszył mi włosy, i że wszyscy, Klemens, ciocia Lala, wszyscy, go kochali. I że nie powiedział mi nikt, że umarł. I nie byłam na jego pogrzebie. I że dla niego studiowałam na uniwersytecie Humboldtów, za ten jego

los i przeznaczenie, i studia, na które nie dojechał. Wożę tę pamięć ze sobą tak jak niemiecką maselniczkę z Gdańska do Szczecina i ze Szczecina do Berlina, tato. I, proszę, nie czytaj mi tych wierszy.

## ROZDZIAŁ VII

*Quæ medicamenta non sanant, ferrum sanat;  
quæ ferrum non sanat, ignis sanat.*

HIPOKRATES

*(Czego nie leczą lekarstwa, lecz żelazo;  
czego nie leczy żelazo, leczy ogień).*

## Wyjazd

Rok 1984. Szczecin. Mam już dwanaście lat. Dwanaście i pół.

Tak jakby żał wyjeżdżać. Pakuję się powoli. Wiem, że nie wrócę, że wyjeżdżam na zawsze. Palę pamiętniki. Babcia Rika pyta, czy mi nie szkoda. Szkoda.

Mama już od kilku miesięcy jest w Berlinie. Nietata od dwóch lat. Nie zabrali nas ze sobą, bo tylko Marcin otrzymał paszport. Ja nie. Gdyby zabrali Marcina, wyglądałoby tak, że zabrali się i pojechali, a ja zostałam. Siostra półbrata została. Na to mama nie może pozwolić. Nikt nie będzie mówić, że zabrała dziecko z drugiego małżeństwa, a to z pierwszego zostawiła. Sprawiedliwość musi być. Zostajemy więc z Marcinem u dziadków w Szczecinie.

Chodzę co kilka dni do wielkiego urzędu z czerwonej cegły. Idę na to samo piętro, oczekuję swoje w długiej kolejce, która szybko mija, bo ludzie wchodzą do pokoju i po kilkunastu sekundach wychodzą. Wreszcie i ja wchodzę do dużego pokoju z okratowanymi oknami. Siadam na krześle. Przy biurku siedzi jak zwykle ten sam człowiek w wojskowym mundurze. Pyta, po co przyszłam. Odpowiadam, że po paszport. On, że paszportu nie ma. Prowadzimy tę rozmowę od dwóch miesięcy. Nie rozumiem więc, dlaczego za każdym razem boję się tu przychodzić. Dziś znów tu jestem, wszystko jak zawsze, poza tym, że pan w mundurze jest rozdrażniony i właśnie kopnął nogę od stołu, przy którym siedzę.

– Nie ma paszportu! – mówi, zanim zdążę o cokolwiek zapytać. Właściwie nie chcę, żeby był ten paszport, więc się nawet trochę cieszę.

Wychodzę. Nie spieszę się. Mam bardzo dużo czasu przed wyjazdem na zawsze. Chodzę, gdzie chcę, i robię, co chcę.

\* \* \*

Ciocia Lala i babcia przyjechały z Gdańska i wyprzedają przy pomocy cioci i wujka z Dąbia meblościanki, lampy, kanapy. Patrzą, jak znika to, do czego się już trochę przyzwyczaiłam. Nie żebym żałowała piętrowego łóżka czy meblościanki z Gorzowa, ale paru rzeczy szkoda. Proszę babcię, żeby zabrała fotel, ale babcia nie zabierze fotela, bo jak? Na plecach, pociągami? Pakujemy książki w kartony. Babcia i ciocia Lala obiecują, że będą je dowozić, każdą. Oczywiście tylko, jeśli dostaną paszporty.

Nie chodzę już prawie do szkoły. Po co chodzić na fizykę do Babińskiego? Po co uczyć się jeszcze języka polskiego na języku polskim? Zamiast do tramwaju, którym jeździłam do szkoły, wsiadam do autobusu i jadę do Dąbia, do znajomych mamy. Grają na gitarze i są tacy weseli. Mówię do nich wujku, ciociu. Chodzimy patrzeć, jak rosną pomidory i chryzantemy w ich tunelach. Czasem odwiedzam tatę, ale niechętnie, bo nie wierzy, że jadę tylko na kilka tygodni do Berlina. Dziadkowie nie pozwalają nikomu mówić, że to wyjazd na zawsze. Muszę oszukiwać nawet tatę. Oszukuję też siebie, że wrócę po świętach, najdalej po sylwestrze. Wiem nawet, w którym miejscu oszukuję tatę. Mama powiedziała mi przed wyjazdem, że wrócimy kiedyś do Polski. Ja też mówię tacie, że wrócę. Na Wałach Chrobrego tak mówię. Na spacerze. Tata jest bardzo poważny. Wydaje mi się, że drżą mu ręce, ale może to tylko od zimna.



Nie pamiętam, czy pożegnałam się z Mają i Agnieszką. Nic nie pamiętam. Dziura wielka.

\* \* \*

Kiedyś po latach, już na studiach w Niemczech, napiszę pracę o dzieciach z NRD, które wyjadą na zawsze do NRF-u. Zgłębiam psychikę młodych enerdownców, na kilkudziesięciu stronach stawiam tezy i podważam je, zastanawiam się, co się dzieje z dziecięcym mózgiem, gdy właściciel mózgu porzuca inne dziecięce mózgi i wyjeżdża na stałe. Za tę pracę otrzymuję nagrodę pieniężną i dyplom. Dziekan pyta, jakie miasto w NRD opuściłam. Mówię, że Gdańsk i Szczecin. Profesor pochodzi z Bochum. Powtarzam, że Danzig i Stettin. Nie jestem do końca pewna, czy on wie, że te miasta nie leżą w NRD. Profesor uśmiecha się i pyta, czy chciałabym zostać na uczelni. Nie chciałabym.

## Wielki jest Berlin

Przez granicę przewiózł Marcina i mnie pewien słynny filozof. Nowy znajomy mamy i nietaty z Berlina. O ile mnie pamięć nie myli, nazywał się Leszek. Pytam mamę, dlaczego musiał nas przewozić przez granicę akurat filozof. Czy to nie śmieszne? Mama mówi, że tylko Leszek ze wszystkich ich znajomych miał paszport konsularny. Nikt inny nie miał.

*Co to jest paszport konsularny?, pyta redaktorka.*

To było coś, o czym śnili po nocach Polacy, którzy wyjechali z Polski nielegalnie. Ktoś, kto miał paszport konsularny, mógł jeździć do Polski, kiedy chciał, i bez problemu mógł z Polski wracać. Według Wikipedii to dokument wydawany w czasach PRL-u obywatelom polskim, którzy mieszkali stale poza granicami Polski – tak zwany paszport konsularny książeczkowy, podobny do zwykłych polskich [paszportów](#), ale w czerwonej (nie w granatowej, jaką miały w tamtych czasach paszporty turystyczne) okładce. Posiadacz paszportu konsularnego, gdy chciał przyjechać do kraju, musiał za każdym razem starać się o [wizę](#) wjazdową (nie dotyczyło to tych posiadaczy paszportów konsularnych, którzy mieszkali w krajach [bloku wschodniego](#)).

Nie wiem, czy to do końca prawda. Kiedy wreszcie po kilku latach otrzymałam paszport konsularny, nie musiałam starać się o wizę wjazdową do Polski. Widocznie dla PRL-u Berlin Zachodni był częścią NRD i inaczej do tego podchodzono, a może w Wikipedii opisał to ktoś, kto nigdy tego paszportu nie miał.

Filozof Leszek przyjechał dużym zagranicznym samochodem na Żeromskiego 116/3 i udawał, że nic a nic się nie denerwuje. Dziadek Karol poklepywał maskę samochodu, oglądał opony, sprawdzał licznik i też udawał, że się nie denerwuje. Babcia Rika robiła kanapki i sprawdzała walizkę, czy zamknięta. Stałam w kuchni i patrzyłam przez okno na szare podwórko, bezlistne drzewa i w pewnym sensie odczuwałam ulgę, że to wszystko zaraz się skończy. W nocy przed wyjazdem zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam, jak wygląda nietata. Zastanawiałam się, o czym będę z nim rozmawiać i co on do mnie będzie mówił? Jak mam się do niego zwracać? Wyciągnęłam z kartonu atlas i przyświecając sobie latarką, oglądałam mapę Europy, patrzyłam na Berlin. Dziwnie poszatkowany, z czerwoną linią pośrodku. Trochę, ale tylko trochę zrobiło mi się lżej, gdy odkryłam, że ze Szczecina jest do Berlina bliżej niż do Gdańska. Europa nagle wydała mi się bardzo mała, tylko Berlin był wielki. Już czułam jego zapach.

Czas wychodzić. Ciocia i wujek z Dąbia przyjechali pożegnać się z nami. Postanowili, że podwiozą nas aż do samej granicy. Babcia płacze. Dziadek nie płacze, ale podkręca wąsa. Tak biednie jakoś wyglądają w kapciach zimą na ulicy, zatraskują im się drzwi, babcia szuka klucza, oddaje jej swój, już nie będzie mi potrzebny klucz na Żeromskiego. Chłapa, deszcz zamiast śniegu, ponura, nerwowa atmosfera, Szapiłłowa chowa się za firanką, wydaje mi się, że pokazuje coś ręką, chyba mi macha. Też jej pomacham. Klepię dziadka po plecach, dotykam policzkiem jego policzka, babcie Rikę całuję. Nie zauważa, zapina i rozpina kurtkę Marcina, że niby się zacięło, że gdzie czapka i gdzie rękawiczki. Marcin wyrywa się w końcu i ochoczo pakuje do samochodu cioci i wujka z Dąbia. Macha ręką babci i dziadkowi, mówi do nich: idź, baba, idź,

dziadzia!

Jedziemy. To już. Tak wygląda, kiedy się gdzieś jedzie na zawsze. Oglądam się za siebie tylko raz. Obraz stanął, zero wiatru, zero życia. Babcia, dziadek, drzewa, Żeromski.

Podskakujemy w fiacie dąbiaków jak na wyrzutni, jedziemy drogą, którą nazywamy hitlerówką. Pełną dziur, zapadnięć, wybudowaną jeszcze za czasów Hitlera. Filozof Leszek jedzie za nami. Jakies dziesięć minut przed granicą wujek zatrzymuje samochód na poboczu. Marcin i ja nie ruszamy się z miejsc. W końcu ciocia wysiada i otwiera tylne drzwiczki.

– Chyba będziemy się musieli już tu pożegnać. – Głos cioci, zazwyczaj wesoły, brzmi nienaturalnie obco.

– Już granica? – Nie mogę uwierzyć, że Polska tak szybko się kończy.

Ciocia kiwa głową.

Przełykam ślinę i spoglądam na brata. Bawi się małym samochodzikiem. Wujek wyciąga z bagażnika nasze dwie walizki. Dwie. *Eins. Zwei.*

– Marcin, teraz się przesiadamy do samochodu pana Leszka – mówię poważnym tonem. – Jedziemy do mamy. – Po namyśle dodaję: – I do taty.

Marcin wsadza samochodzik do kieszonki i spogląda mi ufnie w oczy.

W tej samej chwili podjeżdża błyszczący zagraniczny samochód pana Leszka. Wujek kaszle i wciska mi niedużą kopertę do futerka. Mam ją otworzyć dopiero za granicą.

– Gotowi? – pyta pan Leszek.

Ciocia przytuła nas do siebie.

– Nie zapomnijcie o nas!

Nie wypada to teatralnie. Łzy kapią na jej czerwony płaszcz. Nawet ich nie ociera.

– Nie zapomnijcie o nas! – wtóruje jej wujek.

Całują mnie w usta. Marcin przytuła się do mnie i zaczyna płakać „baba, baba!“. Głośno trzaska kłapa samochodu pana Leszka. Siadamy z tyłu, mocujemy się z pasami.

– Nie musicie zapinać!

Huśta się zielone zapachowe drzewko przy lusterku. Zbiera mi się na wymioty – pachnie jak w samochodzie nietaty. Ruszamy. Tym razem oglądam się za siebie, dopóki maleńkie figury cioci i wujka z Dąbia nie znikną. Jak to dobrze, że babcia w Gdańsku tak daleko i ciocia Lala też. Jak to dobrze, że mnie posłuchały i pojechały do Gdańska wcześniej i nie czekały na ten paszport ze mną. Po raz pierwszy pomyślałam, jak to dobrze, że dziadek Antoni umarł rok wcześniej. Nie będzie tęsknił za mną ani ja za nim. W myślach głaszczę małpkę po głowie. Leży spokojnie na dnie mojej walizki razem z *Anią z Zielonego Wzgórza*. Nawet nie zapytałam ich, czy chcą dokądś jechać.

– Ani słowa teraz, ani słowa! – powtarza pan Leszek, podjeżdżając do szarej budki na granicy.

*Mamo? Dlaczego on się tak denerwował? Bo paszport dostałaś od tego urzędnika w wojskowym mundurze. Przekupiliśmy go telewizorem Rubin i do końca nie było wiadomo, co i jak z tym paszportem, czy nie był fałszywy.*

Głośno więc tylko przełykam ślinę, kiedy człowiek z psem krzyczy nam w twarz: *Passkontrolle!* Marcin, zazwyczaj marudny, siedzi sztywno i patrzy przed siebie. Pan Leszek musi wysiąść z samochodu, otworzyć nasze walizki, a potem zjechać na bok. Stoimy długo. Marciniowi chce się siku. Musi wytrzymać. Wreszcie celnik podchodzi i pozwala nam odjechać.

Aż do kolejnej kontroli granicznej nikt z nas nie wypowiada ani słowa. Znów kolejka, granica, wysiadanie, walizki pokazać, zjechać na bok. Czekanie do nocy. Przejechaliśmy. Jesteśmy w Berlinie Zachodnim. Neony. Neony.

– Siusiu! Siusiu!

Wysiadamy. Powitamy Berlin sikaniem. Zamek w kurtce Marcina naprawdę się zacina, szarpie ten zamek, przeklinam siarczyście, wreszcie się udaje. Marcin oblewa sobie but, a mnie spodnie.

– Kulwa! – mówi cicho.

– Kurwa – powtarzam jak echo.

Zostawiamy żółty parujący ślad na eleganckim budynku. Mija nas jakiś człowiek z psem na smyczy i patrzy na nas podejrzliwie. Spoglądam do góry. Widzę nad sobą gryfa, jak ten ze Szczecina, tylko dziób jakby większy, i wielką złotą tablicę. Filozof twierdzi, że Marcin oblał właśnie Sąd Najwyższy. Odjeżdżamy. Potem myślę o tym miejscu i staram się je odszukać, ale nie ma, w całym Berlinie nie ma tego sądu z gryfem.

Jest już ciemno, gdy zajeżdżamy pod wysoką kamienicę koło Yorkstrasse. Posłusznie wdrapujemy się z Marcinem na drugie piętro za panem Leszkiem, filozofem. Wchodzimy do mieszkania ze sztukateriami na sufitach, wielkimi obrazami na ścianach, przesuwными drzwiami. Na stołach tulipany w okrągłych wazonach i świece. W pamiętniku zapiszę: Jak na ładnym pogrzebie.

To nie było mieszkanie moich rodziców. Postanowili nie witać nas w domu dla uchodźców, w którym wtedy mieszkali. Chcieli powitać nas godnie – w ładnym domu pana Leszka i jego eleganckiej żony.

Marcin niepewnie podchodzi do mamy. Na szczęście jej nie zapomniał. Z tatą jest już gorzej.

– To tatuś – mama wskazuje na nietatę palcem, starając się nie wybuchnąć płaczem.

Stoimy w dużych przesuwnych drzwiach, w tle szumi płyta z muzyką Leszka Długosza do wiersza Juliana Tuwima *Berlin 1913*:

Wielki, wielki jest Berlin.

Nie przyjdę. Idź. Nie spotkasz mnie.

Wielki, wielki jest Berlin.

– szepcze poeta.

## *Elvis*

Dopiero po tygodniu odkrywam w kieszeni futerka kopertę, zapomniałam o niej z tego wszystkiego. W środku jest 10 \$ tylko dla mnie i kartka od cioci i wujka z Dąbia, że mam sobie kupić coś niepotrzebnego w Berlinie, coś, co poprawi mi humor. Mam też jeszcze 10 \$ od dziadka Antoniego, których przez wszystkie te lata nie wydałam. Razem 20 \$. Czy Miłosz powiedziałby jeszcze, że jestem bogata?

Nietata i mama pokazują nam kolorową ulicę w Berlinie Zachodnim.

– Ku'damm!

Mama prosi, żebym powtórzyła.

– Ku'damm! – powtarzam posłusznie.

Nie podoba mi się. Gniece mnie w żołądku. Głośno, tyle kolorów, neonów, sklepów. Nikogo nie znam. Zresztą kogo miałabym znać? Marcin ściska mnie za rękę. Nietata prosi, żeby weszła z Marcinem na karuzelę dla dzieci. Jest przecież tak świątecznie i wesoło. Nie wejść na karuzelę, i tak kręci mi się już w głowie. Jak to będzie wyglądać? Dorosły człowiek na karuzeli!

– Dlaczego nie?

– Bo nie!

– Ależ ty jesteś uparta! – nietata mówi to cicho, ale patrzy na mnie takim wzrokiem, że gdzieś w środku się kulę. Jednak tylko na chwilę. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Czuję coś niepokojącego w gardle, jakąś wściekłość i nieposkromioną siłę. Już raz czułam coś podobnego. Nietata przyjechał z mamą i małym Marcinem na wakacje do Gdańska. Mieszkaliśmy jeszcze w Polsce. Nietata postanowił, że nie spędzę wakacji u babci, lecz z nimi. Rodzinnie. Wynajął dla rodziny, czyli dla nas, mały pokój blisko morza. Gdańsk z nietatą, mamą i Marcinem, bez babci. Gdańsk bez Gdańska. Morze bez morza. Parówki.

Na szczęście w Berlinie jestem już starsza. Nie będę w wieku trzynastu lat kręcić się na karuzeli na Kudammie nawet dla Marcina.

– Sam się przejedź! – mruczę.

– Co powiedziałaś?

Mama próbuje ratować sytuację. Chce wejść na karuzelę z Marcinem.

– Nie bądź śmieszna! – wścieka się nietata.

– Ale ty miły dzisiaj jesteś! – wścieka się też mama.

Wszystko naokoło kolorowe, kręci się i tańczy. Jest mi niedobrze. W drodze powrotnej nie odzywamy się do siebie. Nietata daje mi odczuć, że to ja psuję dobrą, rodzinną atmosferę. Mnie i tak wszystko jest obojętne...

– Coś mówiłaś?

Nic nie mówię, bo mi się nie chce. Berlin, wszędzie Berlin i wszędzie Niemcy, wszystko niemieckie, wesołe, zajęte swoimi sprawami, czymś obcym, nieznanym. Jest mi niedobrze i chce mi się wymiotować. Wszystko się kręci, jest głośno, kolorowo. Nienawidzę. Wszystkich nienawidzę.

Wracamy do domu dla uchodźców. Nietata ma mały granatowy samochód, mazdę. Prawie nie widać, że zardzewiała na spoilerach. Zamalowuje uszkodzone miejsca, przekonuje sam siebie, że niby od tego flamastra ustąpi korozja.

– Idźcie na górę – wydaje polecenie.

Mama jest zła na mnie, na siebie, na niego. Ciągnie Marcina za sobą i głośno stukają jej obcasy. Biedna, biedna mama. Nietata wyciąga flamaster i będzie tu po ciemku malował korozję. Jakie to wszystko śmieszne i niepoważne.

\* \* \*

Mieszkamy w jednym dużym pokoju z przepierzeniem. Na ścianie nasze zdjęcia. Za szafą niby pokój mój i Marcina, na łóżkach wstrętne koce. Zastanawiam się nad tą zamianą, chyba w Polsce było nam lepiej... Mama nie dostała w Berlinie karpia na wigilię i będzie jakaś inna ryba. Kto by się tym przejmował. Tata jest nie w humorze, bo bez karpia, mama się denerwuje i mówi mi, żeby się ruszył i pomógł. Rusza się. On się rzadko na mamę denerwuje.

Pod choinkę dostałam lalkę Barbie. Nie wiem, co mam z nią robić. Wszystko tutaj w tym mieście, w tym domu, na tych ulicach ma dziwny zapach, co to jest? Już wiem, zapach innej zimy, innego śniegu, lepszych spalin. Pachnie inaczej niż w Polsce. W radiu cały czas Tina Turner. Tina Turner – symbol Berlina w roku 1984. Długo Tinie tego nie wybaczę.

Wieczorem, już po wigilii, szukam w radiu polskojęzycznej stacji. Trochę szumi, ale wreszcie znajduję polskie radio.

– Wyłącz to! – denerwuje się nietata.

– Dlaczego?

– Tak się po niemiecku nie nauczysz.

– Jeszcze się przecież nie uczę.

– To zacznij.

To nie fair, jak mam się uczyć, nie chodzę nawet do szkoły, jestem tu dopiero tydzień. Mama jak zwykle stara się załagodzić sytuację. Mówi, że na dole jest duży kolorowy telewizor i leci *Przeminęło z wiatrem*. Marcin już śpi, więc ona i ja możemy zejść. Tata zostanie z Marcinem. Nie chce mi się nigdzie schodzić.

– To przecież twoja ulubiona książka.

– Nie, nie chcę. Znam tę książkę na pamięć.

– Ale filmu jeszcze nie widziałaś!

Zawsze marzyłam, żeby go zobaczyć, ale nie chcę schodzić na dół, wstydzę się. Nikogo tu nie znam, co zrobię, jeśli ktoś mnie o coś zapyta? Co odpowiem? Boję się. Wszystkich się boję. Dlaczego się boję? Nie mogę się bać. Potem o tym pomyślę, potem się zastanowię. Zejdę na dół i oglądnę, bo mama nie da mi spokoju. Sala telewizyjna prawie pusta. Siedzimy w pierwszym rzędzie, tylko mama i ja. Duży kolorowy telewizor. Nie rubin. Atlanta się pali. Scarlett ucieka. Melania wytrzeszcza oczy. Scarlett uderza konia pejczem i krzyczy.

– Rozumiesz coś? – pytam mamę. Jestem ciekawa, czy przez tych parę miesięcy nauczyła się już trochę po niemiecku.

– Tak się cieszę, córeczko, że jesteś! – to jej cała odpowiedź.

Mama wygląda inaczej niż w Polsce. Jest jakby trochę drobniejsza i chyba brzydsza, trochę

jak Melania, którą Scarlett wiezie przez Atlantę. Rano słyszę, jak na korytarzu do sąsiadów z pokoju obok mówi: *Good morning*.

\* \* \*

Idę na spacer z Marcinem. Mama mi kazała. Dopiero za pięć lat skończę osiemnaście lat i będę mogła decydować o sobie, ale wtedy i Marcin będzie już mógł wychodzić na dwór sam. Oglądam dzielnicę. Bogaty Berlin Zachodni też ma swoje brzydkie zakątki. Na Tempelhofer Ufer jest szaro i ciężko. Pośrodku ulicy kanał, nad nim wysoko wielki żelazny most, jeździ po nim kolejka, jest żółta, całkiem inna niż ta w Gdańsku. Brzydki, inny, zamożniejszy świat. Wymieniam pieniądze na pocztę i idę z Marcinem do dużego sklepu na rogu, który nazywa się Bilka. Za wymienione dolary kupuję kasetę Elvise. Wszystko w tym sklepie jest wielkie, można sobie ładować do koszyka, co się chce, tylko potem przy kasie trzeba zapłacić. Marcin jest tak przestraszony, że nie chce nawet małego dźwigu, który mogę mu kupić. Chce już tylko iść, płacze. Wieczorem pyta mnie cicho, kiedy wracamy do babci.

Nie mogę słuchać polskiego radia, trudno. Będę słuchała Elvise. Czytałam w „Panoramie” dziadka Karola, że Elvis też mieszkał w Niemczech Zachodnich. W Polsce powiesiłam sobie nad łóżkiem jego plakat. Ubrany był w czarną obcisłą skórę i miał dobre oczy. Gdybym była chłopcem, może nietata by mnie szanował. Nie wiem.

Kasety też nie powinnam słuchać, bo jest po angielsku, a nie po niemiecku. Nastawiam głośno polskie radio. Leci kolęda.

– Kolędy zabraniasz mi słuchać?

Mama się śmieje.

## Szkoła

Moja nowa szkoła nie przypomina z wyglądu szkoły, raczej duży pasażerski statek. Kolorowy, niesymetryczny, duży gmach z oddzielną salą gimnastyczną i przybudówkami, otoczony łąką. Dalej jest już tylko mur i NRD. Po oficjalnym zapisie córki do niemieckiej szkoły nietata rozgląda się wokoło i mówi: no, no, no! Przypomina mi dziadka Karola. Mama zadowolona, wszyscy zadowoleni, tylko ja nie. Nietata pyta jakiegoś przechodnia łamanym niemieckim, czy zrobi nam zdjęcie. Przechodzień pstryka parę zdjęć, tata kiwa głową, że *danke schön, vielen Dank, auf wiedersehen!* Przechodzień robi znak wolności i mówi na do widzenia: *Walensa okey!*

Na zdjęciu mama w kozaczkach na obcasach, zasmarkany Marcin w czapach i szalikach, ja w tureckim kożusku, w czerwonych botkach, bez czapki, i wreszcie nietata, wysoki, młody, lekko utuczony, z obowiązkowym wąsem Wałęsy. Jeszcze długo będziemy przypominać rodzinę z Polski.

\* \* \*

Duża przybudówka szkoły to jakby oddzielny organizm. Trzy klasy integracyjne dla przesiedleńców. Numer jeden dla początkujących, numer dwa dla średnio zaawansowanych i numer trzy dla tych, którzy niebawem przejdą do niemieckich klas. Wiek uczniów nie odgrywa żadnej roli. I tak wszystkich cofnie się potem o dwa lata.

Trafiam do klasy integracyjnej numer jeden. Klasa liczy około dwudziestu uczniów. Wychowawca, *Herr Borrmann*, każe mi siadać obok wielkiego chłopaka. Pan Borrmann też jest nowy w tej szkole. Pisze na tablicy swoje nazwisko i wodzi po naszych twarzach uważnym wzrokiem. Żadnej reakcji. Poza jednym Gruzinem i dwiema Czeszkami w klasie sami Polacy. Nikt nie zapamiętał Borrmanna z lekcji historii w Polsce, Czechosłowacji i Związku Radzieckim. Jeszcze żeby Himmler albo jakiś Goebbels, ale Borrmann dopiero za jakiś czas wypłynie tu w Niemczech na lekcji. Na wszelki wypadek co jakiś czas powtarza, że jego nazwisko pisze się przez dwa r i on nie ma nic wspólnego *mit dem Bormann, co...* Tu następuje przerwa. Przyjdzie czas, to się dowiecie. Tak mówi później, gdy już go rozumiem; co mówi na pierwszej lekcji – nie wiem.

Mój sąsiad z lewej co chwila szeleści papierem śniadaniowym i podgryza bułkę ze śmierdzącym pasztetem. Nazywa się Hermann. Pochodzi ze Śląska. Naprawdę nazywa się Kamil, ale po przyjeździe do Niemiec przekwalifikował się na Hermanna. Ławka jest długa, mój drugi sąsiad, po prawej, to Tomek z Elbląga. Śmierdzi potem, alkoholem i szczykami. Ma piętnaście lat i któregoś dnia zwymiotuje na lekcji. Reszta klasy jest w miarę normalna. Myślę, że kto tylko potrafi dogadać się z nauczycielami, prosi, aby go koło tej dwójki nie sadzać.

Obserwuję klasę i nudzę się niemiłosiernie. Wszystko się zmienia, gdy do klasy wpada pani Broschke, energiczna Rosjanka, która mówi po niemiecku tak, że cały czas myślę, że krzyczy po rosyjsku jakiegoś niezrozumiałe niemieckie wyrazy.

– *Wie heisst du?*

Na to pytanie akurat jestem w stanie odpowiedzieć.



– Dagmara!

– *Wie alt bist du?*

Cholera, jak to było po niemiecku...

– *Dreizehn.*

– *Falsch! Dreizehn Jahre alt. Wiederhole nochmal!*

Kurde felek, normalnie jak na apelu w Szczecinie, tyle że po niemiecku. Jakaś dziewczynka z tyłu szturcha mnie i mówi po polsku: powtórz to, co ona mówi, bo będziesz miała problemy.

– *Falsch! Dreizehn Jahre alt. Wiederhole nochmal!* – powtarzam grzecznie.

Broschke pyta, czy sobie z niej żarty stroję, ale Hermann mówi jej, że ja nic a nic po niemiecku nie rozumiem. Broschke informuje mnie, że będzie mnie obserwować.

– Siadać! Cicho siedzieć! Nie przeszkadzać!

Wyciąga z teczki kartkę ze słówkami. Mam się tego do jutra nauczyć:

*Ich heiße... du heißt, er/sie/es heißt... wir heißen.*

*Das Haus, das Mädchen, der Junge, der Tisch, die Lampe, der Kugelschreiber.*

I tak dalej.

## Szczęście

Po trzech miesiącach wyprowadzamy się z domu dla uchodźców. Mama mówi, że mamy wielkie szczęście. Zamieszkamy na osiedlu, w wieżowcu na trzecim piętrze. Nic a nic nie podoba mi się ten wieżowiec i to osiedle, jest brudne jak węgiel, w ogóle nie zachodnie, ale nietata i mama twierdzą, że tu przy murze jest zdrowsze powietrze. Za naszymi oknami mur berliński, a za nim pola, łąki, teraz całkiem przykryte śniegiem. Ta zima w Berlinie nigdy się nie skończy.

Przeprowadzka składa się z pięciu kartonów. Książki i naczynia kuchenne, śpimy na materacach, jest jak na koloniach, nawet fajnie. Nietata tapetuje dniami i nocami, froteruje, maluje, kładzie kafelki. Po kilku tygodniach od przeprowadzki składa meble z Ikei, myje okna. Ja myję łazienkę, ubikację, mama odkurza, Marcin płąta się nam pod nogami. U nas jest zawsze wielkie sprzątanie, w sobotę największe. A teraz nawet w niedzielę i w poniedziałek, bo dziadkowie ze Szczecina przyjeżdżają. Starym ludziom w Polsce daje się paszporty. Może babcia z Gdańska też kiedyś do nas przyjedzie? Nietata urządził mój pokój. Nie mogę do ścian przypinać plakatów z „Bravo”, bo porobię dziury. W pamiętniku notuję, że nienawidzę sobót, łazienek, ubikacji i swojego pokoju.

– Co to jest?

– Plakat!

– Mówiłem ci!

– To mój pokój!

W nocy śni mi się jakieś drzewo. Dużo drzew. To chyba Gdańsk. Nie, nie Gdańsk. Co to za drzewa? Chyba drzewa z parku Kasprowicza. Nie chcę, żeby mi się w Berlinie śnił Szczecin. Nie będę tęskniła przecież za Szczecinem, ale to nie ja decyduję, lecz sen. Potem jadę rowerem w tym śnie przez Dąbie do cioci i wujka. Dojeżdżam, już dojeżdżam, i wtedy sen się kończy. Wolę Gdańsk. Poproszę o sen z Gdańska. Może być Żuraw, tam, gdzie mieszkał aktor Cybulski, albo moja ulubiona brama na Starówce. Tylko nie Wrzeszcz i nie ulica Grażyny.

\* \* \*

Czekamy na dziadków. Nietata pojechał metrem na Friedrichstrasse. Szukali się. Wreszcie znaleźli się pod budką Intershopu z papierosami i winem.

Mama, Marcin i ja niecierpliwie czekamy na nich w domu. Nie wiemy, że się szukają, nie ma jeszcze bezprzewodowych telefonów, komórek, tabletów i internetu. Gdzie oni są? Wreszcie dzwonek. Wreszcie są! Przyjechali! To trochę tak, jakby Szczecin przyjechał do Berlina. Nie myślałam, że będę się kiedyś cieszyć na przyjazd dziadka Karola, ale on już przed moim wyjazdem do Niemiec był miły i nawet pozwalał mi odrabiać lekcje przy swoim biurku. Tylko że ja lekcji do odrabiania już nie miałam.

Babcia przywiozła mi grubą teczkę dokumentów ze szkoły. Taka gruba teczka o mnie. O Boże! Są też świadectwa. Także to z ostatniego półrocza. Patrzą i nie wierzą. Wszyscy nauczyciele obniżyli mi oceny o jeden stopień, z zachowania mam ocenę poprawną. Jak to

możliwe, że zawsze miałam wzorowe, a teraz aż tak upadłam? To prawda, że nie chodziłam w ostatnich tygodniach do szkoły, ale przecież w szkole nie wiedzieli, czy jestem jeszcze w Szczecinie, czy już w Berlinie. To można takie rzeczy robić, po prostu z polskiego postawić mi czwórkę? Z historii trójkę i WF-u trójkę? Dziadek tłumaczy mi, że zrobiono to dyscyplinarnie, bo wyjechałam z Polski na stałe. Ale przecież ten wyjazd nie ma nic wspólnego ze szkołą? Nie rozumiem, nie potrafię zrozumieć tych trójek. Dziadek mnie uspokaja, że przecież wszyscy wiedzą, że jestem dobrą uczennicą i nie ma się co martwić. Tylko jak takie świadectwo pokazać w niemieckiej szkole Borrmannowi i Broschke? Oni już we mnie wierzą, stawiają mi dobre stopnie. Siedzimy przy stole, jemy obiad na czarnych talerzach z Ikei, wszystko jest wystawne, eleganckie. Kieliszki, karafki, sztucze wypolerowane, butelka wina na stole, świeży sok wyciśnięty z pomarańczy, a nie jakiś tam kompot. Nie będę płakała. Rozmawiamy o innych sprawach. Nietacie nie chcą przyznać papierów niemieckich, i to naprawdę jest największy kłopot, a nie to, co za nami daleko w Polsce.

– Czy pozwoliłem ci wstać?

– Już skończyłam!

– Jeszcze masz coś na talerzu!

– Nie jestem głodna.

– Mhm. – Mama kręci się na krześle.

– Niech dziecko idzie do swoich spraw – odzywa się dziadek Karol.

Zabieram teczkę z dokumentami do swojego pokoju, ile ważyłam w pierwszej klasie, ile w drugiej, ile urosłam, na co byłam szczepiona, co myśli o mnie pedagog Dzika, gdy podstawiam nodze Baśce, oglądam świadectwa z czerwonym paskiem. Kto by tam płakał nad takimi teczkami? Ja na pewno nie, nawet mama mówiła ostatnio babci z Gdańska przez telefon, że Dagmara jest twarda i nigdy nie płacze.

Nietata i mama tłumaczą dziadkom, że są kłopoty z tymi niemieckimi papierami.

– Nic się nie martw. – Babcia Rika klepie młodszego syna, pół-Niemca, po plecach. – Ja ci pomogę!

Babcia pójdzie do urzędu z nietatą, żeby pomóc mu w otrzymaniu niemieckich papierów. Urodziła się w Hamburgu, jest Niemką, problemów nie będzie.

\* \* \*

Oglądam jakiś film w telewizji. Babcia Rika pyta mnie, czy rozumiem, o czym jest. Wzruszam ramionami. To trudny film, ciężko go opowiedzieć.

– A o czym mówią? – wtrąca się dziadek.

– Że nakarmili gołębie, założą im obróżki i będą czekać, czy w przyszłym roku znów przylecą.

Babcia Rika i dziadek Karol kiwają z uznaniem głowami. Dzieciom to dobrze. Najszybciej się przyzwyczajają.

Marcin nie chce wychodzić na dwór, nie chce chodzić do przedszkola. Boi się dzieci, których nie rozumie i które jego nie rozumieją. Kroi się nam serce, gdy go tam rano zaprowadzamy. Gdy przyjeżdżają dziadkowie ze Szczecina, Marcin pyta ich, czy przyjechali, żeby go zabrać. Jak to możliwe, że ich nie zapomniał?, dziwi się mama.

## W urzędzie

- Nie rozumiem, o co pani chodzi!
- Chcę pomóc synowi.
- W czym?
- W otrzymaniu niemieckiego dowodu.
- To niemożliwe.
- Jestem Niemką!
- Niemką?
- Niemką urodzoną w Hamburgu!
- Proszę pani, proszę tu nie podnosić głosu! Pani nie jest Niemką. Straciła pani obywatelstwo w momencie, gdy wyjechała pani do Polski.
- Do Polski? Jak do Polski? To był Stettin!
- Stettin – potwierdza szyderczo urzędnik. – Opuściła pani Niemcy w 1945 roku.
- Rika słabnie. Ktoś przynosi jej wody.
- Jestem Niemką – powtarza cicho.
- To gdzie pani dowód? Zameldowanie?
- Rika stuka palcem w dokument wystawiony przez amerykańską urzędniczkę UNRRA w obozie.
- Co mi tu pani stuka! Jakieś papiery po angielsku pokazuje!
- Rika wyciąga zaświadczenia, które już wcześniej pokazywała.
- Tu jest tylko, że pani urodziła się w Hamburgu. Nic więcej.
- Co to znaczy?!
- To, co powiedziałem.
- Mój ojciec zarządzał cegielnią w Hamburgu! Siostra bliźniaczka mieszka w Hamburgu!
- To gdzie papiery siostry i rodziny?
- Nadejdą niebawem!
- Urzędnik drapie się po głowie.
- Wtedy zobaczymy, ale nie sądzę, że to wiele zmieni. Nie jest pani Niemką. Straciła pani obywatelstwo.
- Jak to straciłam?
- Wyjechała pani przed rokiem 1945 z własnej woli, z własnej winy!
- Z winy? Własnej?
- Mogę tylko powtórzyć, według prawa niemieckiego nie jest pani Niemką.
- Nie? Nie jestem?
- Nie.
- To kim ja jestem? – pyta babcia.
- A skąd ja mam to wiedzieć?

## Paszport

Rok 2015.

Moja córka pyta, czy dostałam ten paszport konsularny i czy go jeszcze mam, bo chciałyby zobaczyć, jak taki paszport wygląda. Gdzie on się podział? Gdzieś był.

\* \* \*

W roku 1986, kiedy już od dwóch lat mieszkam w Niemczech, po pisaniu podań, odwołań, kilku odmowach, otrzymuję wreszcie paszport konsularny. W Misji Wojskowej płacę za niego 150 marek zachodnich i już nie jestem wrogiem PRL-u, jestem obywatelką Polski, mam znów jakiś status. Wszystko dlatego, że po którejś tam odmowie dziadek Karol podczas odwiedzin u nas w Berlinie stwierdził, że dość tych formalności. Trzeba napisać podanie jak człowiek.

- Napisz, jakbyś pisała list do dobrej koleżanki.
- Do koleżanki?
- Wytłumacz, dlaczego chcesz dostać ten paszport.
- Ale co, prawdę mam pisać?
- Tylko prawdę. Nawet na bandytów prawda działa.

Piszę więc łzawy list, w którym donoszę nowej koleżance, władzom paszportowym PRL-u, że Kocham Polskę i tęsknię i że śni mi się drzewo po nocach. A konkretnie biały bez w Gdańsku-Wrzeszczu pod balkonem babci, i że mam wielkie plany, jak będę pełnoletnia, i że...

- Ten bez to może wykreśl.
- No ale sam mówiłeś, że...
- O bzie to możesz napisać do przyjaciółki, a to tylko koleżanka.

Koleżanka po dwóch latach wystawiła paszport.

Mam piętnaście lat i mam paszport, tylko ja go mam. Nietata nie ma, mama nie ma, brat nie ma, ja mam. Tydzień później stoję w kolejce w dużej hali, nazywanej potocznie Pałacem Łez, i przechodzę przez berlińską granicę na Friedrichstrasse.

*Byłam tam niedawno. Na zewnątrz wygląda tak samo, tyle że to już jedynie muzeum. Nic się nie zmieniło. W kantorku przypominającym meblościankę z Gorzowa nie ma już celnika, wisi za to jego mundur, guziki błyszczą jak wypolerowane sztuce u nietaty w kuchennej szufladzie. Wzięło mnie w tym muzeum na rzygi, wychodzę, ale przed wyjściem biorę broszurkę w języku polskim, żeby nie zapomnieć, że „dzień powszedni w podzielonych Niemczech” to historia.*

W roku 1986 mundur wisi na chudym celniku, guziki nie błyszczą. Zza meblościanki, do której ledwo sięgam, widzę tylko rdzawy krawat, guzik i bladą twarz chudego celnika. Chudy celnik pyta, po co idę do Berlina, chciałabym powiedzieć, że przecież jestem w Berlinie, ale oni tu po tej stronie mają tylko jeden Berlin. Stolicę NRD. Tłumaczę więc, że jadę do Polski, a pociąg do Szczecina odchodzi z dworca Lichtenberg. W Berlinie Wschodnim. Przerzywa mi, nie ma Berlina Wschodniego, jest tylko stolica Berlin.

- *Hauptstadt!* Czy zrozumiała?

– Zrozumiała!

Patrzy na mnie, ja na niego, patrzymy sobie.

– Niech idzie! – Wreszcie wbija pieczętkę do nowego, świeżutkiego paszportu.

Idę przed siebie na miękkich nogach, z ciężką torbą (prezenty), po jakichś schodach, kupuję jakiś bilet i szukam peronu, z którego odjeżdża kolejka w kierunku Mahlsdorfu. Stoję na tym dworcu w *Hauptstadt*, stoję. Wszyscy tutaj jacyś czarni, zamazani, cisi. Czarno-biały film. Zanim wsiądę, martwię się, że kolejka się nie przebije przez mgłę w stolicy Berlin, nie nadjedzie, że dworzec, z którego odjeżdżają pociągi do Polski, spłonie, wybuchnie, zapadnie się pod ziemię, ja zgubię bilet, pociąg się wykolei. Przyjechał, piszczy. Jedziemy. Niech sobie ta kolejka na stację końcową Mahlsdorf jedzie, ja wsiądę wcześniej, jak nie zemdleję, bo tu duszno i śmierdzi, i ludzie jacyś tacy. Jedziemy. I jedziemy. Stacja Lichtenberg jest tak daleko, jakbym miała już połowę drogi za sobą. Pociąg do Szczecina odjeżdża chyba o 16.00 albo jakoś tak, może o 17.00. Jestem o wiele za wcześnie.

– Zawsze byłeś tam o kilka godzin wcześniej – mówi nietata.

– Skąd wiesz?

– Wychodziłaś z domu już rano, o 10.00.

– Pamiętasz takie rzeczy?

– Pamiętasz, nie pamiętasz. W soboty jeździłaś, nigdy nie wymyślaś łazienek i nie poodkurzałaś. Sam musiałem myć.

*To już tyle lat. Śmiejemy się nieszczerze.*

## Akkusativ

1985 rok. Bardzo, bardzo długo tłumaczę Borrmannowi, że nie umiem jeszcze na tyle po niemiecku, aby przejść do niemieckiej klasy. Żeby to sobie przemyślał.

– A co ty nagle taka skromna jesteś? – pyta z niekłamanym zdziwieniem.

Po niemiecku brzmiało to tak: *Was bist du auf einmal so bescheiden?*

Nie do końca rozumiem, co znaczy *bescheiden*, ale się domyślam. Przez chwilę zastanawiam się, czy przyznać się, że sfałszowałam polskie świadectwo i wszędzie, gdzie było napisane „dobry”, dostawiłam literę b. Wyszło b. dobry, czyli bardzo dobry. Zaniosłyśmy to z mamą do niemieckiego notariusza. Oczywiście mama o tym fałszerstwie nie wiedziała, oddawałyśmy mnóstwo papierów, akty urodzenia moje, Marcina, jej i nietaty, ich zaświadczenia z pracy. Nie zauważyła, że ma w domu fałszerkę.

Czy powiedzieć o tym Borrmannowi? Ale jak jest „fałszerstwo” po niemiecku? Nie wiem. Czy się przyznać? Też nie wiem. W życiu jeszcze niczego nie sfałszowałam, poza tym jednym świadectwem. Taki wstyd będzie. Poza tym nawet jak powiem o tym Borrmannowi, to czy go to przekona? A może powiedzieć mu zwyczajnie prawdę, że się boję, że tak się boję jak... szukam porównania, nie przychodzi mi do głowy nic po polsku, więc po niemiecku też nie przyjdzie. No boję się, po prostu boję się niemieckiej klasy, nowego niemieckiego wychowawcy, prawdziwych lekcji po niemiecku.

- Nie chcę iść! Nie nadaję się.
- Nie przesadzaj!
- Nie przesadzam!
- Pójdiesz po feriach wielkanocnych.
- Po feriach?! Nie ma mowy.
- Już postanowione.
- Bardzo pana proszę, bardzo, bardzo.

\* \* \*

Tajemnica języka niemieckiego leży w *Akkusativie* i *Dativie*. Zrozumiałam to dzięki Broschke. Ta niesamowita, drobna i bardzo głośna osoba nauczyła mnie mówić po niemiecku. Pamiętam, że pierwszą jedynekę, czyli polską szóstkę, otrzymałam za klasówkę właśnie u niej. Potem już szybko poszło. Kupiłam sobie jakąś prostą książkę w kiosku, najprostszą na świecie, sto stron o miłości, i śledziłam zdanie po zdaniu, jak z rodzajnika *die* robi się rodzajnik *der*. To było takie proste! Jak jest *Akkusativ*, to jest *in die Stube*, a jak *Dativ*, to *in der Stube*. Jeszcze raz, w przypadku *Nominativ* mamy *die Liebe*, ale jak w *Dativie* to *in der Liebe*.

– No dobrze – mówi nietata – ale dlaczego Niemcy mówią czasem *in Liebe*, w ogóle nie używając rodzajnika?

- A to już na słuch trzeba!
- Na słuch?

– Tak – potwierdza babcia Rika, która jest z dziadkiem u nas już prawie miesiąc i ani myśli wyjechać. – Czasem rodzajnik przeszkadza, ale to się słyszy, zobaczysz kiedyś i zrozumiesz.

– Kiedy?

Wzruszamy z babcią ramionami. Kiedy? Kiedyś. *Irgendwann*.

Długo próbowałam wytłumaczyć tajniki gramatyki niemieckiej nietacie i mamie, ale oni byli głusi na *Akkusativ*. Babcia próbowała rozmawiać z Marcinem po niemiecku, ale jak tylko zaczynała mówić, Marcin krzyczał: spokój! Nadal nie chciał chodzić do przedszkola. Dziadek Karol chciał na święta wracać do Szczecina, ale babcia Rika jeszcze tu swoich spraw nie załatwiła.

– Szczecin nam nie ucieknie – powiedziała do dziadka Karola, wkładając kalosze, bo deszcz padał, a ona szła na pocztę wysłać swój kolejny list do Gerdy.

\* \* \*

Święta minęły o wiele za szybko. Dobrze, że jeszcze są ferie. Aż dziesięć dni wolnego. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa. Dwa dni. Jeden dzień. Budzik niepotrzebnie dzwoni, i tak nie spałam całą noc. Siedzę przy biurku i czekam. Wsiadam do metra, do autobusu, znów się przesiadam. Do szkoły mam daleko, ale i tak jestem pół godziny przed pierwszym dzwonkiem. Czekam na Borrmanna przed klasą. O najgorszej sprawie Borrmann mówi mi dopiero dzisiaj! Zdecydowali z panią Broschke, że przeskoczę jedną klasę. To jest ta niespodzianka, wszystko omówili już z moimi rodzicami, z moją babcią i dziadkiem.

– Wspaniałą masz babcię – gratuluje mi Borrmann babci.

Do cholery z babcią! Czuję, jak uginają się pode mną kolana. To jest kara za to fałszerstwo i za Matkę Boską, już wiem o tym. Przeskoczyłam jedną klasę. To jest tak straszne, że do końca szkoły się nie pozbieram. Mówię Borrmannowi, że im się tylko wydaje, mówię, że ja sobie nie poradzę, mówię, że się boję, boję się i nie dam rady.

– Idź już, dziecko – mówi Broschke i uśmiecha się serdecznie. – Nie przynoś wstydu starej Broschke!

O ile to możliwe, czuję się jeszcze gorzej.

Idę długim, niekończącym się korytarzem za panem Borrmannem. Stajemy przed nową klasą. Klasa znajduje się niedaleko sekretariatu. Wydaje mi się, że naprawdę dopiero dzisiaj przyjechałam do Niemiec. Tutaj niedawno zapisywałam się do szkoły, to jakby wczoraj, a tak dawno, sto lat temu. Na korytarzach koło niemieckich klas jest głośniejsze, straszniejsze i tłoczniejsze. Ten tłum to uczniowie z mojej nowej klasy, nie patrzę na nikogo, widzę wszędzie buty, jedynie buty. Tylko raz spoglądam do góry, na czyjaś twarz. To mój nowy wychowawca, podaje mi właśnie rękę, jest nauczycielem matematyki i słyszał od *Herr* Borrmanna, że bardzo sobie dobrze z matematyką radzę. Jakie śmieszne byłoby to wszystko, gdyby nie było takie straszne.

Pan od matematyki przedstawia mi jeszcze nauczycielce niemieckiego. To wychowawczynie. W niemieckich klasach jest zawsze dwoje wychowawców. Pani jest blada, surowa, wysoka. Stoję pod tablicą i nie patrzę na nikogo. Wychowawca pyta, czy znajdzie się gdzieś jeszcze wolne miejsce. Nikt się nie zgłasza. Czuję się jak trędowata, jestem trędowata. W końcu wychowawca sadza mnie koło dziewczynki na wózku inwalidzkim, a jak zdążyłam się zorientować, to jedyne wolne miejsce w klasie. Najwyraźniej nikt nie chciał siedzieć koło tej dziewczynki. U nas w Szczecinie koło Rafała, który miał zajęczą wargę, też nikt nie chciał



siedzieć. Rozglądam się po uczniach, niektórzy patrzą na mnie z zaciekawieniem, ale przeważają szydercze uśmiechy, wywalone języki. Nie szkodzi, najważniejsze, że już gdzieś siedzę.

\* \* \*

Babcia codziennie rano czeka na listonosza. Już się nawet z nim zaprzyjaźniła, ale list od jej siostry Gerdy z Hamburga nie nadchodzi. Do tej pory odezwała się tylko córka Gerdy, Karolina. Babcia chodzi z listem i pokazuje go mamie, dziadkowi, nietacie i mnie, ale tylko z daleka.

– Pokaż, babciu, ten list – proszę.

Babcia udaje, że nie słyszy.

Co za dobra dziewczyna, ta Karolina, cieszy się babcia. Ona nam pomoże!

Podobno Karolina obiecuje, że spróbuje załatwić jakieś papiery, ale niczego więcej obiecać nie może. Nie, nie może przyjechać do Berlina. Pozdrowia serdecznie i w załatwianiu niemieckich papierów życzy jej synowi i jego rodzinie szczęścia.

Dziwny ten list.

Babcia Rika ma pod oczami czarne wory, wygląda bardzo źle. Nie leży, jak kiedyś w Szczecinie, na kanapie, nic z tych rzeczy. Odprowadza rano Marcina do przedszkola, przyprowadza go z przedszkola. Pomaga mamie w kuchni i codziennie powtarza, że wszystko się ułoży i że gdyby się tak człowiek wszystkim przejmował, toby umarł od razu.

## Schiller

Niedaleko muru jest usypana z gruzowisk góra. Długo nie mogę zrozumieć, jak można usypać górę z berlińskich gruzowisk. Mama mówi, że w Warszawie też jest kilka takich gór. Teraz rozumiem. Góra ze starych berlińskich przedwojennych domów. Wciąż myślę, co w tej górze konkretnie jest. Żelazka? Lampy? Zabawki? Domki dla lalek? Jeżdżę wokół tej niemieckiej góry na rowerze. Zarosła krzakami, drzewkami. Jak takie drzewo wyrasta na żelazkach i meblach, czym się żywi? Metalem? Starym Berlinem? Patrzą na dzikie kwiaty, na dzikie borówki, co jest w nich w środku? Macham do enerdowskich strażników w wieżyczkach przy murze. Udaję, że do nich strzelam, potem szybko się chowam za drzewem. Za którymś razem jeden z żołnierzy kieruje broń w moją stronę. Jadę tak szybko do domu, że gubię sweter.

Bez roweru nie potrafię żyć. Mam na osiedlu tylko jednego kolegę, Maxa. Max pochodzi z NRD i do Berlina Zachodniego przyleciał porwanym samolotem, ale nie chce o tym opowiadać. Szalejemy na rowerach, jeździmy po okolicy i czasem się zastanawiam, czy nasz sąsiad z naprzeciwka, stary Niemiec, wie o tej okolicy tyle co ja i Max. Wiemy, gdzie są stare działki, nieczynne zajezdnie kolejowe, tory, po których od wybudowania muru nie jeździł żaden pociąg, składy żelastwa i miejsca, jak nie w Berlinie, gdzie można dotrzeć tylko rowerem. Niedaleko muru odkryliśmy ruiny, w których mieszkają pijacy, mówią w jakimś języku, który trochę rozumiem, ale to nie jest rosyjski ani czeski, jeszcze nie słyszałam takiej mowy. Urządzają tam walki kogutów na pieniądze. Chowamy się z Maxem w krzakach i zakładamy się między sobą, już dwa razy wygrał mój kogut. Ale po jakimś czasie Max mówi, że oszukuję jak wszyscy Polacy, i się kłócimy. Mnie jeszcze brakuje słów, żeby się z Maxem pokłócić tak z całej siły jak w Szczecinie z Marianem, ale idzie mi już z dnia na dzień coraz lepiej. Max mówi, że ten samolot, którym tu przyleciał, porwali Polacy. Mamy siebie dość. Będziemy się wciąż kłócić i godzić.

Gdzieś za tymi ruinami, na opuszczonej działce mieszka w przyczepie bardzo stary pan, gra sam ze sobą w szachy, sam ze sobą rozmawia i na nikogo nie zwraca uwagi. Lubię tam chodzić. Kiedy już lepiej rozumiem po niemiecku, domyślam się, że on recytuje jakiś bardzo długi wiersz. Wciąż występują w nim te same osoby: Franciszek, Karol, stary hrabia Moor i Amalia. W szkole pytam panią z biblioteki, w jakim wierszu występują te postaci. Pani mówi, że u Schillera w *Zbójcach*. Czy chcę wypożyczyć. Nie, chyba nie, wolę leżeć w trawie i słuchać.

Franciszek:

Ileż tysięcy ludzi, którzy do syta opili się z czary rozkoszy, poprawiło się pod działaniem cierpienia! I czyż ból cielesny towarzyszący każdemu zbytkowi nie jest wskazówką woli bożej? Miałżeby ją człowiek okrutną czułością swoją odwrócić? Czyż ma ojciec do szczętu zniszczyć powierzony sobie zastaw? Zastanówcie się, ojczy, jeśli go na czas jakiś wydacie jego nędzy, czyż nie będzie zmuszony albo zawrócić z tej drogi – albo też w wielkiej szkole nędzy pozostanie łajdakiem, a wtedy biada ojcu, który decyzje wyższej mądrości czułościowością swą zniszczy. – A zatem, ojczy? \*

Przerywa, siada, gra dalej w szachy i po chwili znów deklamuje. Czasem zapisuję niektóre zdania, próbuję je tłumaczyć, ale niewiele rozumiem. Niektóre miejsca starzec powtarza tak często, że w końcu znam je na pamięć. Max przestał już jeździć ze mną, bo mu się znudziło słuchanie, ale ja wciąż tu wracam. Szkoda tylko, że na tę działkę jest bardzo daleko, wąska dróżka, szkła na drodze, wyboiszcze, jakby to nie był Berlin Zachodni, tylko jakiś Włazów. Najgorsze potem jest łątanie przedziurawionych dętek. Umiem sama, ale jak tylko mogę, wykorzystuję do tego nietatę.

---

\* Przekład Feliksa Konopki.

## *Broszka*

Rok 2015.

Mama przynosi mi złotą broszkę.

– Dostałam ją kiedyś od babci Riki. Pomyślałam, że skoro o niej wspominasz w tej książce, to... – Kładzie na stole broszkę. – To prawdziwy diament. Pamiątka rodzinna. Należała jeszcze do matki babci Riki. Jak się ta matka nazywała?

– Hildegarde.

Pakuje starannie broszkę i wysyłam ubezpieczoną do Hamburga. Piszę Karolinie, że to broszka babci Riki, że należała wcześniej do jej babki Hildegardy.

Karolina nigdy nie napisała do Riki. Pytałam ją o to. Twierdzi też, że nigdy nie otrzymała żadnego listu od niej. Dopiero po latach znalazła w papierach Gerdy nieotwarte listy z Berlina od Riki. Także adresowane na jej imię: do Karoliny. Przeczytała je po latach wszystkie, ale co z tego? Rika już dawno leży pod brzozą. *Ich hasse Birken.*

Teraz rozumiem, dlaczego babcia nie chciała mi tego listu od Karoliny pokazać z bliska. Upozorowała ten list od Karoliny przed nami, przed sobą. Kogo chciała pocieszyć?

Po latach to wszystko nie ma znaczenia. Ale myślę sobie, niech chociaż ta broszka z diamentem wróci do Hamburga, do swojej szkatułki. Broszka zamiast Riki.

## *Tot*

Rok 1985. Babcia Rika i dziadek Karol wracają do Szczecina. Towarzyszę im aż do Friedrichstrasse. Tata nie może ich odprowadzić na pociąg, jest w pracy. W pracy na czarno, bo na inną nie ma pozwolenia. Nie ma niemieckich papierów, niemieckiego pochodzenia.

– Nie martw się – babcia mówi do niego przed wyjazdem. – Gerda się odezwie, zobaczysz.

Nie widzę, żeby nietata liczył na pomoc ze strony Gerdy, czekał na ten list od niej. Nietata zawsze liczy tylko na siebie.

Babcia bardzo schudła. W Szczecinie jej nie poznają.

– Wszyscy pomyślą, że cię tu głodziliśmy – żartuję.

Babcia się nie śmieje. Dopiero przy pożegnaniu uśmiecha się i całuje mnie w policzek. Wzruszamy się obie. Dziadek mówi: oby do wiosny. Babcia mówi, że już dawno wiosna. Niosę jej torbę tak długo, jak tylko mogę. Znikają oboje w kolejce tranzytowej. W tej kolejce dostrzegam samych starych ludzi.

\* \* \*

W nocy budzi nas straszny huk.

Biegniemy do kuchni. Okazuje się, że pękły butelki z wodą mineralną. Cała kuchnia w szkłe. Mama każe Marcinowi i mnie wracać do łóżek.

Dzwoni telefon.

Następnego dnia rano dowiaduję się, że babcia Rika nie żyje. Umarła. *Tot*.

## Akt I

W szkole nowa nauczycielka niemieckiego pyta, czy ktoś pamięta jakiś wiersz, który może zadeklamować. Nikt się nie zgłasza. Pamiętam tylko *Katechizm młodego Polaka*, trochę *Świteziankę* i jeszcze coś. Umieram ze wstydu, ale w końcu się przełamuję i zgłaszam.

– Ty? – dziwi się pani, nie brzmi to zbyt zachęcająco, Już chcę się wycofać, ale pani zaprasza mnie na środek klasy.

Zaczynam od motta Hipokratesa:

– *Quæ medicamenta non sanant, ferrum sanat, quæ ferrum non sanat, ignis sanat.*

Od tego samego, którym Schiller rozpoczyna *Zbójców*. Słyszę pojedyncze śmiechy w klasie, ktoś rzuca we mnie kulką papieru, ktoś inny parska, ale pani wszystkich szybko ucisza. Kontynuuję: akt I, scena I, i deklamuję, zmieniając głos. Raz jestem Karolem, raz hrabią von Moorem, raz Amalią. Mówię chyba z dziesięć minut.

Gdy kończę, w klasie panuje absolutna cisza.

Pani podchodzi do mnie i coś do mnie mówi ożywionym tonem. Ktoś zaczyna klaskać.

Nic więcej nie pamiętam z tego dnia.

\* \* \*

Po latach szukam w pamiętniku zapisków z tego czasu. Nie ma nic. Czarna dziura, jakbym wtedy w ogóle nie żyła.

– Może pisałaś w pamiętniku tylko wtedy, gdy byłaś nieszczęśliwa – mówi moja córka.

Nie wiem, być może tak.

– A o czym potem piszesz w pamiętniku? Piszesz tam, że tęsknisz?

– Nie, już chyba nie.

– To dobrze. Opowiedz mi teraz jakąś wesołą historię. Albo nie. Może ja ci opowiem, dobrze?

## Od autorki

Zawsze zastanawiałam się, kto czyta takie książki, i okazuje się, Drogi Czytelniku, że to Ty. Dziękuję, że towarzyszyłeś Rice i Dagmarze w ich niełatwej podróży. Nic się nie martw, ja też niewiele zrozumiałam z tych drzew genealogicznych, chociaż sama je rysowałam. Skoro jednak dotarłeś aż do tego miejsca, to już wiesz, że nie o drzewa tak naprawdę chodziło.

Chcę być wobec Ciebie szczerą i przyznać się, że wcale nie chciałam pisać *Białej Riki*. Napisałam ją, bo Ktoś wpadł na pomysł, że to, co mu kiedyś opowiedziałam, to dobry materiał na książkę. Ponieważ nie potrafię pisać na zamówienie i nawet wyśmiewam się po cichu z tych, którzy to robią, nie chciałam o tym słyszeć. Ten ktoś, wydawczyni, niezmordowana Agata Pieniążek, była jednak bardzo uparta i wreszcie mnie namówiła. Dziękuję, Agato, za pracę nad tą książką i za Twój upór. W spisku *Rika* maczały także palce wyśmienite reporterki, Magdalena Grzebałkowska i Katarzyna Surmiak-Domańska. To wszystko przez Was!

Wychodzę z założenia, że historie pisane przez życie mogą udźwignąć jedynie świetne reporterki (patrz wyżej), dlatego starałam się w *Rice* zmyślać, ile wlezie. Jakkolwiek by patrzeć, do jej napisania zainspirowała mnie prawdziwa historia. Lecz, Czytelniku, pamiętaj! Prawdziwe w *Białej Rice* są tylko emocje i broszka babci Riki.

Podczas pisania towarzyszył mi Jazz Jamboree Festival 1961–1967 – a na nim Krzysztof Komeda live, a także koncert Elvisa *Elvis '68 Comeback, Blues Breakout*ów, wiersze Jarosława Iwaszkiewicza i krwawy Tarantino.

Dziękuję mojemu mężowi, który wytrzymuje kolejne książki, kolejne wyjazdy i kolejne rozmowy o literaturze podczas urlopu, wspólnych kolacji i meczów ligowych. Tłumaczę mu na niemiecki liczne wersje moich powieści i to jest naprawdę godne podziwu, że on jeszcze nie ogłuchł.

Dziękuję moim cudownym dzieciom, które wybaczą mi, że jestem inna niż mamy ich przyjaciół, i obiecuję Wam wreszcie cudowne wakacje oraz że napiszę tę książkę, o którą tak prosicie; książkę tylko dla Was.

Dziękuję mojej mamie, która gorąco namawiała mnie do pisania, wierząc, że tym razem to już na pewno coś sensownego, a nie tylko „jakieś szpiegowskie kryminały”. Przy pisaniu towarzyszyła mi także trwoga i miłość mojego taty, który tak przeżywa, że jego córka ma odwagę pisać, że sam już tego, co piszę, nie czyta. Nie szkodzi. Katuję go wielostronicowymi fragmentami przez telefon, dopóki z wycieńczenia nie padnie.

Dziękuję mojemu ojczymowi, że zaufał mi i pozwolił na snucie fantazji wokół jego mamy.

Marcinowi Wilkowi dziękuję za przyjaźń i niezachwianą niczym wiarę, że warto. Michałowi Nogasiowi za stawianie mnie do pionu i przywracanie do życia, Edycie Farjan dziękuję za ciągłe czytanie.

Wielkie podziękowania dla wspianego zespołu Wydawnictwa Znak Literanova oraz Ani Król i Pauliny Wilk z Fundacji „Kultura nie boli”. Szczególne podziękowania za wnikliwą redakcję dla pani Donaty Lam. Magdalenie Suchy-Polańskiej, Magdalenie Kuc i Pauli Woleckiej

podziękowania za kreatywność i ogrom serca w przygotowaniach do wydania książki.  
Monice i Grzegorzowi Regulskim dziękuję za wszystko.



Copyright © by Magdalena Parys by arrangement with ALSA

Projekt okładki  
Magda Kuc

Fotografie na pierwszej stronie okładki  
Copyright © Lambada/E+/Getty Images  
Copyright © Claudio Arnese/E+/Getty Images

Opracowanie rysunków  
Maria Gromek

Redakcja  
Donata Lam

Opieka redakcyjna  
Agata Pieniążek  
Magdalena Suchy-Polańska

Korekta  
Agnieszka Stęplewska  
Katarzyna Onderka

Łamanie  
Agnieszka Szatkowska

ISBN 978-83-240-3636-3

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)